

Tajemnica „Śmigłego”
Jak naprawdę zginął marszałek?

Walczyłam w Powstaniu ’44
Poruszająca rozmowa z ocalałą z kanałów

Masakra na Pacyfiku
Zbrodnia wojenna okrętu podwodnego USA

NR 1(107)/2022 STYCZEŃ 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-5935
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

II RP kontra Niemcy

ASY POLSKIEGO WYWIADU

eprasa.pl ede0eab6fd

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
MAREK ŚWIERCZEK: „KRUCJATA 1935. WOJNA, KTÓREJ NIGDY NIE BYŁO”

NAJNOWSZE DOWODY PRZYGOTOWAŃ DO WYPRAWY POLSKO-NIEMIECKIEJ PRZECIWKO SOWIETOM W LATACH 1934-1935.

Marszałek Piłsudski na kilka miesięcy przed śmiercią chciał ocalić Rzeczpospolitą i wspólnie z Hitlerem pójść na wschód. Czy polsko-niemiecka wyprawa na Moskwę w połowie lat 30. mogła uchronić świat przed II wojną światową i zawłaszczeniem połowy kontynentu europejskiego przez komunizm? Czy błędy polityki Becka, który sprzeniewierzył się politycznemu testamentowi Piłsudskiego, wynikały z bezprecedensowego sukcesu wywiadu sowieckiego?

Hitler chciał wojny z ZSRS, ale w sojuszu z Wielką Brytanią i Rzeczpospolitą Polską. Ta wojna musiała wybuchnąć. Wydatki Niemiec na zbrojenia wzrastały w takim tempie, że zwycięski konflikt z Sowietami stał się jedynym sposobem na uniknięcie gospodarczej zapaści Rzeszy. Dla Polski wybór Hitlera jako sojusznika był racjonalny, gdyż zarówno Polska, jak i Rzesza miały interesy gospodarczo-polityczne na wschodzie, które można było pogodzić.



99 zł
oszczędność 70 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ede0eab6fd

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska,**
Przemysław Traczyk
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 11 listopada 1929 r.

Józef Piłsudski przyjmuje książeczkę PKO z zebranym ze składek publicznych milionem złotych na walkę ze szpiegostwem



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Asy wywiadu II RP

To, co się stało w 1918 r. dla Niemców było szokiem. Pomimo oszałamiających sukcesów na froncie wschodnim Cesarstwo Niemieckie przegrało wielką wojnę. Wilhelm II abdykował. A jakby tego było mało, Niemcy straciły na rzecz odrodzonej Polski kawał terytorium – Pomorze, Poznańskie i Śląsk. Prusy Wschodnie zostały odcięte „korytarzem".

To, co dla Polaków było aktem dziejowej sprawiedliwości i odwróceniem krzywdy zaborów, dla Niemców było aktem niesprawiedliwości. Dyktatem wersalskim. Krzywdą i upokorzeniem. W efekcie II RP – „państwo sezonowe", jak określali ją niemieccy przywódcy – stała się wrogiem numer jeden Republiki Weimarskiej.

Aż do podpisania deklaracji o niestosowaniu przemocy 26 stycznia 1934 r. – po której rozpoczęło się odprężenie – relacje Polski z Niemcami były fatalne. Powstania śląskie, powstanie wielkopolskie, wojna celna, spory wokół mniejszości. Ta sytuacja nie mogła się nie przełożyć na świat tajnych służb. Wywiady polski i niemiecki toczyły ze sobą zaciętą rywalizację.

Podwójni agenci, porwania, mistyfikacje. Koronkowe operacje dezinformacyjne. Wykradanie sekretów wojskowych i tajnych dokumentów. Cichy front polsko-niemieckiej rywalizacji mógłby stać się kanwą dziesiątek powieści i filmów. Zwrotami akcji i sensacyjną fabułą nie ustępowałyby one hollywoodzkim produkcjom z agentem 007 w roli głównej.

Ta tajna wojna miała swoich bohaterów. Asów wywiadu. Po stronie polskiej olbrzymie zasługi mieli majorowie Jan Żychoń i Jerzy Sosnowski. Dzięki swojemu intelektowi, brawurze i intuicji rasowych szpiegów potrafili przez lata grać na nosie niemieckim służbom. Historie opisane w tym numerze „Historii Do Rzeczy" to tylko część ich niesamowitej działalności. Wiele tajemnic wywiadu nigdy nie zostało (i nie zostanie) ujawnionych.

Niestety, losy obu oficerów potoczyły się tragicznie. Najpoważniejsze ciosy zadał im nie wróg, ale... rodacy. ©℗

eprasa.pl ede0eab6fd



FOT. ARCHIWUM RODZINY NAGRABÓW

/ TEMAT NUMERU

.06 ANDRZEJ BRZEZIECKI
Polski superszpieg

.12 TOMASZ STAŃCZYK
Tragedia majora Sosnowskiego

.16 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Wojna tajnych służb

.20 FOTOREPORTAŻ
Wolne miasto szpiegów

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK I PIOTR ZYCHOWICZ
Nigdy więcej klęski!

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Co było i czego nie było

.69 PIOTR SEMKA
Syberyjski zimny bufet

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
LWP przeciwko narodowi

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Gry o tron

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK
Batu-chan gromi Belę IV

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Pacyfikacja „Wujka”



/ CZASY I LUDZIE

.22 SŁAWOMIR KOPER
Tajemnica śmierci „Śmigłego”

.25 JAKUB OSTROMĘCKI
Dunkierka bez kontekstu

.28 PIOTR ZYCHOWICZ
Biesiada z Hansem Frankiem

.32 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Inwazja contras na Kubie

.36 HELENA MAJKOWSKA
Z powstania na marsz śmierci

.40 MAREK GAŁĘZOWSKI
Szefowe kobiecego wojska

.43 PIOTR SEMKA
Pułkownik Eriksen: – Ognia!

.46 PIOTR ZYCHOWICZ
Rzeź japońskich rozbitków

.50 MIKOŁAJ IWANOW
Epizody z życia Feliksa Kona

.54 MACIEJ ROSALAK
Rok II RP

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Sól – przyprawa i nawóz

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Esy-floresy Michała Choromańskiego

eprasa.pl ede0eab6fd



Laureaci i organizatorzy dziewiątej edycji nagrody Strażnik Pamięci podczas gali wręczenia wyróżnień, która odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Strażnicy Pamięci 2021 uhonorowani

Już po raz dziewiąty tygodnik „Do Rzeczy" uhonorował ludzi i instytucje, które działają na rzecz kultywowania polskiej historii i tradycji

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości" – słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego od pierwszej edycji przyświecają jury przyznającemu nagrodę Strażnik Pamięci.

W kategorii „Twórca" zwyciężył w tym roku ***ks. prof. Waldemar Chrostowski*** – autor licznych publikacji pokazujących silny związek polskiej tożsamości narodowej z chrześcijaństwem i jej zakorzenienie w tradycji biblijnej.

W kategorii „Instytucja" nagroda przyznana została ***Stowarzyszeniu Rodzina Piaśnicka***. Jest to organizacja zrzeszająca rodziny ofiar niemieckiej zbrodni w Piaśnicy, która często nazywana jest „pomorskim Katyniem".

W kategorii „Mecenas" uhonorowano ***Pocztę Polską SA.*** Mając ponad 460 lat tradycji, instytucja ta czuje się w obowiązku podtrzymywać pamięć o najważniejszych wydarzeniach w historii Polski.

Nagrodę specjalną Strażnik Pamięci otrzymał ***Władysław Motyka*** za działalność na rzecz zachowania tradycji wśród górali i kultywowanie tradycji góralskich w Polsce.

Z kolei nagrodę Strażnik Wartości (przyznawaną przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy") odebrał w tym roku ***Ákos Engelmayer*** – pierwszy po odzyskaniu niepodległości ambasador Węgier w Warszawie, członek założyciel Solidarności Polsko-Węgierskiej.

©℗ ***oprac. p.w.***

PARTNER STRATEGICZNY
ORLEN
PARTNERZY GŁÓWNI:
PZU
Bank Polski
PGNiG
KGHM POLSKA MIEDŹ
PATRONAT HONORowy:
NIKiDW
MINISTERSTWO ROLNICTWA I ROZWOJU WSI
PARTNERZY:
HUAWEI
Lasy Państwowe
WSPÓŁORGANIZATORZY:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NARODOWE CENTRUM KULTURY
PATRONAT MEDIALNY
TVP
HISTORIA

eprasa.pl ede0eab6fd

Rozmowa / Z Andrzejem Brzezieckim, historykiem, autorem książki „Wielka gra majora Żychonia”



rozmawia Piotr Włoczyk

Polski superszpieg

– Komuniści nie dawali wiary, że as wywiadu II RP zginął we Włoszech. Jeszcze wiele lat po wojnie poszukiwał go UB, a Polaków straszono widmem Żychonia – mówi Andrzej Brzeziecki

PIOTR WŁOCZYK: Jaką rolę miała odegrać Czesława Bociańska w brawurowym planie Oskara Reilego, szefa komórki Abwehry w Wolnym Mieście Gdańsku?

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Bociańska to fascynująca postać, o bardzo powikłanych losach. Oskar Reile, szef Abwehry w Gdańsku, chciał ją wykorzystać do pojmania swojego arcywroga – kpt. Jana Henryka Żychonia, wyjątkowo zdolnego oficera polskiego wywiadu, tzw. Dwójki.

Z opisów wynika, że była to atrakcyjna kobieta o wąskiej talii i pełnym biuście. Bociańska romansowała ze starostą Gdyni. Odwiedzała również Wolne Miasto Gdańsk (WMG), gdzie poznał ją Reile. Udało mu się nakłonić ją do współpracy z Abwehrą. Reile chciał od niej jednak czegoś więcej – miała uwieść Żychonia i pomóc Reilemu porwać go do Niemiec.

Żychoń pojawiał się w Gdańsku. Dlaczego tam nie mogli go porwać?

Wywiad niemiecki funkcjonował tam nielegalnie. Formalnie Gdańsk był przecież państwem niezależnym od Berlina. Abwehra była zakonspirowana w gdańskiej policji, a Reile służył w niej jako komisarz. Z racji swoich zadań Żychoń często odwiedzał WMG, ale cieszył się tam immunitetem dyplomatycznym – oficjalnie był pracownikiem tamtejszego przedstawicielstwa RP.

Czym przede wszystkim Żychoń zalazł za skórę Niemcom?

Długo by mówić... W latach 20. pracował w Katowicach, które podlegały krakowskiej ekspozyturze Oddziału II. Próbował tam demaskować działalność szpiegowską działaczy mniejszości niemieckiej i pracowników konsulatu. Jego zadaniem było pokazanie, że ta mniejszość robi brudną robotę przeciw Polsce.

FOT. ARCHIWUM RODZINY NAGRABÓW

eprasa.pl ede0eab6fd

Następnie kierował komórką polskiego wywiadu w Gdańsku, gdzie również mocno utrudniał Niemcom życie. Abwehra widziała w nim zdolnego i groźnego przeciwnika. Stąd pragnienie, by go unieszkodliwić.

Objęcie przez niego kierownictwa nad placówką w Gdańsku Niemcy „przywitali" artykułem prasowym, w którym kpili sobie z jego poprzednika i stwierdzali, że Żychoń na pewno lepiej sobie poradzi...

W szpiegowskiej wojnie polsko-niemieckiej chodziło nie tylko o pozyskanie wiedzy na temat przeciwnika, lecz także o wykazanie na arenie międzynarodowej, że druga strona łamie postanowienia traktatu wersalskiego. Z reguły wywiady nie chwalą się tym, co wiedzą, tymczasem Polsce i Niemcom zależało na organizowaniu głośnych procesów o szpiegostwo, których echa docierałyby do europejskich stolic. Gdy Żychoń pojawił się w Gdańsku jako szef tamtejszej ekspozytury, Niemcy – zamiast dyskretnie go obserwować – zorganizowali pod jego oknem demonstrację. Był to jasny sygnał: „Wiemy, kim jesteś, nie będziesz czuł się tu bezpiecznie ani swobodnie pracował". Nawet administracja gdańska robiła mu problemy – choćby z mieszkaniem.

Wróćmy do Czesławy Bociańskiej i planów Oskara Reilego.

Niemcy chcieli sprowadzić Żychonia na swój teren i udowodnić mu, że jest szpiegiem. Abwehra miała nawet ekspertyzę prawną, z której wynikało, że nieco naciągając prawo, dałoby się go oskarżyć przed niemieckim sądem o kierowanie działalnością wymierzoną w Niemcy. Chociaż był obywatelem innego państwa i nie działał w Niemczech. Trzeba go było tylko – za pomocą Bociańskiej – upić, porwać i przerzucić do Niemiec.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Ponieważ Żychoń zdemaskował Bociańską. Stało się tak najpewniej dzięki wspomnianemu staroście gdyńskiemu, który zauważył coś niepokojącego. Bociańska zaczęła pracować dla Żychonia, który chciał teraz poprzez nią dezinformować Reilego. Wszystko zapowiadało się świetnie, ale niespodziewanie pojawiło się zagrożenie przecieku do Niemców.

Żychoń postanowił więc zrobić „cięcie" całej operacji i przy pomocy Bociańskiej oficjalnie zdemaskował Reilego. Nie dało



Oskar Reile, szef Abwehry w Gdańsku

FOT. DOMENA PUBLICZNA

się go posadzić na ławie oskarżonych, ale można było go skompromitować. W polskiej prasie zaczęły się pojawiać artykuły o tym, jak Niemcy próbowali porwać „kapitana Wojska Polskiego". Lektura tych tekstów pozwala poczuć klimat tamtej rywalizacji. Obok zdjęć niemieckich oficerów Abwehry podane zostały ich adresy. Gdańsk nazywany był przez polskich dziennikarzy „gniazdem niemieckiego szpiegostwa" albo „pasożytem na ciele Polski". Celem tej medialnej operacji było pokazanie, że Niemcy nie szanują umów międzynarodowych, a władze Gdańska chodzą na pasku Berlina.

Z pańskiej książki wynika, że porwania wcale nie były rzadkim elementem wojny wywiadów Polski i Niemiec. Sam Żychoń wywoził przecież motorówką ludzi z Gdańska do Gdyni.

Gwoli ścisłości – to Niemcy zaczęli walkę na porwania. Żychoń jednak ostro wszedł w tę grę. Mimo że był szefem ekspozytury, czyli winien pracować głównie zza biurka, sam wykonał kilka takich akcji. Wśród porwanych przez niego ludzi byli m.in. Georg Reszotkowski, naganiacz niemieckiego wywiadu, oraz por. Witold Tułodziecki, który próbował przekazać Niemcom tajne informacje na temat polskiej armii. Niemcy zrażeni aferą z Bociańską nie podjęli jednak z Tułodzieckim współpracy, ale i tak skazano go na śmierć...

Porwania w wykonaniu oficera z immunitetem dyplomatycznym były ryzykowne i w razie wpadki skończyłyby się skandalem. Żychoń był jednak skuteczny.

Żychonia nie udało się wprawdzie Niemcom porwać, ale pracujący dla niego człowiek wpadł w ich ręce w wyniku akcji, która do historii przeszła jako „incydent pod Opaleniem". Polacy dali się wtedy podejść jak małe dzieci.

Wydarzenie to miało miejsce w 1930 r. Chodziło o dwóch polskich pograniczników: Stanisława Liśkiewicza i Adama Biedrzyńskiego. Ten drugi współpracował z Żychoniem. Był to człowiek przebierający nogami za awansem. Za wszelką cenę chciał odnotować jakiś sukces. Dał się zwabić Niemcom na drugą stronę granicy pod pretekstem odebrania tajnych materiałów od potencjalnego agenta. Polacy byli uzbrojeni. Incydent skończył się fatalnie – doszło do strzelaniny. Liśkiewicz zginął, a Biedrzyński wylądował w więzieniu.

Żychoń postanowił wyciągnąć swojego człowieka. Jednak tak jak w handlu, wymiany szpiegów muszą być interesujące dla obu stron. Polacy nie mieli wówczas w aresztach ludzi tej rangi, co Biedrzyński, bądź co bądź oficer Straży Granicznej. Niemcy nie byli więc na tym etapie zainteresowani.

Ale od czego był Żychoń!

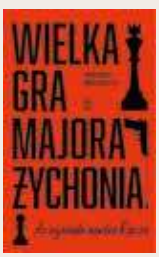
Dokładnie. Zaczął łapać ludzi, których można było w mniejszym lub większym stopniu powiązać z niemieckim wywiadem. Jeden z agentów donosił, że Niemcy tak naprawdę chcieli pod Opaleniem dorwać Żychonia. Była to więc dla niego sprawa osobista. Chciał jak najszybciej wyłapać odpowiednią liczbę niemieckich „szpiegów". Jeden z zatrzymanych zeznawał potem, że Polacy podczas zatrzymania bez ceregieli wsadzili mu w spodnie obciążające notatki...

Po zebraniu odpowiedniej liczby tych „aktywów" Niemcy zgodzili się na wymianę. Jak zwykle dokonano jej w Zbąszyniu.

Miasteczko to było znanym punktem wymiany szpiegów. Kilka lat później wymieniono tam Jerzego Sosnowskiego. Biedrzyński witany był jak bohater.

Co było największym sukcesem Żychonia przed wybuchem wojny? Akcja „Wózek"?

Wymieniłbym w tym kontekście trzy sukcesy. Pod względem ilościowym była to na pewno akcja „Wózek", zwana wcześniej „Ciotką". Polegała ona na



ANDRZEJ BRZEZIECKI
„WIELKA GRA MAJORA ŻYCHONIA. AS WYWIADU KONTRA RZESZA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl ede0eab6fd



Patrol Straży Granicznej FOT. DOMENA PUBLICZNA

kontroli niemieckiej poczty, która była przewożona pociągami eksterytorialnymi do Prus Wschodnich i Gdańska. Polacy łamali przy tej okazji wszelkie umowy międzynarodowe, także regulacje Światowego Związku Pocztowego. W przypadku wpadki doszłoby do olbrzymiego skandalu, ale polscy decydenci uznali najwyraźniej, że gra była warta świeczki. Tym bardziej że ta akcja była śmiesznie tania – kosztowała ok. 1 tys. zł miesięcznie.

Dziś byłoby to ok. 10 tys. zł.

Tymczasem „urobek" wywiadowczy „Wózka" był tak wielki, w szczytowych momentach nawet 60 proc. tego, co Oddział II wiedział o Niemczech, pochodziło z tego źródła. Niemcy oczywiście nie przesyłali w ten sposób najbardziej tajnych materiałów. Te leciały samolotami lub płynęły statkami. Dziś państwa publikują budżety obronne, a zbrojenia są mniej lub bardziej przejrzyste, ale wówczas wszystko, co dotyczyło wojska, było tajemnicą. Jednak przechwycenie korespondencji zakładów przemysłowych czy np. zamówień żywnościowych dla niemieckich garnizonów pozwalało sporo wywnioskować. Niewinne informacje o zamówieniach żywności dawały wiedzę o liczbie stacjonujących w danym miejscu żołnierzy. Dodajmy jeszcze, że rejon Prus Wschodnich był szczególnie ważny: do Warszawy było stąd ok. 100 km.

W 1939 r. okazało się, że m.in. dzięki akcji „Wózek" Polacy dobrze rozpoznali siłę niemieckiej armii. Niestety, wobec ogólnej słabości naszego państwa na niewiele przydała się doskonała robota ludzi Żychonia.

Polacy nie tylko podglądali Niemcom dokumenty, lecz także kradli im sprzęt wojskowy. Jakim cudem Niemcy nie zorientowali się, że coś jest nie tak?

Do dziś trwa dyskusja historyków, co Niemcy wiedzieli i, jeśli wiedzieli, to dlaczego nic z tym nie zrobili. Okazuje się, że nawet w Niemczech zdarzał się bałagan i część ukradzionych przesyłek klasyfikowano jako zagubione. Niemcy zaczęli w końcu coś podejrzewać, ale skoro nie zrobili z tego afery międzynarodowej, to znaczy, że nie mieli pewności. Polski wywiad świetnie opanował sztukę włamywania się do niemieckich wagonów pocztowych i przeglądania ich zawartości.

Na pewno jednak można wykluczyć tezę, że w ten sposób dezinformowali Polaków – przy tej liczbie przesyłek i nieregularności polskich działań było to niemożliwe. Istnieje zaś hipoteza, że gdy Niemcy osiągnęli już olbrzymią przewagę nad Polską, przestali dbać o tajemnice, bo wiedzieli, że Polakom wiedza nic nie pomoże. Do wiosny 1939 r. próbowali zarazem pozyskać Warszawę, więc nie przeszkadzało im, jeśli Polacy, widząc potęgę Wehrmachtu, zrozumieją, że opór nie ma sensu i lepiej się dogadać.

Wspomniał pan, że Żychoń miał jeszcze dwa inne duże sukcesy przed rokiem 1939.

Jednym z nich było zwerbowanie Wiktora Katlewskiego, księgowego pracującego w centrali Kriegsmarine, który hurtowo wynosił cenne materiały dotyczące niemieckiej marynarki wojennej. Żychoń bardzo go cenił. Katlewski przekazywał informacje między innymi na temat umocnień na wybrzeżu. Te informacje przydały się później aliantom w czasie drugiej wojny światowej do planowania bombardowań.

Trzeci sukces to zwerbowanie Pauliny Tyszewskiej, partnerki Reinholda Kohtza, który zastąpił w Gdańsku Reilego. Kobieta ta wybrała tożsamość niemiecką, ale jej siostra czuła się Polką. Żychoń, obserwując Kohtza, odkrył jego związek z Tyszewską. „Dwójka" zaczęła kijem i marchewką naciskać na jej bliskich, by pomogli w zwerbowaniu kobiety. Początkowo się opierała, ale ponieważ miała w Gdańsku problemy biznesowe i potrzebowała gotówki, zgodziła się podjąć współpracę jako agentka 1216. Dzięki niej Żychoń uzyskał wgląd w samo serce gdańskiej Abwehry. To była kopalnia wiedzy dla „Dwójki".

W jakim celu Żychoń dzwonił do Oskara Reilego?

To bardzo dobre pytanie! Żychoń miał naturę łobuza. Takie słowo przewija się w opiniach na jego temat. Jeżeli odniósł jakiś większy sukces, to czasem chwytał za słuchawkę i wybierał numer niemieckich przeciwników, oznajmiając im z dumą: „Ale wpadliście!". Sam Reile napisał we wspomnieniach, że któregoś dnia Żychoń zadzwonił do niego i powiedział, żeby Abwehra przestała już podsłuchiwać polskie telefony w Gdańsku, bo i tak niczego się tym kanałem nie dowie. Potem umówił się na spotkanie z Reilem, po czym oczywiście nie pojawił się na miejscu. Możemy to chyba traktować jako branżowe dowcipy. Niektórzy twierdzili, że Żychoń dzwonił do Niemców najczęściej pod wpływem alkoholu i obrzucał ich bluzgami.

Skoro już jesteśmy przy temacie alkoholu – jego krytycy twierdzili, że był to nieokrzesany pijak, który po alkoholu gotów był do najgorszych bezeceństw. Z drugiej strony jego przyjaciele stwierdzali po prostu, że faktycznie zdarzało mu się wypić, ale do jakichś większych ekscesów absolutnie nie dochodziło. Jak było naprawdę?

Może po alkoholu robił głupie rzeczy, a czasem bywał w agresywny, ale na skuteczność jego pracy picie nie miało wpływu. Był wciąż młody. Większość jego przełożonych zauważała, że po prostu miał taki sposób bycia. Kasa ekspozytury

eprasa.pl ede0eab6fd

prowadzona była wzorcowo, skuteczność wywiadowczą miał wybitną, więc nikt rozsądny nie miał podstaw, by stawiać mu zarzuty. Zresztą świat szpiegów nie jest miejscem dla miłych i kulturalnych abstynentów, bo to jest pole brutalnej rywalizacji. Wydaje się, że Żychoń pasował ze swoim charakterem do takich warunków. Alkohol pozwalał mu rozładować stres. Był rogatą duszą, ale dzięki temu wydaje mi się ciekawy i jakoś sympatyczny.

Trzeba pamiętać, że większość najbardziej ostrych opinii na jego temat pochodziła od oficerów, którzy byli jego zajadłymi wrogami.

Dlaczego ktokolwiek z „Dwójki" miałby mieć problem z tak skutecznym wywiadowcą?

Żychoń nie był łatwym człowiekiem. O tym, że był krnąbrny, świadczy, że już w latach 20. miał proces o obrazę urzędnika. Ponoć potrafił napluć podwładnemu na głowę, a przełożonego wysmarować musztardą… Oskarżano go o demolowanie knajp. Głośna była sprawa, gdy wraz z kolegami miał rozebrać pewnego prokuratora i wyrzucić go z restauracji. Słynął też z tego, że orał swoimi ludźmi. Mało który ze współpracowników był w stanie wytrzymać z nim dłużej niż kilka lat.

W grę wchodziło też coś, co dziś nazwalibyśmy korporacyjną rywalizacją zespołów. W „Dwójce" trwał wyścig między referatami „Wschód" i „Zachód". Szpiegowanie Związku Sowieckiego było skrajnie trudne, więc „urobek" wywiadowczy z tamtego kierunku siłą rzeczy był o wiele mniejszy, z czego Żychoń lubił drwić.

Ludzie szpiegujący państwo Stalina byli też trochę inaczej nastawieni. Uważali, że największe zagrożenie dla Polski czai się na wschodzie, gdzie panuje nieludzka ideologia. Niektórzy może widzieli w zbliżeniu z III Rzeszą tarczę przeciw Sowietom. Dochodzimy tu więc też do polityki. Referat „Wschód" grał na to, by zdyskredytować „Zachód" i pokazać, że alarmistyczne informacje na temat Niemiec są mało wiarygodne, a zagrożenie wyolbrzymiane.

Spiritus movens akcji przeciw Żychoniowi był kpt. Jerzy Niezbrzycki. To ciekawa postać. Oficer inteligentny i zdolny, mający aspiracje quasi-polityczne. W atakach na Żychonia wspierał go kolega z referatu „Wschód" Tadeusz Nowiński.

Dochodzimy tu do niezwykłego paradoksu: sukcesy Żychonia miały świadczyć przeciwko niemu…

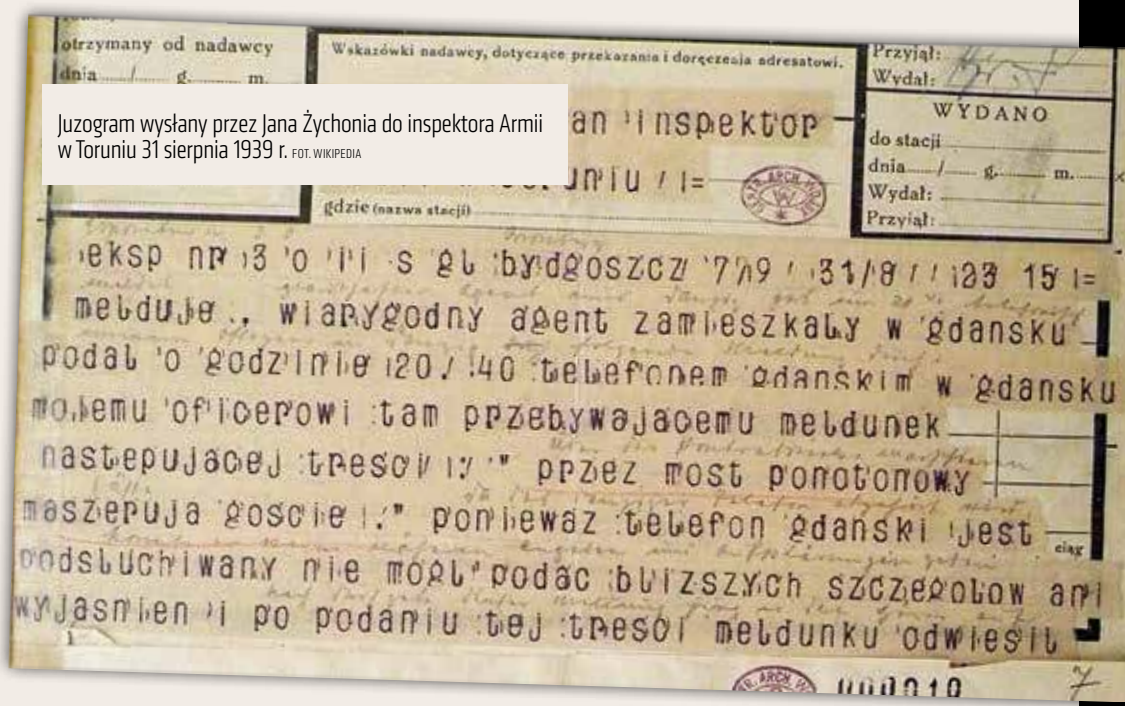
W 1934 r. wpadł w Berlinie polski arcyszpieg Jerzy Sosnowski. W Warszawie uznano, że tak naprawdę pracował dla Niemców. Sosnowski po wymianie długo był bezprawnie przetrzymywany. Potem wytoczono mu proces, który był ewidentnie „szyty". Sosnowskiego skazano na 15 lat. Gdyby dowody były niezbite, stanąłby przed plutonem egzekucyjnym. To ważny aspekt tej sprawy, ponieważ ludzie, którzy oskarżali Żychonia, brali wcześniej udział w procesie Sosnowskiego. Niezbrzycki reprezentował na nim Oddział II jako biegły.

Sposób rozumowania Niezbrzyckiego i jego stronników był taki: skoro taki Sosnowski był – ich zdaniem – współpracownikiem Abwehry, to i sukcesy Żychonia muszą być podejrzane, a on sam zapewne jest narzędziem niemieckiego wywiadu.

Zanim porozmawiamy o tym przykrym rozdziale, wyjaśnijmy jeszcze, jak wyglądały owoce pracy wywiadowczej tego oficera w 1939 r.

Żychoń od początku informował, że NSDAP jest siłą skrajnie antypolską, że III Rzesza zbroi się na potęgę. Przekazywał też informacje na temat „obwąchiwania się" III Rzeszy z ZSRS. Informował, że sytuacja zmierza do konfliktu, w co Warszawa nie do końca chciała wierzyć. Józef Beck opierał się bowiem głównie na informacjach od swoich dyplomatów. Ci z kolei przesyłali do Warszawy raczej uspokajające depesze.

Przed wybuchem wojny Żychoń i jego ludzie dobrze rozpoznali niemieckie siły zagrażające Polsce, popełnili jednak jeden ogromny błąd: nie dostrzegli XIX Korpusu Armijnego gen. Heinza Guderiana, który uderzył na Pomorze. Inna rzecz, że referat „Wschód" lokował czołgi Guderiana na Morawach.


otrzymany od nadawcy
dnia / g. m.
Wskazówki nadawcy, dotyczące przekazania i doręczenia adresatowi.
Przyjął:
Wydał:
WYDANO
do stacji
dnia / g. m.
Wydał:
Przyjął:
gdzie (nazwa stacji)
eksp nr 3 o/i/i s gł bydgoszcz 7/9 / 31/8 / 23 15 =
melduje., wiarygodny agent zamieszkały w gdansku
podał o godzinie 20./40 telefonem gdańskim w gdansku
mojemu oficerowi tam przebywającemu meldunek
następującej treści: " przez most ponotonowy
maszerują goście." ponieważ telefon gdański jest
podsłuchiwany nie mógł podać bliższych szczegółów ani
wyjaśnień i po podaniu tej treści meldunku odwiesił

Juzogram wysłany przez Jana Żychonia do inspektora Armii w Toruniu 31 sierpnia 1939 r. FOT. WIKIPEDIA

Po wkroczeniu Armii Czerwonej Żychoń przedostał się na Zachód zgodnie z rozkazem. Wiadomo było, że tacy ludzie nie mogą wpaść w ręce wroga. Zanim wyjechał, zniszczył całe archiwum ekspozytury w Bydgoszczy.

Czyli zrobił to, czego niestety nie zrobiła centrala w Warszawie…

Dokładnie. Po wejściu do siedziby „Dwójki" w Bydgoszczy Niemcy znaleźli

eprasa.pl ede0eab6fd



Hermann Göring przed frontem gdańskiej kompanii honorowej, 1935 r. FOT. NAC

tam puste szafy, a na biurku Żychonia leżała tylko jego wizytówka... Jeszcze przed upadkiem Francji Żychoń zdołał pozyskać zaufanie gen. Sikorskiego.

Swoją rolę odegrało też chyba wcześniejsze wsparcie Francuzów.

Tak, ale dlaczego Francuzi ufali Żychoniowi i wzięli go do admiralicji? Ponieważ przed wojną Polacy pokazywali im ekspozyturę w Bydgoszczy jako wzorcową jednostkę wywiadowczą. Już w Wielkiej Brytanii Żychoń, jako szef Wydziału Wywiadowczego, zdołał stworzyć organizację o zasięgu globalnym. Alianci przyznawali, że Polacy mieli najlepszy wywiad na świecie. Pisali to na użytek wewnętrzny, więc możemy im wierzyć. Niestety, po wojnie Brytyjczycy „zapomnieli" o tych zasługach. A tymczasem, jeżeli mielibyśmy kalkulować na zimno, to polski wkład wywiadowczy w zwycięstwo nad III Rzeszą był zdecydowanie większy niż wysiłek zbrojny – z całym szacunkiem dla przelanej przez Polaków krwi na frontach. Dzięki naszemu wywiadowi alianci byli na bieżąco z całym ordre de bataille Wehrmachtu – od dyslokacji niemieckich dywizji we Francji aż do ich sił walczących w Związku Sowieckim.

Dlaczego w 1942 r. wróciły oskarżenia o pracę na rzecz Niemców, tym razem w formie oficjalnego raportu?

Być może wiązało się to z akcją dawnej sanacji przeciw gen. Sikorskiemu. Układ Sikorski-Majski wywoływał niezadowolenie w polskim wojsku i wśród polityków na uchodźstwie stale krytykowano Sikorskiego, a ten nie pozostawał zresztą bierny i internował przeciwników na wyspie Bute. Żychoń miał ostrzegać Sikorskiego o grożących spiskach.

Niezbrzycki i Nowiński, którzy przez jakiś czas jakby zapomnieli o swych podejrzeniach wobec Żychonia, nagle zaczęli opowiadać komu popadnie, że jest niemieckim agentem. Ponieważ nic nie wskórali, w końcu złożyli formalne doniesienie. Żychoń zażądał procesu.

Przeciw obrzucaniu błotem Żychonia protestowali Brytyjczycy, którzy doceniali jego pracę i nie dawali wiary oszczerstwom. Sami oskarżeni o zniesławienie mówili, że nie mają przeciw Żychoniowi dowodów, a jedynie swoją intuicję. Niezbrzycki i Nowiński zostali uznani za oszczerców, ale skazano ich na śmiesznie niskie wyroki – zasądzono im zaledwie dwa i trzy tygodnie twierdzy. Tymczasem za samą zniewagę Żychonia groziło im do dwóch lat, a odpowiadali jeszcze za pomówienie Żychonia i jego przełożonych. O ile jednak plotki rozsiewano wszędzie, o tyle sam proces i wyrok był tajny. Żychoń nie miał więc satysfakcji. Niezbrzycki uważał, że tak niski wyrok świadczy o tym, że wszyscy uważają Żychonia za „trefnego". Trzeba wspomnieć, że składowi przewodniczył człowiek, który wcześniej jako prokurator oskarżał Jerzego Sosnowskiego na podstawie lipnych zarzutów.

Żychoń miał tego dosyć i – wobec braku publicznego poparcia ze strony przełożonych – postanowił złożyć dymisję i wnioskował o wysłanie go do... okupowanej Polski.

Jego dymisję przyjęto dziwnie skwapliwie, czego nie umiem wytłumaczyć. Przerzucenie go do Polski okazało się niemożliwe. Żychonia wysłano więc do Włoch.

Tam został ranny 17 maja 1944 r. w czasie bitwy pod Monte Cassino i następnego dnia zmarł...

Skierowanie go na linię było albo głupotą, albo zbrodnią. Narażono go na śmierć, ale przede wszystkim na schwytanie – człowieka z taką wiedzą!

Jak skończyli jego prześladowcy?

Ich drogi się rozeszły. Nowiński wrócił po wojnie do Polski, gdzie zeznawał na propagandowym procesie Adama Doboszyńskiego. Obsmarował całą elitę II RP, w tym m.in. Żychonia. Trafił na pewien czas do więzienia, ale po 1956 r. został zrehabilitowany.

Niezbrzycki pozostał na Zachodzie i publikował w prasie emigracyjnej. Po tym, gdy Czesław Miłosz wyemigrował z Polski, Niezbrzycki wysunął wobec niego oskarżenie o agenturalność. Jerzy Giedroyc zapytał go o dowody. Niezbrzycki, podobnie jak w przypadku Żychonia, pokazał na swój nos. Giedroyc wykreślił go od razu z listy osób, którym podaje rękę.

Co ciekawe, dla Urzędu Bezpieczeństwa historia Żychonia wcale się nie skończyła w 1944 r. pod Monte Cassino.

Komuniści nie dawali wiary, że as wywiadu II RP zginął we Włoszech. Jeszcze wiele lat po wojnie poszukiwało go UB, a Polaków straszono widmem Żychonia. Tym razem miałby być anglosaskim agentem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Brzeziecki jest historykiem i dziennikarzem, autorem książek na temat historii II RP, m.in. „Czerniawski. Polak, który oszukał Hitlera" oraz wydanej właśnie „Wielkiej gry majora Żychonia".

eprasa.pl ede0eab6fd

#włączprawdę

REPUBLIKA



Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, oraz droga naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2 w Warszawie na kanale 23, Wrocławiu i okolicach tych miast na kanale 41. Transmisja na żywo dostępna jest również na stronie www.tvrepublika.pl

Egmont.pl/egmontbook



Benita von Falkenhayn, Günther Rudloff i Jerzy Sosnowski (z prawej) FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

1896–1942 / Berlin i Warszawa

Tragedia majora Sosnowskiego



Tomasz Stańczyk

Z wybitnego oficera polskiego wywiadu jego przełożeni z Oddziału II zrobili bezpodstawnie zdrajcę, niemieckiego agenta

Dziewięcioletnia działalność Jerzego Sosnowskiego, szefa siatki „In.3" w stolicy Niemiec, zakończyła się aresztowaniem i skazaniem na dożywotnie więzienie w lutym 1935 r. Wrócił do Polski w ramach wymiany agentów. Nie spodziewał się gorącego powitania, gratulacji, nagród ani awansu za swoją niebezpieczną i efektywną pracę. Doskonale wiedział, że kierownictwo Oddziału II Sztabu Głównego odnosi się do niego nieufnie, jeśli nie wrogo, i deprecjonuje wartość przekazywanych informacji. W najczarniejszych wizjach nie wyobrażał sobie tego, co go miało spotkać...

Urodzony we Lwowie w 1896 r., rtm. Jerzy Sosnowski wiosną 1926 r. pojawił się w Berlinie. Miał za sobą niemal 10 lat służby w mundurze. Podczas pierwszej wojny światowej służył najpierw w Legionach, w kawalerii Beliny, później w armii austriackiej, a od listopada 1918 r. w Wojsku Polskim. Podczas wojny z bolszewicką Rosją pracował w wywiadzie 2. Armii. Był oficerem pułków kawalerii. I wielkim miłośnikiem jeździectwa, biorącym udział w zawodach sportowych. W opiniach przełożonych znajdowały się same komplementy: inteligentny, odważny, wymagający oficer, ze znakomitymi manierami, znając języki: niemiecki, francuski i rosyjski.

Sosnowski należał niewątpliwie do tych oficerów, którzy znakomicie czują się podczas wojny, lecz nie potrafią odnaleźć się podczas pokoju; nudzą się, brakuje im wyzwań, emocji, niebezpieczeństwa. Był trochę jak Soplicowie: „Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni". Przepadał za kobietami, lubił wystawne życie, a te strony jego osobowości wymagały pieniędzy, na które nie starczała oficerska gaża. W 1924 r. otrzymał kilkumiesięczny urlop bezpłatny i wyjechał do Francji, a potem przebywał w Niemczech. Gdy powrócił do kraju, nie chciał – jak twierdził akt oskarże-

eprasa.pl ede0eab6fd

nia przed polskim sądem – wracać do wojska, a mając długi, zaproponował swoją współpracę Oddziałowi II Sztabu Generalnego. Nie jest wcale pewne, że tak właśnie było. Inaczej mówił sam Sosnowski przesłuchiwany przez NKWD: „Po powrocie do Warszawy został wezwany do Oddziału II, gdzie miano mu zaproponować pracę wywiadowczą w Niemczech" (P. Kołakowski, A. Krzak, „Sprawa majora Sosnowskiego").

Wydaje się jednak, że rotmistrz podjął współpracę jeszcze przed swym wyjazdem, a owe europejskie wojaże były elementem budowania jego legendy. Dwudziestodziewięcioletni Sosnowski pojawił się w Berlinie ze swoimi końmi i przebojem wszedł w życie towarzyskie elit stolicy, a ułatwiały mu to wcześniejsze znajomości zawarte podczas zawodów jeździeckich i na torach wyścigów konnych, a także organizowane przez niego duże, wystawne przyjęcia. Prowadził luksusowe życie, nie brakowało mu nigdy pieniędzy. Skąd je miał? Wyjaśniał ciekawym, że dotuje go bogaty ojciec. Inna wersja wynika z dokumentu opublikowanego w książce Konrada Graczyka „Operacja »Reichswehrministerium«. Misja majora Jerzego Sosnowskiego". Rotmistrz zwraca się do konsulatu generalnego w Berlinie, by wysłał do MSZ pismo o stwierdzenie, że posiada rozległe place we Lwowie, z których ma bardzo duży dochód, a dostaje także dochody z majątku ziemskiego administrowanego przez ojca. Musi bowiem takie zaświadczenie przedstawić niemieckim władzom podatkowym.

Część historyków pisząca o rtm. Sosnowskim uważa, że była to łatwa do zweryfikowania legenda, a więc narażająca szefa siatki wywiadowczej w stolicy Niemiec na zdemaskowanie. Inni natomiast twierdzą, że legenda, „choć mało wiarygodna, a nawet prymitywna, przez długi czas działała przekonywująco" (H. Ćwięk, „Rotmistrz Sosnowski. As wywiadu Drugiej Rzeczypospolitej").

Benita, Renata, Irena

Aby zyskać we wpływowych kręgach przyjaciół i dojść do ludzi, którzy mogliby stać się cennymi źródłami informacji dla Oddziału II, rotmistrz nie mógł oszczędzać, wprost przeciwnie. A stosowne pieniądze musiał mieć dla kobiet, gdyż to one właśnie stały się jego głównymi agentkami. Sposób ich werbowania nie był specjalnie oryginalny, lecz w wykonaniu męskiego rotmistrza, czarującego dżentelmena, okazał się niezwykle skuteczny. Kobiety lgnęły do niego, a on rozpieszczał, rozkochiwał je w sobie.

Pierwszą cenną zdobyczą Sosnowskiego – zarówno mężczyzny, jak i rezydenta wywiadu – była Benita von Falkenhayn. Miała znajomości w kręgach wojskowych i to właśnie ona poznała rotmistrza z Renate von Natzmer – która także została jego kochanką – oraz z Irene von Jena. I to ona je zwerbowała. Obie kobiety pracowały w Reichswehrministerium (ministerstwie obrony) na niskich wprawdzie stanowiskach urzędniczych, lecz miały styczność z najtajniejszymi dokumentami. Pochodziły z dobrych, szlacheckich rodów, narzekały na swój niski status materialny, brakowało im pieniędzy na dostatnie życie. Oferował je Sosnowski w zamian za dokumenty z ministerstwa obrony. Jednakże przekonanie Renaty, mimo że była zadurzona w rotmistrzu, i Irene, także pragnącej poprawić swój mizerny status materialny, do zdrady tajemnic własnego kraju wymagało pewnej finezji. Sosnowski nie powiedział im, że będą pracować dla polskiego wywiadu, i przekonywał, że wynosząc tajne dokumenty z ministerstwa, działają w istocie dla dobra swojego kraju.

Akcentując swoje antykomunistyczne poglądy, zwierzał się kochankom, że



Jerzy Sosnowski w mundurze 13. Pułku Ułanów FOT. WIKIPEDIA

jest bardzo zaniepokojony kontaktami wojskowymi Niemiec ze Związkiem Sowieckim, gdyż uważał sowiecki reżim za niebezpieczny zarówno dla Niemiec, jak i dla całej Europy. A tak się składa – opowiadał Sosnowski – że ma znajomego Brytyjczyka, Mr. Gravesa, który podziela jego przekonania i chciałby, żeby Berlin nawiązał bliskie stosunki z Londynem i zerwał konszachty z Kremlem. I to on jest zainteresowany tajnymi dokumentami dotyczącymi niemiecko-sowieckiej współpracy. Czy von Natzmer i von Jena uwierzyły w to? Z pewnością uspokoiły swoje sumienia. Szczególnie dotyczyło to tej pierwszej, niekryjącej się ze swoimi antypolskimi poglądami. Urok rotmistrza przełamał te uprzedzenia, nie na tyle jednak, by się zgodziła pracować dla polskiego wywiadu. Potrzebny był więc fikcyjny pan Graves.

Niezwykle cenne dla Sosnowskiego i jego agentek było poznanie – także poprzez Benitę – Günthera Rudloffa, oficera Abwehrstelle Berlin. Rotmistrz wykorzystał jego skłonność do hazardu i popadania w długi. Zaproponował pomoc finansową, jednakże – jak mówił – ponieważ pożycza pieniądze ojca, dla porządku prosi o pokwitowanie na kartce papieru przyjęcia 2 tys. marek i podpis. Tylko tyle. Zabrał dokument do Warszawy, a tam „dopisał kilka słów, które nadawały mu wyraziste i groźne dla Rudloffa brzmienie: »Pokwitowanie dla rotmistrza von Sosnowskiego, oficera wywiadu w sztabie generalnym polskiego Ministerstwa Wojny. Zaświadczam otrzymanie 2000 marek jako pożyczkę«" (M. Zacharski, „Rotmistrz").

Dziwne, że oficer Abwehry dał się nabrać na taki prosty chwyt, ale dzięki temu Sosnowski miał go w ręku. Rudloff wszelkie doniesienia o rotmistrzu jako szpiegu bagatelizował i nie nadawał im biegu. Co więcej, zarejestrował go jako agenta Abwehry, aby pokrzyżować podejrzenia. Inna sprawa, że Rudloff odszedł z Abwehry w 1928 r., ale najwyraźniej miał nadal niezłe kontakty i możliwości chronienia rotmistrza.

Tajemnice Rzeszy

Od swoich agentek w Reichswehrministerium Sosnowski otrzymywał do skopiowania tajne dokumenty dotyczące skrytego finansowania niemieckich

eprasa.pl ede0eab6fd



Tor wyścigów konnych w Hoppegarten

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

zbrojeń, współpracy wojskowej niemiecko-sowieckiej, lecz najcenniejszą zdobyczą był przekazany w 1929 r. przez Renatę von Natzmer A-Plan (nazywany także Organistation Kriegsspiel – OK-Plan). Dokument ten opisywany jest jako plan mobilizacji, dyslokacji i koncentracji niemieckich jednostek w konflikcie zbrojnym z Polską lub jako plan opracowany z myślą o wojnie z Polską (H. Ćwięk, dz. cyt.).

A-Plan był jeszcze w tym samym 1929 r. określony jako autentyczny przez oficera przybyłego z centrali. Kwestię sporną stanowiła cena, a zawirowania wokół niej przysporzyły kłopotów Sosnowskiemu, gdy znalazł się w Polsce. Renata von Natzmer zażądała początkowo aż 40 tys. marek. Oddział II proponował natomiast 12 tys. Gotowa była przystać na to, lecz Benita von Falkenhayn się nie zgodziła. Transakcja nie doszła do skutku. Sosnowski proponował później zakup za 10 tys. marek, a ostatecznie w 1932 r. przekazał A-Plan za darmo do centrali. W Warszawie wzbudziło to daleko idące podejrzenia, tym bardziej że wywiad francuski poinformował, iż wie o tym dokumencie. Stwierdzono, że Sosnowski przekazał gratisowo A-Plan, gdyż wziął już za niego pieniądze. „Benita domniemywała, że Sosnowski przekazał A-Plan nie tylko do Polski. Jako odbiorców podawała wywiady angielski i francuski. Ze względu na tryb życia polskiego oficera i jego potrzeby pieniężne, nie można wykluczyć tej hipotezy" (K. Graczyk, dz. cyt.).

Być może rotmistrz potrzebował więcej pieniędzy na kreowanie się na zamożnego człowieka i opłacane agentek, niż dostawał z centrali. To niejedyny powód kłopotów rotmistrza po powrocie do kraju. Były nimi „martwe dusze", czyli nieistniejące agentki, na które pobierał pieniądze z kasy Oddziału II. Powodem tej mistyfikacji było obniżenie przez Sosnowskiego wynagrodzenia dla Benity i Renaty. Wówczas właśnie wpadły na pomysł zarabiania na fikcyjnych agentkach. Sosnowski przyznawał: „Nakłaniałem obie panie do obrony ich pieniężnych praw i interesów wobec mojego przełożonego" (K. Graczyk, dz. cyt.).

Kobiety i kłopoty

Dzięki swoim kochankom, a miał ich wiele, rotmistrz zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany przez niemieckie służby, informowały go o propozycjach, by go inwigilować, i o przedsięwzięciach podejmowanych w jego sprawie. Miał też świadomość, że legenda o bogatych rodzicach finansujących syna legła w gruzach. Gdy przyjechali do Berlina, informację o prawdziwym statusie materialnym wyciągnęła od nich baronowa Bucholtz. Zawiedziona odrzuceniem jej zalotów przez Sosnowskiego, z zemsty doniosła o tym władzom, spowodowała też w 1932 r. ukazanie się artykułu w berlińskiej gazecie sugerującego, że czarujący Polak jest szpiegiem. Ale nie miało to konsekwencji. Zapewne Rudloff uciął dalsze dociekania. A może Sosnowski miał jeszcze inne osoby, które go chroniły.

Zbliżała się jednak katastrofa. Nazywała się Lea Niako. Była to młoda tancerka, naprawdę nazywała się Lea Kruse. W 1933 r. została kochanką Sosnowskiego. Obiecywał, że wciągnie ją do biznesu filmowego, że dostanie ważną rolę. Nie był w stanie wywiązać się z tej obietnicy. Wciągnął ją natomiast do siatki szpiegowskiej. Niako miała, wykorzystując kontakty towarzyskie, a także swój powab, poznawać słabostki oficerów Wehrmachtu (długi, hazard, seks). Zawiedziona, a może też zazdrosna o inne kobiety Niako przystała na zaproponowaną jej inwigilację majora. „W lutym 1934 r. wydaje się, że Sosnowski traci całkowicie poczucie zagrożenia. Trudno dzisiaj oceniać, czy było to wynikiem zmęczenia wieloletnią pracą w terenie, czy też nadmiarem alkoholu, który staje się jego zmorą […]. Zaczął chwalić się jej swoimi niewątpliwymi osiągnięciami wywiadowczymi. Powiedział jej wtedy, że ma dorobiony klucz do szafy pancernej mieszczącej się w Inspekcji »6« Reichswehrministerium" (M. Zacharski, dz. cyt.).

Pracowała tam Renate von Natzmer. Kwestią sporną i niewyjaśnioną jest to, czy rotmistrz także zdradził tancerce jej nazwisko, a także nazwisko Irene von Jena. Przechwalał się ponadto, że zna wpływową osobę w NSDAP.

Centrala sugerowała Sosnowskiemu opuszczenie Niemiec, a rotmistrz bagatelizował ostrzeżenia od kilku związanych z nim kobiet, że jest śledzony i zagrożony. „Na kilka dni przed zatrzymaniem Kruse poinformowała Sosnowskiego, że zostanie wkrótce aresztowany i nastąpi to przy okazji wieczoru tanecznego" (K. Graczyk, dz. cyt.). 27 lutego 1934 r. odbył się, zorganizowany przez Sosnowskiego wieczór taneczny, na którym występowała Niako. Stało się tak, jak powiedziała.

Więzień Oddziału II

Na ławie oskarżonych przed niemieckim sądem stanęli w lutym 1935 r.: Sosnowski, jego agentki Falkenhayn, Natzmer i Jena. Akt oskarżenia oparł się w największej mierze na zeznaniach Natzmer, która załamała się i sądziła, że wybroni się od najcięższej kary. Myliła się. Ona i Falkenhayn zostały skazane na karę śmierci, Sosnowski i Jena mieli resztę życia spędzić w więzieniu. Benita von Falkenhayn pisała w grypsie: „Kochany Jurku! Za kilka godzin będzie po wszystkim. W całym swoim życiu kochałam tylko Ciebie. Wybaczam ci wszystko i mam nadzieję, że mnie także zostanie wszystko wybaczone. Może Najświętsza Panna Częstochowska, przed której obrazem modliliśmy się razem, wstawi się za mną. Benita" (za: H. Ćwięk, dz. cyt.). Dwa dni po wydaniu wyroku Benita i Renata zostały ścięte toporem.

eprasa.pl ede0eab6fd

W efekcie działań polskich władz Sosnowski wrócił do Polski w drodze wymiany agentów w kwietniu 1936 r. Był na wolności jednak tylko tyle, ile trwała podróż z granicy do Warszawy. Został przewieziony do lokalu Oddziału II i był tam więziony bezprawnie, bez nakazu aresztowania, bez przestawienia zarzutów przez 18 miesięcy.

W tym czasie starano się go skłonić do przyznania się, że zdradził i był niemieckim agentem. Zdesperowany rotmistrz usiłował popełnić samobójstwo, odratowano go. Później podjął głodówkę.

Dopiero dzięki przemyconemu grypsowi o jego sytuacji dowiedział się marszałek Edward Rydz-Śmigły. Szefostwo Oddziału II, na którego czele stał płk Tadeusz Pełczyński, a szefem wywiadu był ppłk Stefan Mayer, nie raczyło powiadomić generalnego inspektora sił zbrojnych, że bezprawnie przetrzymują Sosnowskiego. Dopiero wówczas na żądanie marszałka sporządzono doniesienie karne do prokuratury wojskowej.

Oskarżano w nim mjr. Jerzego Sosnowskiego, że od 1929 r. współpracował z niemieckim kontrwywiadem i świadomie wprowadzał władze polskie w błąd poprzez przekazywanie materiału przygotowanego przez Niemców.

Z bohatera zrobiono zdrajcę. Dlaczego? Jedną z przyczyn była chorobliwa podejrzliwość szefostwa Oddziału II po ogromnej kompromitacji związanej z aferą MOCR-Trust. Przez kilka lat Oddział II dawał się wodzić za nos sowieckim służbom, współpracując z rzekomo kontrrewolucyjną organizacją, która w istocie była kierowana przez czekistów. Po tym doświadczeniu wszędzie węszono podstęp i zdradę. Nie wierzono też, że Sosnowski mógł zwerbować agentki w Reichswehrministerium i że są one w stanie wynosić tajne dokumenty.

Przyznać jednak trzeba, że Sosnowski dawał powody do podejrzeń, a były nimi wspomniane targi o zapłatę za zdobyty A-Plan i sprawa „martwych dusz", a także odmowa przyjechania do Polski, którą tłumaczył możliwością dekonspiracji. Jednak wszystkie wątpliwości rozstrzygano na niekorzyść Sosnowskiego. Ponadto w 1925 r. Oddział II zakupił od oszusta, niejakiego Schrecka, zresztą swojego agenta, niemiecki plan mobilizacyjny przez niego spreparowany. Po takiej wpadce nic dziwnego, że odnoszono się podejrzliwie do A-Planu. Była jednak w tej sprawie rzecz ważniejsza. „Obawiano się, że po uznaniu prawdziwości planu uzyskanego przez von Natzmer, raz jeszcze będzie podnoszona kwestia ich fatalnej w skutkach decyzji o kupnie fałszywych papierów" (M. Zacharski, dz. cyt.). Dlatego też autentyczny dokument oceniono jako „ćwiczenie aplikacyjne dla celów szkoleniowych".

Sosnowski stał się też ofiarą wewnętrznej walki w Oddziale II. Na eksperta w jego sprawie powołano kpt. Niezbrzyckiego, szefa Referatu „W", który nie miał pojęcia o specyfice pracy w Niemczech i nie znał nawet języka niemieckiego. Nie było to jednak najistotniejsze. „Niezbrzycki dążył do skompromitowania pracy Referatu »Zachód« w związku z rywalizacją, jaka od dawna istniała między referatami wywiadowczymi" (H. Ćwięk, dz. cyt.).

Była to niewątpliwie rywalizacja o pieniądze. Każdy z referatów uważał, że na jego kierunku zagrożenie jest ważniejsze i wobec tego potrzebuje więcej funduszy niż ten drugi. Poza tym Niezbrzycki „wchodził w skład wpływowej grupy oficerów kierunku wschodniego […] dostrzegającej przede wszystkim niebezpieczeństwo ze strony Związku Sowieckiego i podatnej w pewnym stopniu na zbliżenie z Niemcami" (H. Ćwięk, dz. cyt.). A do tej grupy należeli ludzie, którzy uważali – dla swoich potrzeb – Sosnowskiego za zdrajcę lub przyjmowali taką ocenę: płk Stefan Mayer, ppłk Tadeusz Pełczyński, ppłk Wilhelm Heinrich, drugi „ekspert", który tak jak Niezbrzycki nie miał pojęcia o specyfice działań w Niemczech.

Całkiem możliwe, że do zrobienia z Sosnowskiego niemieckiego agenta przyczyniła się też zawiść oficerów z centrali, którzy nie mogli darować Sosnowskiemu niebywałego powodzenia u kobiet i luksusowego życia za pieniądze Oddziału II. Insynuowali, że te wydatki w żadnej mierze nie zwracały się w postaci cennych tajnych dokumentów, które Sosnowski pozyskiwał. Było wręcz odwrotnie.

Proces Sosnowskiego, który zakończył się w czerwcu 1939 r., miał charakter wybitnie poszlakowy, a major nie przyznał się do winy. Poza tym sąd wojskowy – wbrew zasadzie prawa karnego – wszelkie wątpliwości rozstrzygał, identycznie jak szefostwo Oddziału II, na niekorzyść mjr. Sosnowskiego. W rezultacie został on skazany na 15 lat więzienia za zdradę państwa.

„W istocie za zasadny można uznać jedynie zarzut polegający na wprowadzeniu w błąd kierownictwa polskiego wywiadu poprzez zarejestrowanie agentek – martwych dusz i uzyskanie z tego tytułu dodatkowych środków finansowych […]. Przewina ta ma się nijak do jego [Sosnowskiego – przyp. T.S.] zasług obejmujących dostarczenie – jak wskazał niemiecki biegły tylko w odniesieniu do Renate von Natzmer – setek tajnych dokumentów […] pozwalały zorientować się zarówno co do ówczesnego stanu osobowego i gotowości niemieckich sił zbrojnych, jak też kierunków rozwoju technicznego broni oraz doktryny wojennej" (K. Graczyk, dz. cyt.).

We wrześniu 1939 r. Sosnowski podążał w konwoju ku granicy rumuńskiej. Miał otrzymać polecenie prowadzenia działalności szpiegowskiej wymierzonej przeciw Związkowi Sowieckiemu. Dostał się w ręce NKWD, miał podjąć współpracę. Nie wypuszczono go na wolność po zawarciu układu Sikorski-Majski. Zmarł w więzieniu w Saratowie w 1942 r.

Postępowanie rehabilitacyjne w sprawie mjr. Jerzego Sosnowskiego nie może się odbyć, gdyż nie został on – jak zauważał Konrad Graczyk – skazany prawomocnym wyrokiem, nie ma też akt jego sprawy, których zbadania wymaga takie postępowanie.



Lea Niako FOT. DAS KLEINE MAGAZIN/ ARTHISTORICUM.NET

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd



Dekoracja ulic Berlina, prawdopodobnie z okazji święta 1 Maja w 1937 r. FOT. THOMAS NEUMANN/ NATIONAL ARCHIVES OF NORWAY

Oddział II / Wywiad Sztabu Generalnego Wojska Polskiego

Wojna tajnych służb



Grzegorz Janiszewski

Polski wywiad na kierunku niemieckim odnosił spore sukcesy w konfrontacji z Abwehrą, a mimo to pozostał narzędziem nie do końca wykorzystanym

W otoczonej przez wrogów II RP służby wywiadowcze nie miały łatwego zadania. W zdobywanie kluczowych informacji polskie państwo mogło zaangażować zaledwie ułamek potencjału, który angażowały Niemcy czy sowiecka Rosja. Pomimo tego, zwłaszcza na kierunku zachodnim, polski wywiad odnosił spore sukcesy. Stało się to głównie dzięki zaangażowaniu pracujących dla niego ludzi. Niestety, ich umiejętności nie zostały do końca wykorzystane.

Wywiad armii kajzerowskiej był perfekcyjnie działającą maszyną, mającą nie tylko dostarczać informacje, lecz także podejmować działania ofensywne, wspierające wysiłek na froncie. Niemieckie służby potrafiły podejmować dalekosiężne i spektakularne akcje. Ich agenci wysadzili amerykański skład amunicji na wyspie Black Tom w Zatoce Nowojorskiej w 1916 r., wywoływali bunty żołnierzy na froncie, a nawet sprokurowali podróż Lenina ze Szwajcarii do Rosji, zakończoną bolszewicką rewolucją. Oficerowie niemieckiego wywiadu nie uważali swojej pracy za uwłaczającą honorowi, i bez oporów podawali rękę na przywitanie swoim agentom, często pochodzącym z nizin społecznych. Po zakończeniu służby z dumą dodawali na wizytówkach litery NO („Nachrichtenoffizier” – oficer

eprasa.pl ede0eab6fd

wywiadu). Szpiegowanie dla niemieckiego państwa było zaszczytem.

Zgodnie z traktatem wersalskim Niemcy nie mogły prowadzić ofensywnego wywiadu ani posiadać Sztabu Generalnego. Szybko jednak zaczęto te zakazy omijać. Na początku 1921 r. powstaje Reichswehrministerium, a w nim Abwehrgruppe (defensywna jedynie z nazwy), zakonspirowana jako komórka statystyczna T3 w Truppenamcie – tajnym sztabie generalnym. Pełniło tam służbę do 10 oficerów, zajmujących się również kontrwywiadem, oraz personel pomocniczy. Do tego dochodziło osiem placówek terenowych.

Nie mogąc prowadzić oficjalnej działalności wywiadowczej, Niemcy „sprywatyzowali" ją, podobnie jak inne, zakazane przez traktat wersalski służby. Wywiadem zajęła się organizacja Nuntia, będąca częścią prywatnej spółki handlowo-spedycyjnej. Zatrudnieni tam oficerowie niemieckiego wywiadu zajęli się dostarczaniem informacji na potrzeby Reichswehry, działając ściśle według instrukcji Abwehrgruppe. Na jej rzecz pracowała też cała sieć prywatnych firm detektywistycznych, wywiadowni i instytutów badawczych. Tak prowadzony wywiad w dużej części finansowany był przez niemiecki przemysł, czerpiący też z tego niemałe korzyści.

Polskie władze starały się nadążyć za sąsiadami. Służba wywiadu i kontrwywiadu powstała jeszcze przed odzyskaniem niepodległości – dekretem Rady Regencyjnej z 25 października 1918 r. – jako czteroosobowy Wydział Informacyjny Sztabu Generalnego. Piłsudski, jako długoletni konspirator, który miał sporo do czynienia z tajnymi służbami wszystkich państw zaborczych, doskonale zdawał sobie sprawę z wagi służb wywiadowczych, obsadzając kierownicze stanowiska swoimi zaufanymi. W maju 1919 r. wydział otrzymał nazwę Oddział II, pod którą był znany przez cały okres międzywojenny. W tym samym roku przystąpił do intensywnego rozpoznawania sytuacji w Niemczech. W centrali zajmował się tym kilkuosobowy Referat „Zachód".

Trudno i łatwo

Początkowo sytuacja nie wydawała się groźna. Niemcy, spętani wersalskimi zakazami, prowadzili działania w ograniczonym zakresie. Przestali się krępować po opuszczeniu Niemiec przez Międzysojuszniczą Komisję Kontrolną w 1927 r. Rozrzucone po różnych instytucjach ogniwa działań wywiadowczych zaczęły być centralizowane, a Abwehra podporządkowana bezpośrednio Reichswehrministerium. Liczba jej placówek wzrosła do ok. 30. Działalność przeciwko Polsce prowadzono głównie z Królewca, ze Szczecina, z Frankfurtu nad Odrą, Wrocławia oraz pod przykrywką policji Wolnego Miasta Gdańska. Niemcom najbardziej zależało na informacjach o polskim wojsku. Udawało im się pozyskiwać również polskich żołnierzy. Podstawą współpracy były zwykle pieniądze wypłacane na spłatę zaciągniętych długów albo na życie ponad stan i zakup narkotyków. Wyjątkowo chętnie z Abwehrą współpracowali członkowie prawie milionowej mniejszości niemieckiej w Polsce, jak również mamieni wizją niepodległości Ukraińcy.

Polskie wojskowe tajemnice były dobrze chronione i o próbach uzyskania dokumentów – a te najbardziej interesowały Abwehrę – szybko dowiadywali się oficerowie kontrwywiadu pełniący służbę w podlegających pod Oddział II Samodzielnych Referatach Informacyjnych przy Dowództwach Okręgów Korpusów. Niemieckim szpiegom podsuwano spreparowane dokumenty, a kiedy mocodawcy orientowali się, że są oszukiwani, sprawców stawiano przed polskimi sądami, które często w takich wypadkach orzekały karę śmierci. Niemcom nigdy nie udało się pozyskać naprawdę cennych źródeł informacji, które mogłyby dać wgląd w ordre de bataille i plany mobilizacyjne polskiej armii.

Po dojściu Hitlera do władzy nastąpiły dalszy rozwój i konsolidacja niemieckiego wywiadu. Mimo „normalizacji" stosunków z III Rzeszą toczyła się bezpardonowa walka Dwójki z Abwehrą, która kierowana od 1935 r. przez adm. Canarisa, stała się doskonale działającą maszyną wywiadu i dywersji. Canaris szczycił się tym, że „zlikwidował białe plamy na mapie szpiegostwa w Polsce". Przed samą wojną Abwehra liczyła ok. 2 tys. kadrowych pracowników. Do tego trzeba doliczyć nawet kilkadziesiąt tysięcy agentów i informatorów.



Wilhelm Canaris, szef Abwehry FOT. WIKIPEDIA

Personel II Oddziału w szczytowym okresie przed wybuchem wojny to zaledwie ok. 800 osób. Zdawano sobie sprawę, że szczupłość sił i środków wymusza konieczność prowadzenia wywiadu bardzo głębokiego, dostarczającego informacji z samego centrum Reichswehry, a później Wehrmachtu. Temu służyły akcje ofensywne, przynoszące często rezultaty przechodzące najśmielsze oczekiwania.

Udający polskiego hrabiego rtm. Jerzy Sosnowski przez prawie dziewięć lat działał w Berlinie, pozyskując do

eprasa.pl ede0eab6fd



Niemiecka maszyna szyfrująca Enigma FOT. JOYOFMUSEUMS.COM/WIKIPEDIA

współpracy głównie kobiety zatrudnione w Reichswehrministerium. Zdobywał ściśle tajne informacje na temat prowadzonych przez Niemców we współpracy z Sowietami badań nad rozwojem lotnictwa, broni pancernej i chemicznej, zakazanych przez traktat wersalski. Dostarczył też dokument „Organisation-Kriegsspiel", czyli plan niemieckiego ataku na Polskę.

Inny as polskiego wywiadu, kierujący Ekspozyturą nr 3 Oddziału II w Bydgoszczy mjr Jan Żychoń, zorganizował akcję „Wózek". Dwójkarze we współpracy z polskimi kolejarzami, ale i kasiarzami niepostrzeżenie wykradali i kopiowali tajne niemieckie dokumenty wojskowe przewożone pociągami przejeżdżającymi tranzytem przez Polskę. Po aresztowaniu rtm. Sosnowskiego w 1934 r. źródło to przynosiło nawet i 60 proc. informacji z głębokiego wywiadu.

Największym bodaj sukcesem Dwójki, a właściwie pracujących dla niej kryptologów, było złamanie szyfru Enigmy. Ta niemiecka elektromechaniczna maszyna do szyfrowania wykorzystywała nie tylko koła zębate, lecz także właściwości prądu elektrycznego. W efekcie depesze były kodowane niezwykle trudnym wówczas do złamania szyfrem polialfabetycznym. Polegał on na wielokrotnej zmianie każdej litery, za każdym razem innym kodem. Pozwalało to ukryć językowe cechy tekstu.

Wraz z wprowadzaniem Enigmy do użytku w niemieckim wojsku i instytucjach państwowych od 1926 r. służby wywiadowcze innych państw traciły możliwość deszyfrowania przesyłanych za pomocą tych maszyn depesz. Brytyjczycy i Francuzi w końcu uznali szyfr za niemożliwy do złamania.

Polakom udało się to dzięki nieszablonowemu podejściu. Do rozpracowania matematycznej maszyny zaangażowali matematyków, zamiast – jak dotychczas – lingwistów. Biuro Szyfrów Oddziału II zatrudniło zdolnych absolwentów Uniwersytetu Poznańskiego – Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego i Jerzego Różyckiego, pracujących pod kierownictwem pasjonata techniki mjr Gwido Langera, a zwłaszcza jego zastępcy Maksymiliana Ciężkiego. Przystępując do złamania szyfru, Rejewski tworzył skomplikowane równania matematyczne z dużą ilością niewiadomych, które w końcu stały się niemożliwe do rozwiązania. Z pomocą przyszedł wywiad francuski, który w grudniu 1932 r. przekazał Dwójce książkę kodową Enigmy pozyskaną od francuskiego agenta Hansa – Thillo Schmidta – pracownika biura szyfrów Reichswehrministerium. Francuzi uznawali ten materiał za mało przydatny, jednak Rejewski zdołał z niego wyciągnąć brakujące dane i rozwiązać równania. Pierwszy raz udało się złamać szyfr Enigmy.

Niemcy ciągle doskonalili maszynę. Aby za nimi nadążyć, Polacy budowali własne narzędzia deszyfrażu – kopie maszyn, cyklometry do wyliczania permutacji szyfrogramów, „bombę Rejewskiego", która pozwalała na automatyczne łamanie kodów i perforowane „płachty Zygalskiego", do określania kolejności wirników szyfrujących maszyny. W końcu pomieszczenia sekcji niemieckiej w podwarszawskich Pyrach zostały zastawione „bombami" (zbudowano ich 60) i płachtami. Wysiłek finansowy związany z rozszyfrowywaniem Enigmy znacznie przekraczał możliwości Dwójki. Z tych względów i z powodu zbliżającej się wielkimi krokami wojny w lipcu 1939 r. bezinteresownie przekazano polskie repliki Enigmy wraz z dokumentacją przedstawicielom wywiadu Francji i Wielkiej Brytanii. Polski wywiad zdobywał też inne, cenne informacje. Na przykład o próbach z pociskami rakietowym w tajnym ośrodku w Peenemünde.

Największym kapitałem Dwójki na kierunku zachodnim byli ludzie. Większość pochodziła z ziem dawnego zaboru pruskiego, doskonale znali więc nie tylko język, lecz także mentalność i zwyczaje zwykle działających schematycznie Niemców.

Blaski i cienie

Złamanie kodu Enigmy było bodaj najważniejszym sukcesem na tajnym froncie walki z III Rzeszą. Skróciło wojnę o kilka lat i ocaliło dziesiątki milionów istnień ludzkich. Jak twierdził prof. Jan Ciechanowski, ocaliło również Europę i świat przed nuklearną katastrofą. Choćby to doskonale świadczy o możliwościach przedwojennego polskiego wywiadu. Możliwościach nie do końca wykorzystanych.

Polskie kierownictwo polityczne za kierunek priorytetowy prawie do samego wybuchu wojny uznawało wywiad na Rosję Sowiecką. Naprawdę intensywną pracę na kierunku niemieckim rozpoczęto dopiero od marca 1939 r. Utworzono wtedy Samodzielny Referat Informacyjny „Niemcy", który opracowywał codzienne komunikaty o niemieckich posunięciach dla naczelnych władz wojskowych i politycznych.

Polski wywiad potrafił pozyskiwać agentów ulokowanych głęboko w strukturach niemieckich sił zbrojnych i zdobywać najcenniejsze informacje. Zwłaszcza dotyczące rozbudowy niemieckiej armii i przygotowań do ataku na Polskę. In-

eprasa.pl ede0eab6fd

formacje uzyskiwane przez Abwehrę – mimo przewagi finansowej, technicznej i ludzkiej – zwykle były płytsze i mniej dokładne, ograniczające się do poszczególnych jednostek. O polskich planach mobilizacyjnych i strukturze WP na czas wojny Niemcy wiedzieli niewiele, podobnie jak o chronionym przez wojskowy kontrwywiad przemyśle zbrojeniowym.

W miarę rozwoju sytuacji na kierunku zachodnim w 1939 r. Dwójka potrafiła przedstawić Śmigłemu-Rydzowi „plastyczną mapę", dokładnie obrazującą gromadzenie się oddziałów Wehrmachtu u polskich granic. Mimo tego – z powodów politycznych – marszałek rozmieścił polskie jednostki w sposób ułatwiający przełamanie obrony Niemcom.

Polityka i szpiedzy

I to właśnie wielka polityka zwykle nie pozwalała wykorzystać możliwości wywiadu. Piłsudski zawsze zachowywał trzeźwy stosunek do Niemiec. Po jego śmierci sygnały z Oddziału II świadczące o zbliżającej się agresji często były lekceważone, zwłaszcza przez nastawionego życzeniowo Józefa Becka.

Z powodów politycznych zerwana została obiecująca współpraca z wywiadem czechosłowackim. Zlekceważono wyraźne ostrzeżenia – zwłaszcza polskiego attaché wojskowego w Berlinie ppłk. Antoniego Szymańskiego – o nadciągającej wojnie. Największym bodaj mankamentem polskiego wywiadu był brak agentury uplasowanej wysoko w kołach wojskowych i politycznych. Zaskoczeniem był Anschluss Austrii i zajęcie Czechosłowacji. Brak było informacji co do intencji naszych sojuszników – Wielkiej Brytanii i Francji – a zwłaszcza o prawdziwej naturze paktu Ribbentrop-Mołotow, który Beck uważał za „chwyt psychologiczny". Potrzebę rzetelnej informacji zastępowano wańkowiczowskim „chciejstwem".

Mimo tego oficerowie Dwójki na kierunku zachodnim zwykle potrafili stanąć na wysokości zadania, przechodząc do legendy jako twórcy najlepszych polskich służb specjalnych w historii.







Niemieckie plakaty propagandowe
FOT. DOMENA PUBLICZNA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Kto naprawdę wygrał II wojnę światową?

I dlaczego Niemcy...?

BELLONA KSIĘGARNIE Świat Książki swiatksiazki.pl

eprasa.pl ede0eab6fd

Fotoreportaż / Tajna wojna w ujściu Wisły

Wolne miasto szpiegów

Miejscem, w którym ścierały się ze sobą tajne służby Polski i Niemiec, było Wolne Miasto Gdańsk. Tu działali podwójni agenci i superszpiedzy, tu rozgrywały się zakulisowe intrygi i koronkowe operacje. Zabójstwa, porwania, wykradanie dokumentów



Mapa Wolnego Miasta Gdańska

FOT. DOMENA PUBLICZNA

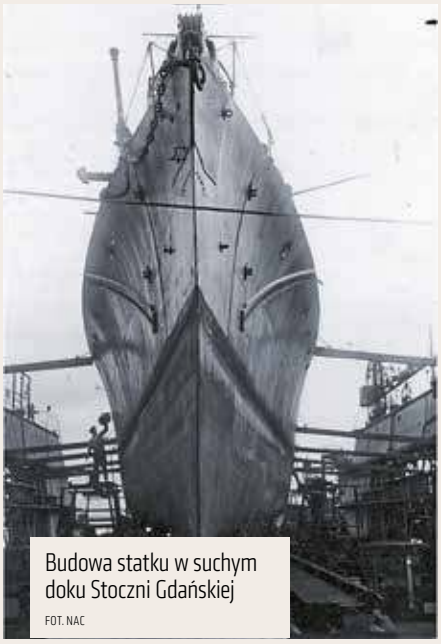
eprasa.pl ede0eab6fd



Panorama Głównego Miasta z kościołem Mariackim FOT. NAC



Molo w Sopocie i Kasino-Hotel (obecnie Sofitel Grand Sopot) FOT. NAC



Budowa statku w suchym doku Stoczni Gdańskiej
FOT. NAC



Helmer Rosting, wysoki komisarz Ligi Narodowej, w Wolnym Mieście Gdańsku z żoną FOT. NAC



Fotografia lotnicza, na której widać m.in. stocznię
FOT. NAC



Lotnicy z Akaflieg Danzig (aeroklubu gdańskiego) FOT. NAC

eprasa.pl ede0eab6fd



1886–1941 / Ekshumacja drugiego marszałka

Prace ekshumacyjne w grobie Edwarda Śmigłego-Rydza FOT. IPN

Tajemnica pochodzenia „Śmigłego”



Sławomir Koper

Na Powązkach być może faktycznie pochowano Śmigłego-Rydza. Jednak czy badania genetyczne to potwierdzą?

Zawsze uważałem, że należy wymazywać białe plamy z historii Polski, i dlatego twierdziłem, że należy dokonać ekshumacji szczątków marsz. Śmigłego-Rydza. Chodziło bowiem nie tylko o wyjaśnienie, czy faktycznie pochowano go w grudniu 1941 r. na Starych Powązkach w Warszawie, lecz także o próbę ustalenia przyczyn jego śmierci. Informacje na temat okoliczności zgonu byłego Naczelnego Wodza są bowiem mocno podejrzane i z tego powodu stały się podstawą do głoszenia różnych spiskowych teorii. Inna sprawa, że gdyby chociaż jedna z nich się potwierdziła, to dzieje Polski okresu okupacji należałoby napisać na nowo.

15 listopada br. pod egidą IPN otwarto grób marszałka na Starych Powązkach, a pierwsze relacje zdają się potwierdzać, że mogiła faktycznie zawierała szczątki „Śmigłego”. Dużo więcej przyniosą jednak oględziny antropologiczne, a – co ważniejsze – badania genetyczne. I tutaj chciałbym zwrócić uwagę na pewien znamienny fakt. Marszałek nie miał dzieci, logiczne wydaje się zatem pobranie materiału genetycznego od kogoś z rodziny jego ojca, czyli potomków Rydzów z okolic Krakowa. Tylko że według moich podejrzeń, głoszonych wraz z dr. Tymoteuszem Pawłowskim i zawartych w naszej biografii „Śmigłego”, może dojść do pewnego paradoksu. Na Powązkach być może faktycznie pochowano „Śmigłego”, ale badania genetyczne temu zaprzeczą.

Problemy z metryką

Pochodzenie żadnego z polityków II Rzeczypospolitej nie stanowiło bowiem podobnej tajemnicy jak Edwarda Śmigłego-Rydza. Zainteresowanie podsycał zresztą sam marszałek, który konsekwentnie milczał na ten temat, a w jednym z wywiadów powiedział nawet, że człowieka powinny określać aktualne czyny, a nie pochodzenie.

Dlatego krążyły różne plotki. Opowiadano, że „Śmigły” był nieślubnym dzieckiem zarządzającej majątkiem w Łapszynie (w pobliżu Brzeżan we wschodniej Małopolsce), inni utrzymywali, że wywodził się ze zubożałej szlachty galicyjskiej. Natomiast w latach 30. XX stulecia, gdy obóz rządowy poszukiwał porozumienia z działaczami ruchu ludowego, pojawiły się informacje o chłopskim pochodzeniu marszałka.

„Rydz jest pierwszym władcą Polski od Piasta i Lecha – twierdził Stanisław Cat-Mackiewicz – który nie pieczętuje się żadnym herbem. Pochodzenie jego jest dość mętne, według prawnych wersji ma on być synem żandarma czeskiego i Ukrainki, w każdym razie jest to dziecko ludu, które zawdzięczamy Brzeżanom”.

Cat-Mackiewicz nigdy nie ukrywał swojej niechęci do „Śmigłego”, inna sprawa, że elity polityczne II RP wywodziły się z reguły ze szlachty lub inteligencji, więc przyszły marszałek faktycznie stanowił pod tym względem wyjątek. Jednak opinia publicysty zawiera złośliwe

eprasa.pl ede0eab6fd

przeinaczenia i chociaż nigdy nie udało się wyjaśnić wielu tajemnic związanych z pochodzeniem „Śmigłego", jednak jego polski rodowód nie ulega wątpliwości.

Tak naprawdę posiadamy właściwie tylko dwie pewne informacje. Matką przyszłego marszałka była Maria Babiak, córka listonosza (a później policjanta) z Brzeżan. Nie wzbudza też wątpliwości data urodzin: Edward Rydz przyszedł na świat 11 marca 1886 r., najprawdopodobniej w rodzinnym miasteczku swojej matki. Niestety, dalej zaczynają się już problemy z rekonstrukcją jego najmłodszych lat życia.

Zaskakująca jest bowiem data chrztu dziecka: Edward został przyjęty do wspólnoty katolickiej pod koniec lutego 1887 r., zatem aż 11 miesięcy po swoim urodzeniu. Było to zupełnie niespotykane w tamtych czasach, gdy śmiertelność niemowląt była znaczna i chrztu dokonywano niemal natychmiast. Dlaczego więc w przypadku małego Edwarda czekano tak długo?

Zdziwienie wzbudza też inna sprawa. Chłopiec został ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim, podczas gdy rodzina matki była greckokatolicka. Wprawdzie z zasady dzieci płci męskiej pochodzące z mieszanych religijnie związków chrzczono zgodnie z wyznaniem ojca, jednak w przypadku Edwarda raczej nie wchodzi to w rachubę. Przyszły marszałek był bowiem dzieckiem z nieprawego łoża i w dokumentach parafialnych zapisano wyłącznie nazwisko jego matki. Zapewne Maria Babiak nie chciała podać nazwiska ojca, a sprawca ciąży nie zamierzał zalegalizować potomka. Być może spór z nim spowodował opóźnienie chrztu, a Maria przez szacunek dla tradycji zorganizowała uroczystość w kościele, a nie w cerkwi. Niewykluczone także, że chrzest katolicki mógł mieć charakter demonstracji – w niewielkich Brzeżanach zapewne wiele osób mogło się domyślać, kto był ojcem dziecka. Nie zmienia to jednak faktu, że ostatecznie nikt nie zalegalizował pochodzenia chłopca przed jego ochrzczeniem i mały Edward został zarejestrowany jako dziecko nieślubne.

Tomasz Rydz

Maria nie zamierzała jednak sprawy pozostawić i rozpoczęła poszukiwania kandydata, który zgodziłby się dać dziecku nazwisko. I takiego człowieka faktycznie niebawem znalazła, było to już jednak po chrzcie potomka. Być może nie dało się już dłużej czekać z uroczystością – niewykluczone zresztą, że mały Edward chorował i chrzest był koniecznością.

Wybraniec jego matki nazywał się Tomasz Rydz, był synem kowala z Mogilan koło Wieliczki. Pełnił służbę zawodowego podoficera w armii austriackiej, w Brzeżanach stacjonowała jego macierzysta jednostka (4. Pułk Ułanów). Dwa lata po urodzeniu Edwarda poślubił Marię, małżeństwo zawarto w obrządku greckokatolickim. Zapewne właśnie to spowodowało późniejsze pogłoski o ukraińskim pochodzeniu przyszłego marszałka.

Nie wiemy, czy Tomasza Rydza i Marię Babiak łączyły bliższe uczucia czy też ślub miał wyłącznie zalegalizować pochodzenie dziecka. Po latach opowiadano, że oboje już kilka lat wcześniej wzajemnie darzyli się miłością, jednak wówczas małżeństwo uniemożliwiła im trudna sytuacja materialna. Dopiero awans Tomasza na plutonowego miał rozwiązać problemy i umożliwił mu poślubienie ukochanej. Oczywiście jest to historia całkowicie nieprawdopodobna, mająca wyłącznie potwierdzić, że Tomasz był biologicznym ojcem przyszłego marszałka. Gdyby bowiem chcieli się pobrać, uczyniliby to bez większych problemów, zwłaszcza że dziewczyna była w ciąży.



Marszałek Edward Śmigły-Rydz FOT.WIKIPEDIA

Hipotezę tę potwierdza również to, że w czasach II Rzeczypospolitej przesuwano datę ślubu Marii i Tomasza na rok przed urodzeniem Edwarda, starając się zatuszować jego nieprawe pochodzenie. Dlatego, gdy w drugiej połowie lat 30. w Brzeżanach pojawił się kpt. Stanisław Librewski zbierający materiały do biografii „Śmigłego", spotkało się to z bardzo niechętną reakcją samego zainteresowanego. Na jego wyraźne polecenie badacz oddał marszałkowi jego metrykę urodzenia wydobytą z miejscowej parafii.

Tomasz Rydz dał dziecku nazwisko i właściwie na tym zakończyła się jego rola, gdyż niebawem po ślubie zmarł na gruźlicę w lwowskim szpitalu. Zapewne już wcześniej zdawał sobie sprawę ze stanu swojego zdrowia – i małżeństwo z Marią miało umożliwić jej legalizację potomka. Możliwe jest też inne wyjaśnienie jego decyzji, ale całą prawdę znali tylko sami zainteresowani. Natomiast danych prawdziwego ojca „Śmigłego" nigdy nie ustalono.

Młoda wdowa utrzymywała siebie i dziecko z symbolicznej renty, dorabiając sprzątaniem w domach miejscowej inteligencji. Była to praca ponad jej siły, nigdy zresztą nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Niewiele przeżyła męża – także zapadła na gruźlicę i zmarła w wieku 29 lat. Została pochowana na miejscowym cmentarzu, a nad jej grobem po latach położono elegancką czarną płytę.

Właśnie z tej mogiły należałoby pobrać materiał genetyczny, który umożliwiłby przeprowadzenie wiarygodnych badań, co mogłoby potwierdzić identyfikację szczątków marszałka ekshumowanych ze Starych Powązek. Wymagałoby to oczywiście zgody miejscowych władz, ale chyba jest to możliwe do realizacji, a raczej jest to jedyna pewna droga do rozwiązania problemu. Czy jednak z całą pewnością udałoby się zidentyfikować szczątki Marii Babiak, to zupełnie inna sprawa. Wiadomo bowiem tylko, że chorowała na gruźlicę i znamy jej wiek w chwili śmierci i tak naprawdę, to chyba wszystko, co o niej wiemy.

U Uranowiczów

Utrzymanie osieroconego chłopca spadło na jego dziadków, co dodatkowo potwierdza hipotezę, że Tomasz Rydz nie był biologicznym ojcem

eprasa.pl ede0eab6fd



Trumna Edwarda Śmigłego-Rydza FOT. IPN

dziecka. Babiakowie byli bowiem dość ubogimi ludźmi i gdyby istniała taka możliwość, zapewne skorzystaliby z pomocy finansowej rodziny zięcia. Nic takiego jednak nie miało miejsca, a Edward w przyszłości nie utrzymywał żadnych kontaktów z Rydzami spod Wieliczki. Najwyraźniej nie uważał ich za swoich krewnych.

W chwili śmierci Marii dziadek przyszłego marszałka był już na emeryturze, ale dorabiał jako stróż w miejscowej rzeźni, rodzina zamieszkiwała w drewnianym budynku przy ul. Izabelówka. Jan Babiak raczej nie miał specjalnie dobrej opinii o swojej żonie, gdyż często wyrażał obawy o los wnuka po swojej śmierci, uważając partnerkę za kobietę „pospolitą i złą".

Sam cieszył się w Brzeżanach bardzo dobrą opinią, wspominano go jako „człowieka poważnego i ogólnie cenionego". Gdy zmarł, chłopcem zajęła się babka. Wprawdzie „Śmigły" nigdy nie powiedział o niej złego słowa, najwyraźniej jednak pani Babiakowa nie sprawdzała się w tej roli.

„[…] mieszkał na końcu Izabelówki u swojej babki – wspominał przyjaciel z młodości, Edmund Uranowicz – której chata, waląca się, była tak zniszczona, że w nocy przez sufit, jak mówił, gwiazdy widywał, a do tego babka nieraz wymawiała mu kawałek chleba, a nieraz znowu była przy swoich zajęciach i o niego całkiem się nie troszczyła, jak sam mówił, ale rzadko o tym wspominał i dopiero okrężną drogą przez ludzi dowiadywali się rodzice moi, że jest mu tam źle".

Dumą Brzeżan było miejscowe gimnazjum, tam też w 1896 r. rozpoczął naukę Edward Rydz. Chociaż w przyszłości miał się okazać wzorowym uczniem, to jednak powtarzał pierwszą klasę. Brak promocji okazał się jednak wybawieniem, gdyż jednym z najbliższych przyjaciół Edwarda został młodszy o rok Edmund Uranowicz – syn zamożnego lekarza. Chłopcy poznali się w szkole i szybko stali się nierozłączni.

„Rodzice nigdy nie brali mi korepetytora – relacjonował po latach Uranowicz – ale zawsze starali się, abym uczył się z kolegą, a ponieważ generał podobał się moim rodzicom jako chłopak bardzo żywy, a ja byłem »niemrawy«, jak to mnie nazywano, przeto z chwilą rozpoczęcia roku szkolnego na propozycję moich rodziców zaczął przychodzić do nas i uczyliśmy się razem, a wtedy już nawet jego dziadek nie żył […]".

Dzięki staraniom doktora Uranowicza chłopiec otrzymał od rady miejskiej niewielkie stypendium naukowe, co umożliwiło mu dysponowanie własnymi pieniędzmi. W miasteczku szeptano jednak, że Uranowiczowie tanim kosztem załatwili sobie korepetytora i opiekuna dla syna. Jednak bez pomocy rodziców kolegi Rydz zapewne nie ukończyłby szkoły. „Toteż gdy byliśmy w czwartej klasie gimnazjalnej – kontynuował Edmund Uranowicz – i zbliżała się zima, zaproponowali mu rodzice, aby u nas nocował, i od tego czasu stale byliśmy ze sobą, a babkę swoją już tylko odwiedzał".

Nauka i paleta

Kontakt z Uranowiczami wywarł ogromny wpływ na całe życie przyszłego marszałka. Trafił do inteligenckiego domu, miał codzienny kontakt z ludźmi o ambicjach intelektualnych. Korzystał z ich księgozbioru, zaczął interesować się sztuką. Być może dlatego w ostatnich klasach gimnazjum całkowicie pochłonęła go nowa pasja. Odkrył bowiem w sobie talent plastyczny i niemal cały wolny czas spędzał na szkicowaniu.

„Odtąd czym więcej raz malował – opowiadał Uranowicz – gdzie co tylko mu się trafiło, czy widoki, czy martwą naturę, czy osoby, a ja częstym byłem jego modelem, bo umiałem mu godzinami pozować".

Malarstwo całkowicie zdominowało zainteresowania Edwarda. Przy dobrej pogodzie niemal zawsze można go było spotkać na groblach pomiędzy rozlewiskami przepływającej przez Brzeżany Złotej Lipy, gdzie malował lub rysował okoliczne pejzaże. Gdy aura uniemożliwiała pracę w plenerze, kreślił z upodobaniem sceny z powstania styczniowego lub martwe natury. Zainteresował się karykaturą, a udane próby przyniosły mu lokalny rozgłos.

„[…] Był bardzo sympatyczny – wspominał inny z jego szkolnych kolegów […] – nie istniały u niego różnice ani wyznaniowe, ani narodowościowe. W gimnazjum wybijał się jako dobry rysownik i malarz – pamiętam, że w czasie lekcji szkicował czasem fizjonomie kolegów i podawał na karteczce zainteresowanym".

Talent Edwarda był oczywisty i Uranowiczowie zastanawiali się nad wysłaniem go na studia do Krakowa. Pomysł popierała inna protektorka Rydza z Brzeżan – Michalina Widmanowa. Pięćdziesięcioletnia ekscentryczka, wdowa po lwowskim lekarzu, zaproponowała mu nawet pomoc finansową na czas studiów. Wiadomo też, że przyszły marszałek przez pewien czas u niej mieszkał.

W 1905 r. Edward zdał w Brzeżanach maturę z odznaczeniem. Pomoc miejscowych opiekunów umożliwiła Rydzowi spełnienie największego marzenia – podjął studia malarskie na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tam po raz pierwszy zetknął się z bojownikami PPS skupionymi wokół Józefa Piłsudskiego. Znalazł się w kręgu ludzi doświadczonych w działalności niepodległościowej, owianych patriotyczną legendą. Niebawem wstąpił do świeżo powstałego Związku Walki Czynnej i jako mieszkaniec Brzeżan został współorganizatorem miejscowego oddziału organizacji. Wtedy też przyjął pseudonim, pod którym przeszedł do historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

S. Cat-Mackiewicz, „Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939", Warszawa 1990, s. 234.
A. Suchcitz, „O dzieciństwie Edwarda Śmigłego-Rydza", „Zeszyty Historyczne", 81/1987, s. 194–200.

eprasa.pl ede0eab6fd



Kadr z filmu „Dunkierka" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1940 r. / Film Christophera Nolana o słynnej ewakuacji

Dunkierka bez kontekstu



Jakub Ostromęcki

Brytyjscy weterani byli zadowoleni z filmu. Większość scen mogła wydarzyć się naprawdę

To nie jest film wojenny" – przekonywał reżyser i scenarzysta „Dunkierki" Christopher Nolan. Teza powoduje konfuzję, wszak historia ta dotyczy jednego z bardziej znanych epizodów drugiej wojny światowej. Trup ściele się tu gęsto, a większość postaci to żołnierze lub cywile poświęcający swoje mienie i życie dla wojska. Jest to kino europejskie ze wszystkimi jego zaletami i wadami. Pastelowe, statyczne, bez zapierających dech w piersiach plenerów, efektownych wybuchów i kreślonych grubą kreską postaci twardzieli. W finale nie zobaczymy powiewającej flagi, a jedynie proporczyki na stateczkach. Dużo tu śmierci, ale jednocześnie bardzo oszczędnie szafuje się krwią i wnętrznościami. A przecież wiemy, że plaże i molo w Dunkierce pełne były, tak jak w każdej innej bitwie, urwanych kończyn i wyjących rannych. Tutaj żołnierski szok związany z oglądaniem owych okropieństw potęgowany był przez bezruch i zarazem bezsilność żywych, którzy nie mieli gdzie manewrować, atakować, uciekać, aby choć na chwilę zapomnieć o koszmarze, który widzieli.

W pełni zadowoleni z filmu są weterani, którzy pamiętają owe zmagania i potwierdzają, że zdecydowana większość scen z filmu mogła wydarzyć się naprawdę. Nolan podszedł jednak do swojego dzieła w podobny sposób jak Wajda do historii Katynia. Założył, że widz dokładnie zna kontekst historyczny filmowej opowieści i pora teraz, aby skupił się na przeżywaniu cierpienia bohaterów. Tak jak w przypadku „Katynia" koncepcja okazała się chybiona.

Nieobecna ariergarda

Pod koniec maja 1940 r. wojska francuskie i angielskie znalazły się w niemieckich kleszczach, których jedno wielkie ramię sięgało kanału La Manche w okolicach Calais, natomiast drugie, wschodnie cięło Belgię aż do jej wybrzeża. Obszar między kleszczami kurczył się z dnia na dzień, aż przybrał postać pasa lądu rozciągającego się wokół Dunkierki i kilku okolicznych miasteczek. Churchill podjął decyzję o ewakuacji drogą morską zamkniętych w owym kotle Brytyjczyków i Francuzów.

Mamy w filmie w zasadzie tylko jedną krótką scenę walki lądowej. Francuzi czekają na nacierających Niemców za barykadą przecinającą ulicę. Tu i ówdzie słychać ogień karabinów. Christopher Nolan opowiada o Dunkierce tak, że nie wiemy, jakim cudem stłoczeni na plażach żołnierze uniknęli zmiażdżenia niemieckimi czołgami i artylerią, skoro taki los spotykał ich kolegów przez ostatnie kilka tygodni w Belgii i Francji. Odpowiedź na to pytanie jest następująca: teren wokół miasta był podmokły, poprzecinany kanałami, gdzieniegdzie nawet polderowy. Obrońcy wysadzili tamy, więc Dunkierka stała się jeszcze bardziej niedostępna dla Niemców. Musieli oni zatem nacierać po ograniczonej liczbie mostów lub ocalałych najwyższych grobli.

Czołgiści unikają takiego terenu jak ognia, toteż żołnierzy na plaży, przy dobrej pogodzie, miała masakrować Luftwaffe – obecna w filmie dość często, miasto zaś musiała zdobywać piechota. Tę przez długi czas zdołali powstrzymać Anglicy i Francuzi. Do odparcia niemieckiego batalionu wystarczał często pluton obrońców ukrytych w pobliżu jakiegoś wąskiego przejścia przez zalany teren i dowodzony przez oficera z żelazną psychiką, który potrafił tak okiełznać

eprasa.pl ede0eab6fd

strach swoich żołnierzy, aby ci oddawali strzał dopiero z bliskiej odległości.

Jednym z takich herosów był kpt. Ervin Andrews. Oto fragment raportu dotyczącego jego osoby cytowany w monografii bitwy autorstwa Hugh Sebaga-Montefiorego: „Sam zabił 17 nieprzyjacielskich żołnierzy z karabinu, a wielu więcej z Brena. Później, kiedy zajmowany przez niego budynek został roztrzaskany […], a cała amunicja została zużyta, odesłał swoich rannych ostatnim transportem. […] Zebrał następnie pozostałych ośmiu żołnierzy swojej kompanii […]. Mimo niemal całkowitego okrążenia przeprowadził ich do kompanii znajdującej się na tyłach, ponad milę, płynąc albo brodząc w wodzie po szyję".

Inni oficerowie ariergardy nie wahali się strzelać do swoich kolegów, gdy ci przejawiali choćby najmniejszą chęć wycofania się. Major Angus McCorquodale, ekscentryk noszący hełm z gipsu, jasnozielone skarpety i cywilne półbuty, wycedził spokojnie oksfordzkim angielskim do ogarniętego defetyzmem oficera: „Widzi pan tę wielką topolę przy drodze z białym kamieniem milowym obok? W chwili, gdy pan albo któryś z pana ludzi przejdzie obok tego drzewa, wycofując się, zostanie zastrzelony". Major oraz towarzyszący mu ppor. Jimmy Langley w istocie wystrzelili do próbującego się wycofać oficera, ale nie wiemy, czy ich pociski trafiły. Takich przykładów twardego oporu spotkamy sporo również u Francuzów.

Żołnierze ariergardy nie mogli liczyć na szybką ewakuację. George Jones wspominał: „Byliśmy wiele mil od brzegu, dosłownie uwięzieni w mieście rozpadającym się od bomb i pocisków artyleryjskich obu stron. Tymczasem większość armii wróciła bezpiecznie do Anglii. Poczuliśmy się bardzo samotni". Jones ostatecznie dołączył do żołnierzy na plaży, ale takiego szczęścia nie miał mjr Philip Newman: „Opuszczeni przez Anglię, czekając tylko na nadejście Niemców. Nie zapomnę tej chwili do końca życia. Dała mi ona największe poczucie osamotnienia, jakiego kiedykolwiek doznałem. Ubłagaliśmy francuskich żołnierzy, aby zabrali resztę noszy do łodzi, co niechętnie zrobili […]. Wróciliśmy do Cateau. Chłopaki pracowali bardzo ciężko, aby przygotować konwój do drogi, a potem porzuciwszy wszelką nadzieję, po prostu zasnęli na ziemi pogrążeni w rozpaczy". W ariergardzie widać było oczywiście też mało budujące obrazy, jak na przykład pewnego spanikowanego brytyjskiego oficera, który kazał spalić pojazdy w takim miejscu, że utrudniały potem ostrzeliwanie nacierających Niemców.

Gdyby Nolan chciał pokazać poświęcenie żołnierzy walczących w mieście, musiałby nakręcić kilka scen batalistycznych w stylu „Kompanii braci". Tego jednak z powodów czysto artystycznych chciał za wszelką cenę uniknąć. Skutkiem tego jest historia nie do końca zrozumiała, a czasem słabo przyprawiona.

Animozje wciąż żywe

Ci sami żołnierze francuscy, oczekujący Niemców, których widzimy na początku filmu, mówią zgryźliwie do uciekającego ku plaży Anglika: „Miłej podróży!". Czuć zdradą. Nie jest to do końca właściwe streszczenie stosunków miedzy aliantami podczas ewakuacji.

Dowodzący Brytyjczykami gen. Alexander otrzymywał sprzeczne rozkazy – jedne kazały mu bić się ramię w ramię z Francuzami, aby i oni mogli skorzystać na ewakuacji, inne zalecały ewakuację, nie bacząc na sojusznika, który miał sobie radzić swoimi statkami. Ostatecznie kazano mu się bronić do nocy z 1 na 2 czerwca, a potem ewakuować się bez względu na Francuzów. „Byłoby zdecydowanie niewłaściwe, gdybyśmy poświęcili naszych ludzi, próbując bronić się dłużej, aby sprawić przyjemność Francuzom" – brzmiała typowo brytyjska, ale realistyczna konkluzja ze spotkania Komitetu Obronnego Gabinetu Wojennego.

„Idźcie stąd! Macie swoje okręty!" – krzyczy w filmie angielski dowódca do Francuzów usiłujących dostać się na brytyjski okręt. Po prawdzie w pierwszych dniach ewakuacji chodziło nie tyle o okręty, ile o oddzielne molo leżące w pewnej odległości od brytyjskiego. Francuskich żołnierzy nikt jednak nie poinformował o tym, skąd mają się ewakuować. Stosunki między sojusznikami wyglądały dużo gorzej, niż pokazano to w filmie. Nieustannie wybuchały bójki i złorzeczenia, kilka razy sięgnięto po broń. Jak pisze Sebag-Montefiore: „Jeden z żołnierzy z Sherwood Foresters wyznał później, że dwaj rozpychający się Francuzi tak rozjuszyli jego kolegów, że ci zepchnęli ich z molo do wody, wołając: »To wasz kraj, brońcie go!«". Nie był to jedyny taki przypadek […]".

Nie jest jednak prawdą, jakoby Brytyjczycy zamierzali kompletnie zostawić Francuzów. Churchill grzmiał: „Musimy ewakuować się ręka w rękę!". Wiceadmirał Ramsay wspominał: „Francuzi, którzy



Ewakuacja rannych żołnierzy brytyjskich z Dunkierki FOT.WIKIPEDIA

eprasa.pl ede0eab6fd



osłaniali wycofanie brytyjskiej ariergardy, musieli odeprzeć silny niemiecki atak i nie zdołali wysłać swoich oddziałów na przystań dostatecznie szybko, aby zdążyły się zaokrętować. […] Muszę wezwać więc wszystkich wyznaczonych do tego zadania oficerów i żołnierzy do przeprowadzenia dalszej ewakuacji tej nocy. Niech świat zobaczy, że nie zawodzimy sojuszników". Anglikom zależało na sojuszu i chcieli mieć u siebie jak najwięcej żołnierzy w hełmach Adrian. W myśl tej zasady francuski żołnierz szydzący z uciekającego Anglika na początku filmu mógł potem równie dobrze razem z nim znaleźć się na statku płynącym do Dover. Bez przebierania się, tak jak w filmie, za Brytyjczyka.

Francuski dowódca rozkazał: „Celem nas, Francuzów, jest walka do ostatniego człowieka, aby uratować jak najwięcej żołnierzy z Dunkierki. Dopóki tego nie osiągniemy, dopóty pozostaniemy na posterunku". Jednakże sami Francuzi mogą sobie zarzucić błędy kosztujące życie własnych żołnierzy. Zamiast do niedalekiego Dover statki ewakuowały ich aż do Hawru, co przedłużało kilkakrotnie drogę, powodując, że flota miast zabierać z plaż jak największą liczbę żołnierzy, znajdowała się przez długi czas na otwartym morzu, narażając się dodatkowo na ataki Luftwaffe. W nocy z 2 na 3 czerwca po Francuzów przybyły angielskie statki. Na próżno. Na molo czekała jedynie niewielka część żołnierzy. Reszta walczyła wciąż nad kanałami i wśród zabudowań Dunkierki. Gdy w końcu część Francuzów dotarła na plażę, Anglicy chwilę wcześniej odpłynęli.

Łączność między sojusznikami w tych dniach praktycznie nie istniała. W wielu jednostkach upadło morale. Pułkownik G.H.P Whitfield raportował: „Zdecydowana większość skarg dotyczyła ludzi, którzy błąkali się, próbując znaleźć drogę do portu czy statków, a często będąc w krańcowym stadium wyczerpania, szukali schronienia w Bastionie [chodzi o Bastion 32, siedzibę francuskiego dowództwa w Dunkierce – przyp. J.O.]. W końcu poczułem się zmuszony ostro zauważyć, że […] francuscy żołnierze łupią brytyjskie ciężarówki, kradną bez pytania każdy samochód czy motorower, […] i zabrali ze składu cały zapas żywności przeznaczony dla brytyjskich oddziałów".

Nie kryli tego również sami Francuzi. Sebag-Montefiore przywołuje relację francuskiego generała: „W zrujnowanym Malo-les-Bains Barthelemy'ego najbardziej zszokowały nie tyle rzędy żołnierzy z oddziałów bojowych, ile – jak się wyraził – »ludność wojskowa« żyjąca w piwnicach. »To musieli być spryciarze wpychający się bez kolejki, maruderzy i zbiegowie, którzy szukali schronienia w pobliżu miejsca zaokrętowania«".

Plaża

Sceny, które widzimy na plaży, w większości wydarzyły się naprawdę. Nolan, chcąc unikać skrajności, pominął jednak te najokrutniejsze, bulwersujące. W monografii Joshuy Levine'a czytamy: „Sierżant z Royal Enginers obserwował z daleka, jak na widok przypływającej łodzi gromada zdesperowanych żołnierzy rzuciła się do bójki o miejsce na pokładzie. Dowodzący łodzią marynarz czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby zaprowadzić między nimi porządek, zanim łódź się wywróci, po czym wyjął rewolwer i strzelił prosto w głowę jednego z żołnierzy. Pozostali nie zwrócili na to uwagi". I inna relacja: „Do brzegu podpłynęła mała łódź i żołnierze zaczęli się bezładnie przepychać, co groziło, że rozchybotana łódź zaraz się wywróci. Jeden z nich uczepił się rufy. Dowodzący łodzią marynarz kazał mu się odczepić, ale żołnierz nadal się trzymał, więc marynarz strzelił mu prosto w głowę".

Żołnierze próbowali przemycać na pokład porzucone psy i koty, z którymi zaprzyjaźnili się w Dunkierce. Biedne czworonogi były jednak bezlitośnie zabijane przez żandarmów, choć kilka takich futrzaków ukrytych w plecakach dotarło do Anglii. Głód był tak wielki, że żołnierze nieraz udawali, że jedzą podnosząc do ust fikcyjne łyżki, ktoś gryzł pasek od hełmu, inni zaś szczęśliwcy dzielili się puszką fasoli na cały pluton, co dawało trzy fasolki na głowę. Na plaży działy się jednak również rzeczy groteskowe, absurdalne. W pierwszych dniach ewakuacji działały w Dunkierce burdele, do których mimo bombardowań ustawiały się kolejki. Urządzano na plażach libację, ktoś grał w piłkę, inny żołnierz starał się zaś wnieść na statek motor, przekonując załogę, że maszyna, „nówka", ma przejechane raptem 450 km. Owych scen też nie znajdziemy w bardzo zbalansowanym widowisku Nolana. Realia planu filmowego kazały mu również kręcić zdjęcia za dnia, a tymczasem dla uniknięcia bombardowań, przy dobrej pogodzie ewakuację prowadzono w nocy.

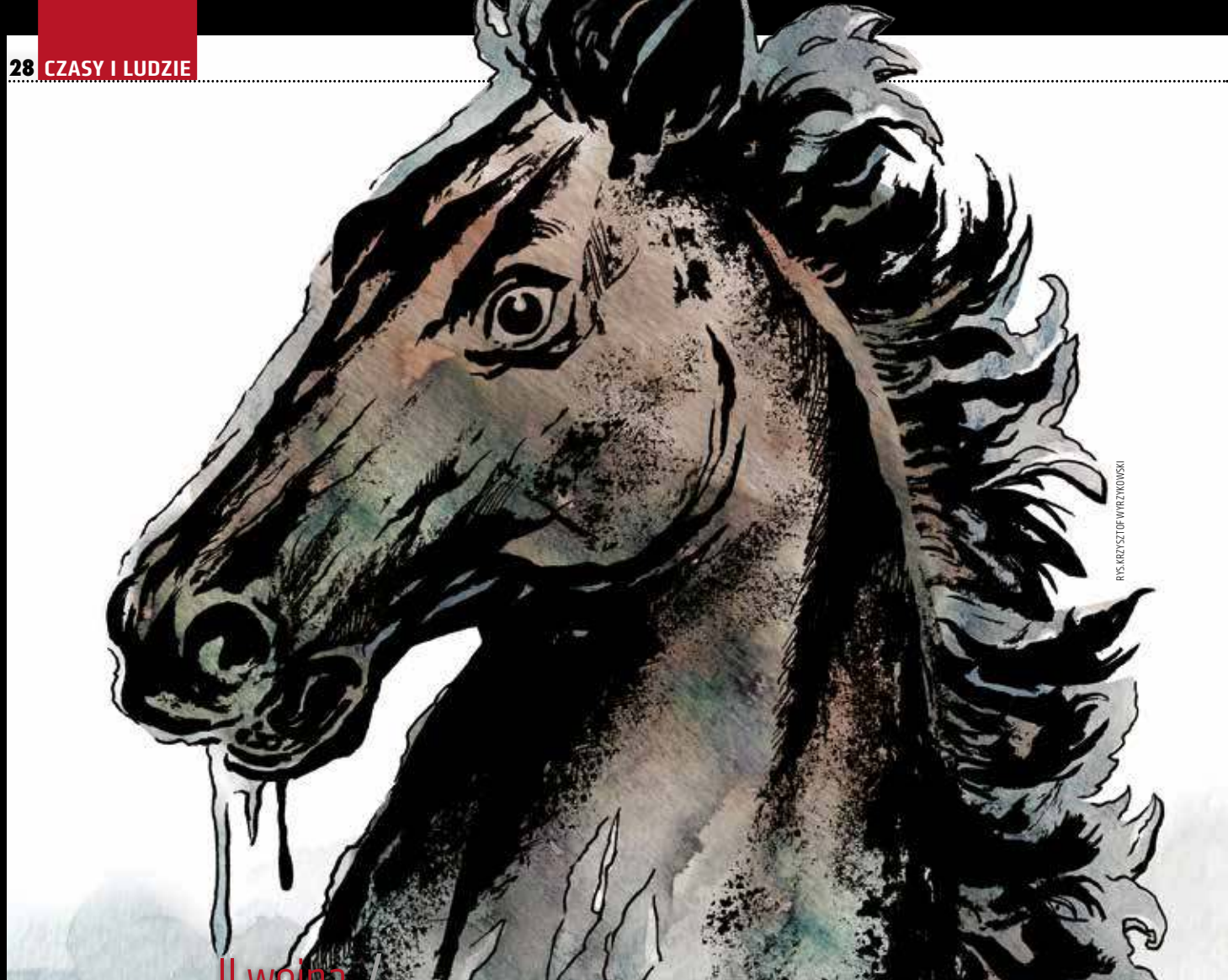
Nad plażą dominują samoloty niemieckie. Angielscy piechurzy przeklinają wtedy: „Gdzie jest cholerny RAF?!". W filmie ów brak osłony powietrznej zostaje szybko wyjaśniony ustami jednego z marynarzy. Gdy tylko nad Dunkierką pojawia się spitfire, wywołuje to aplauz żołnierzy na dole. Nolan nie pokazał jednak, jak traktowani byli przez swoich ziomków zestrzeleni nad Dunkierką lotnicy, którym udało się wyskoczyć ze spadochronem. „Na statkach nie ma miejsca dla lotników RAF" – słyszeli często od żołnierzy. Inni ukrywali swoje mundury, bojąc się pobicia i mając dość wyzwisk. Większość żołnierzy na plażach nie wiedziała bowiem, że przeważającą część spitfire'ów chowano w Anglii na wypadek rychłej – jak się okazało potem – rozprawy z Luftwaffe.

Nolan nie myli się, pokazując spitfire'a unoszącego się na powierzchni wody na tyle długo, że pilot jest w stanie wyswobodzić się z kabiny. Opowieść pilota Jacka Pottera z 10. eskadry myśliwskiej RAF o tym, jak został na środku morza uratowany przez brytyjskich marynarzy, wygląda niemal identycznie jak ta sfilmowana przez reżysera.

Niech nikogo nie zdziwi też swoista oschłość, flegma i zimna, a w zasadzie lodowata krew jednego z głównych bohaterów filmu, kapitana cywilnego stateczku, który rusza na pomoc żołnierzom. Jegomość ów ze stoickim spokojem przyjmuje śmierć kolegi swojego syna, a wykonanie uniku przed atakującym Bf 109 jest dla niego proste jak kręcenie wędkarskim kołowrotkiem. Ówcześni brytyjscy mieszczanie ulepieni byli faktycznie z innej niż dziś gliny, zawierającej jednak w sobie również pierwiastki wiktoriańskiej bigoterii. Zdarzało się zatem, że marszczyli się z dezaprobatą, ponieważ ocaleni z Dunkierki żołnierze wracali do kraju „okropnie brudni", a to, iż marynarka wojenna dzwoni po nocy do właścicieli stateczków turystycznych, uważali, mimo toczącej się wojny, za przejaw „złych manier".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

II wojna / Nowe wydanie legendarnej książki „Kaputt”

Biesiada z Hansem Frankiem

eprasa.pl ede0eab6fd



Piotr Zychowicz

Malaparte ukazuje rozmach operacji „Barbarossa" i koszmar zbrodni SS. Ale książka w dużej części to konfabulacja

Tej sceny nie zapomni nikt, kto kiedykolwiek czytał „Kaputt" Curzia Malapartego. Jest to bez wątpienia jeden z najbardziej wstrząsających, mrożących krew w żyłach obrazów literatury wojennej. Rzecz dzieje się na froncie wschodnim w grudniu 1941 r., w trakcie oblężenia Leningradu.

Patrole fińskich leśnych zwiadowców – zwanych sissit – spychają rozbite jednostki Armii Czerwonej w stronę jeziora Ładoga. W pokrytej śnieżną pokrywą puszczy wybucha gwałtowny pożar. Około tysiąca służących w sowieckiej artylerii koni rzuca się w ogień, aby wyrwać się z okrążenia.

Oszalałe z przerażenia, poparzone zwierzęta – uchodząc przed płomieniami – rzucają się w odmęty Ładogi. Jezioro przy brzegu jest płytkie. W efekcie konie stoją na dnie, ponad powierzchnię lodowatej wody wystają same łby. Wyjść na brzeg nie mogą – bo tam szaleje ognisty, śmiercionośny żywioł.

W nocy przyszedł wiatr północny – pisze Malaparte – niby anioł, na którego wołanie ziemia nagle zamiera. Zimno stało się nie do zniesienia. Woda ścięła się gwałtownie z charakterystycznym wibrującym dźwiękiem pękającego szkła. Morza, jeziora i rzeki zamarzają tak niespodzianie wskutek załamania, jakie ni stąd, ni zowąd następuje w równowadze termicznej. Nawet fala morska zatrzymuje się w pół skoku, zmienia się w zakrzywioną falę lodu, zawisłą w powietrzu.

Nazajutrz, kiedy pierwsze patrole sissit z opalonymi włosami, twarzami czarnymi od dymu, ostrożnie stąpając po gorących jeszcze popiołach zwęglonego lasu, dotarły do brzegu jeziora, oczom ich ukazał się widok pełen grozy i wspaniały zarazem. Jezioro wyglądało jak ogromna płyta białego marmuru, w której tkwiły setki łbów końskich. Wydawały się wszystkie ścięte wprawnym, precyzyjnym ciosem katowskiego topora. Same tylko łby wystawały ponad lodową skorupą. I wszystkie zwrócone były ku brzegowi. W szeroko rozwartych oczach płonął jeszcze biały płomień trwogi.

Brrr… Chociaż „Kaputt" czytałem już po raz kolejny, to upiorna plastyczność tej sceny zrobiła na mnie naprawdę wielkie wrażenie. Książka została wznowiona w pięknym wydaniu przez wydawnictwo W.A.B. Co ważne – pierwszy raz bez skreśleń PRL-owskiej cenzury, która skrzętnie usunęła wszelkie „nieprawomyślne" fragmenty.

Czerwony faszysta

„Kaputt" jest bez wątpienia książką wybitną, a literacki talent autora momentami wręcz oszałamia. To jest diabelnie dobrze napisana książka. Wydawnictwo nie powinno jej jednak reklamować hasłem: „Jedna z kanonicznych książek reportażowych XX wieku". „Kaputt" jest bowiem mieszaniną faktów, blagi i niebywałych wręcz konfabulacji.

Należy ją traktować jako antywojenną powieść surrealistyczną, ale na pewno nie jako „reportaż". Malaparte jako włoski korespondent wojenny rzeczywiście odwiedzał front wschodni, Bałkany i Generalne Gubernatorstwo. Ale to, co umieścił później w książce, było w olbrzymiej części wytworem jego wyobraźni. Powtórzmy to jeszcze raz: Malaparte był pisarzem, a nie reportażystą.

Do tego należy dodać jeszcze ideologiczne ukąszenie autora. Otóż Malaparte miał silne ciągoty do totalitarnych reżimów. Imponowały mu siła, władza i przemoc. Lubił trzymać ze zwycięzcami. Dlatego był zdeklarowanym, zaciekłym faszystą, a pod koniec wojny – gdy szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę bolszewików – przekabacił się na komunizm.

„Kaputt" zostało skończone w 1944 r., gdy Malaparte dokonał już swojej ideologicznej metamorfozy. I to sprawia, że niektóre sceny powieści przypominają najgorsze socrealistyczne produkcyjniaki.

Weźmy początek, który rozgrywa się na spękanych słońcem stepach Ukrainy w pierwszych tygodniach „Barbarossy". Otóż Malaparte pisze, że mieszkał w domu „mużyka, którego trzy pięciolatki i gospodarka kolektywna wyswobodziły z niewoli, nędzy i brudu".

To tak bezwstydne łgarstwo, że aż trudno się nie uśmiechnąć z politowaniem. Jak wiadomo, było dokładnie odwrotnie, niż napisał Malaparte. Los chłopstwa zamieszkującego tereny Imperium Rosyjskiego po rewolucji bolszewickiej uległ drastycznemu pogorszeniu.



Uroczystości rocznicy ataku na Polskę. W środku: Brigitte Frank, Joseph Goebbels, Hans Frank, Kraków, 1940 r. FOT. NAC

eprasa.pl ede0eab6fd

To właśnie forsowane przez władzę sowiecką „trzy pięciolatki i gospodarka kolektywna" wpędziły włościan w „niewolę, nędzę i brud". Niewolę – dodajmy – wielokrotnie przekraczającą najgorsze doświadczenia czasów pańszczyzny.

Władza sowiecka, tworząc biedakołchozy i biedasowchozy, narzuciła chłopom straszliwe jarzmo. Wolni ludzie stali się niewolnikami bezdusznej machiny totalitarnego państwa.

Kolektywizacja rzeczywiście „wyzwalała" chłopów. Ale z majątku i życia. Chory komunistyczny eksperyment inżynierii społecznej kosztował życie milionów. Zagłodzonych na śmierć (na żyznej, czarnoziemnej Ukrainie!), deportowanych na pustkowia Syberii i Kazachstanu. Rozstrzelanych nad dołami śmierci przez katów z NKWD, zamęczonych w lodowych łagrach.

Chłop ukraiński i rosyjski – wbrew temu, co pisze Malaparte – pałał żywiołową, atawistyczną nienawiścią do władzy sowieckiej. Dlatego właśnie – o czym z „Kaputt" się nie dowiemy – w 1941 r. włościanie witali żołnierzy Wehrmachtu jak wyzwolicieli. Wierzyli, że Niemcy zniosą kołchozy i otworzą zamknięte przez bolszewików cerkwie.

Takie jest całe „Kaputt". Z jednej strony mamy tu obrazowe, naturalistyczne opisy operacji „Barbarossa". Wojska niemieckie i rumuńskie maszerujące na Odessę w pyle buchających letnim żarem dróg. Pancerne wraki wypalonych sowieckich czołgów zalegające na poboczach dróg. Ryk samolotowych silników przecinających powietrze. Ziemia drżąca od huku dział, łuny pożarów na horyzoncie. Rozdęte w upale trupy ludzkie i końskie. Masowe mordy na Żydach i jeńcach. Wojna maszyn, cierpienie ludzi i zwierząt.

Gdzieś na bagnistym terenie między drogą a rzeką zobaczyłem przewrócony czołg radziecki – pisze włoski pisarz. – Lufa działka sterczała z wieżyczki, klapa była otwarta, wszystko dziwacznie skręcone wskutek wybuchu pocisku. Widać było ramię ludzkie wystające z mułu, który dostał się do wnętrza czołgu. Padlina czołgu. Czuć ją było olejem i benzyną, przypieczonym lakierem i żelazem, spaloną skórą. Dziwaczny zapach. Nowa woń nowej wojny. Ten padły czołg budził we mnie litość, ale zupełnie innego rodzaju niż ta, jaką czułem na widok padłego konia. To była martwa maszyna, maszyna w stanie rozkładu. Zaczynała już cuchnąć. Żelazne ścierwo unurzane w błocie.

Tak to właśnie wyglądało.

Zaraz jednak Malaparte umieszcza w książce fikcyjną rozmowę z rumuńskimi piechurami, w której wychwala pod niebiosa Związek Sowiecki i system komunistyczny. W lipcu 1941 r.!

Malaparte miał rzekomo przekonywać wojaków, że w „ojczyźnie światowego proletariatu" żyje się o niebo lepiej niż w kapitalistycznej Rumunii, Niemczech czy we Włoszech. No, ludzie!

Mało tego, wzięci do niewoli żołnierze bolszewiccy mieli być lepiej umundurowani i mieli nosić lepsze buty (!) od żołnierzy armii państw Osi. Armię Czerwoną Malaparte nazywa zresztą… armią mechaników. Nowoczesnych fachowców znakomicie wyszkolonych w nowoczesnych kołchozach i wykształconych na sowieckich uczelniach technicznych. Ludzie ci walczą do ostatniej kropli krwi za swoją ukochaną sprawę.

Wizja przedstawiona przez Malapartego ma się do prawdy historycznej jak dzień do nocy. W rzeczywistości Armia Czerwona była armią chłopów. Fatalnie uzbrojonych i dowodzonych. Noszących łachmany i łapcie. Efekt wiecznych niedoborów i dziadostwa socjalistycznej gospodarki centralnie planowanej.

O ich poświęceniu i oddaniu „sowieckiej ojczyźnie" najlepiej świadczy to, że setki tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej przechodziły na stronę Niemców. Gdyby nie bezdenna głupota Hitlera – który czerwony terror zastąpił terrorem brunatnym – Związek Sowiecki rozsypałby się jak domek z kart. Zostałby rozerwany na strzępy przez własnych obywateli.

„Na Wawelu"

Polskiego czytelnika najbardziej zainteresują obszerne fragmenty „Kaputt" poświęcone Polsce. Malaparte, który urodził się jako Kurt Erich Sucker (jego ojciec był Niemcem), w latach 20. pracował jako włoski dyplomata akredytowany w Warszawie. Dobrze wtedy poznał i polubił Polaków. Jako snob chętnie szukał kontaktu ze znamienitymi polskimi i litewskimi rodami arystokratycznymi.

Gdy jako korespondent wrócił do Polski w trakcie okupacji, był wstrząśnięty rozmiarem zniszczeń i okrucieństwem niemieckiego okupanta wobec Polaków.

W tej właśnie chwili drzwi otwarły się i na srebrnej tacy wjechała pieczona gęś – pisze Malaparte. – Ułożona była na grzbiecie i otoczona wieńcem opiekanych w tłuszczu ziemniaków. Była to okrągłutka, dobrze utuczona polska gęś o bujnej piersi, pełnych bokach i mięsistej szyi.



Nie wiem, skąd mi przyszło na myśl, że nie została zarżnięta nożem, zgodnie z odwiecznym dobrym obyczajem, ale rozstrzelana pod murem przez pluton SS. Wydawało mi się, że słyszę krótką, suchą komendę:

– Feuer! – i grzechot salwy karabinowej.

Gęś padła na pewno z podniesionym czołem, patrząc prosto w twarz okrutnym ciemiężycielom Polski.

To już część książki poświęcona biesiadom z Hansem Frankiem, w których brał udział Malaparte. Pierwsza miała miejsce na Wawelu, w siedzibie generalnego gubernatora. Druga – w pałacu Brühla, siedzibie gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fishera.

Książkowy Malaparte rozmawia z Frankiem i Fisherem z ironią, nie kryjąc pogardy dla obu okrutników. Niemieccy dygnitarze przedstawieni są nie tylko jako pyszałkowaci tyrani, lecz także jako skończeni idioci. Nierozumiejący, że Malaparte szydzi z nich w żywe oczy.

To oczywiście kolejna konfabulacja. Profesor Jerzy W. Borejsza w posłowiu do książki cytuje utrzymany w uprzejmym tonie telegram Malapartego, w którym serdecznie dziękował Frankowi za przyjęcie go w Generalnym Gubernatorstwie.

Oto mała próbka „kolacji u Franka":

– Jestem królem: der König – rzekł Reichsminister Frank, Generalgouverneur Polski, rozkładając szeroko ramiona i wodząc po współbiesiadnikach wzrokiem pełnym pychy i zadowolenia.

– Niemiecki król Polski, der deutsche König von Polen – powtórzył Frank. Przyglądałem mu się z uśmiechem.

– Czemu się pan uśmiecha? Nie widział pan nigdy króla? – zapytał mnie.

eprasa.pl ede0eab6fd



Żołnierze Wehrmachtu podczas operacji „Barbarossa" FOT. WIKIPEDIA

– Rozmawiałem z wieloma królami i z wieloma jadłem obiad w ich zamkach i pałacach – odparłem – ale żaden z nich nie mówił mi nigdy: jestem królem.

– Ma pan rację – rzekł Frank. – Prawdziwy król nie mówi nigdy „jestem królem". Ale ja nie jestem prawdziwym królem, chociaż moi przyjaciele w Berlinie nazywają Polskę Frankreich. Mam prawo życia i śmierci nad polskim narodem, ale królem Polski nie jestem. Odnoszę się do Polaków z wielkodusznością i dobrotliwością króla, a jednak nie jestem prawdziwym królem. Polacy nie zasługują na takiego króla jak ja. To niewdzięczny naród.

– Nie są bynajmniej niewdzięczni – powiedziałem.

– Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, byłbym doprawdy Gott in Frankreich – Bogiem w królestwie Franka – gdyby Polacy byli należycie wdzięczni za wszystko, co dla nich robię... Ale im bardziej się staram ulżyć ich doli i postępować z nimi sprawiedliwie, tym bardziej oni gardzą dobrodziejstwami, jakie wyświadczam ich ojczyźnie. To niewdzięczny naród.

Cichy szmer aprobaty przebiegi dokoła biesiadnego stołu.

– Są narodem dumnym i pełnym godności – powiedziałem, uśmiechając się uprzejmie – a pan jest ich władcą. Ich obcym władcą.

– Ich niemieckim władcą. A oni nie są godni zaszczytu posiadania niemieckiego władcy.

– Istotnie, na to nie zasługują. Szkoda, że pan nie jest Polakiem.

– Ja, schade! – wykrzyknął Frank, wybuchając radosnym śmiechem, któremu biesiadnicy hucznie zawtórowali.

Potem umilkł i wpatrzył się w ogień.

– W końcu na pewno Polacy nas pokochają – rzekł Frank. – To naród romantyków. Nową formą polskiego romantyzmu jutra będzie miłość do Niemców.

– Na razie – odezwał się baron Wolsegger – romantyzm polski... Jest takie wiedeńskie powiedzonko, które dobrze oddaje naszą sytuację w stosunku do narodu polskiego: „Ich liebe dich und du schläfst, ja cię kocham, a ty śpisz".

W trakcie swoich biesiad z Frankiem w okupowanej Polsce Malaparte miał między innymi dyskutować na temat tego: „Czy Hitler jest kobietą?". A generalny gubernator w pewnym momencie miał zacząć trzepotać ramionami jak kaczuszka i krzyczeć" „Cip-cip!".

Bujdą jest również opowieść o tym, jak po kolacji u Fishera rozbawione towarzystwo – panie w luksusowych toaletach – pojechało nocą zwiedzać getto warszawskie. I gubernator Hans Frank wyrwał strażnikowi karabin z ręki, i zaczął strzelać do żydowskiego dziecka próbującego przedostać się na aryjską stronę muru.

Oczy w koszu

Podobna groteska jest znakiem rozpoznawczym autora i jego „Kaputt". W książce Malaparte opisuje swoje spotkanie z Ante Paveliciem, przywódcą ustaszy. W opisie rozmowy najwięcej miejsca poświęcił uszom chorwackiego dyktatora.



CURZIO MALAPARTE
„KAPUTT"
W.A.B. WARSZAWA 2021

Był w tej twarzy jakiś trudny do określenia rys głupkowatości – relacjonował włoski pisarz – może sprawiały to owe ogromne uszy, które w naturze wydawały się jeszcze większe, jeszcze śmieszniejsze, jeszcze bardziej monstrualne niż na portrecie. W zestawieniu ze zmysłowością warg uszy te wydawały się czymś wręcz abstrakcyjnym, niby dwie surrealistyczne muszle, narysowane przez Salvadora Dalego, dwa metafizyczne przedmioty, wywołujące wrażenie deformacji. Ilekroć Ante Pavelić odwracał głowę, ukazując mi się z profilu, te olbrzymie uszy zdawały się unosić jego głowę niby para skrzydeł, siląca się poderwać do lotu potężne ciało.

Scenę spotkania z Paveliciem Malaparte zakończył następującym obrazkiem. Na biurku dyktatora stał rzekomo duży wiklinowy kosz.

Pokrywa była uniesiona – czytamy – i widać było, że kosz jest pełen czegoś, co przypominało frutti di mare – może ostrygi, ale już wyjęte ze skorupek, takie jakie widuje się ułożone na tacach w witrynach Fortnum and Mason, na Piccadilly w Londynie.

– Czy to dalmatyńskie ostrygi? – spytałem poglavnika.

Ante Pavelić zdjął pokrywę z kosza i ukazując owe frutti di mare, tę śliską, żelatynową masę ostryg, powiedział z uśmiechem, i tym swoim dobrym, znużonym uśmiechem:

– To podarunek od moich wiernych ustaszów: dwadzieścia kilo ludzkich oczu.

To oczywiście kolejna kreacja bujnej wyobraźni włoskiego pisarza. Co nie przeszkodziło później historykom – i to nie tylko komunistycznym! – pisać o „koszu z oczami" jako fakcie historycznym.

Czy wszystkie te konfabulacje sprawiają, że nie warto sięgnąć po „Kaputt"? Wprost przeciwnie! Jest to bez wątpienia jedno z najlepiej napisanych i najciekawszych dzieł włoskiej literatury nowoczesnej. Czytając dzieło Malapartego, należy po prostu pamiętać, że mamy do czynienia z powieścią, a nie z dokumentem.

Zresztą kapitalna puenta książki sprawia, że Malapartemu możemy naprawdę wiele wybaczyć. Oto autor siedzi w podłej knajpie w Neapolu, pije stęchłą wodę z butelki i zgania roje tłustych, czarnych much, które pakują mu się do ust, nozdrzy i uszu.

Skąd tyle much? – zadaje sobie pytanie. Dlaczego te muchy, w przeciwieństwie do milionów ludzi, nie zginęły na wojnie. I dochodzi do jedynego możliwego wniosku: „No, cóż, proszę pana: muchy wygrały wojnę!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd

1961 r. / Nieudana próba obalenia Fidela Castro



Kontratak wojsk rewolucyjnych po desancie w Zatoce Świń FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Inwazja contras na Kubie



Arkadiusz Karbowiak

CIA zawiodła, Kennedy zostawił ich na lodzie. W efekcie kontrrewolucjoniści kubańscy ponieśli klęskę w Zatoce Świń

Kiedy w styczniu 1959 r. upadła na Kubie proamerykańska dyktatura prezydenta Fulgencio Batisty, ster władzy w państwie przejęli przywódcy demokratyczno-liberalnej opozycji. Prezydentem kraju został prawnik i liberał w jednej osobie Manuel Urrutia, a premierem José Miró. Ich pozostawanie u władzy nie trwało jednak długo, ponieważ już 16 lutego 1959 r. funkcję prezesa rady ministrów objął główny zwycięzca antybatistowskiej rewolucji, Fidel Castro. Po kilku miesiącach niełatwej koegzystencji z przywódcą Ruchu 26 lipca prezydent podał się do dymisji. Głową państwa został zausznik Castro, Olsvaldo Dorticós.

Odejście z rządu demokratycznych polityków pozwoliło przejąć Fidelowi Castro nie tylko pełnię władzy w państwie, lecz także rozpocząć polityczny dryf w stronę totalitarnej dyktatury. Nowe władze zainicjowały wiele głębokich reform społeczno-gospodarczych. 17 maja 1959 r. ogłoszono dekret o reformie rolnej. Jego zapisy wykluczały możliwość posiadania, dzierżawienia i dziedziczenia ziemi przez cudzoziemców. Wprowadzone ograniczenia wywołały niezadowolenie waszyngtońskiej administracji, uderzały bowiem w interesy wielu amerykańskich obywateli. Ponadto nieco później powołano do życia Kubański Instytut Naftowy, który miał wyłączność na przerób, transport i handel produktami naftowymi.

W efekcie o 40 proc. spadły zyski amerykańskich koncernów naftowych, m.in. Texas Oil i Royal Dutch Shell. Kolejnym krokiem była nacjonalizacja wielu sektorów gospodarki, w tym sektora bankowego, na czym ucierpiały finansowo amerykańskie banki. Wprowadzanie tych reform oceniono w Waszyngtonie jako posunięcia nieprzyjazne wobec Stanów Zjednoczonych. Biały Dom zareagował na niewprowadzeniem embarga na dostawy cukru z Kuby. Pomiędzy USA a Kubą zaistniał stan wojny gospodarczej. Jej finałem było całkowite zerwanie stosunków dyplomatycznych.

Przymierze z Moskwą

Fidel Castro, wdając się w konflikt z potężnym sąsiadem, podjął równocześnie poszukiwania możnego protektora, z którym związki miały stać się dla rewolucyjnej Kuby swoistą tarczą ochronną. Dlatego Hawana rozpoczęła wysiłki na rzecz zbliżenia ze ZSRS. Po ustanowieniu stosunków dyplomatycznych pod koniec 1960 r. doszło do podpisania wielu umów gospodarczych, m.in. na dostawy kubańskiego cukru. Współpracę nawiązano

eprasa.pl ede0eab6fd



również w dziedzinie wojskowej. Na wyspie pojawiła sowiecka broń ciężka w postaci czołgów i artylerii. Przybyli tam również sowieccy doradcy i instruktorzy wojskowi. Co ciekawe, Castro nie ukrywał specjalnie militarnej kooperacji z ZSRS, a pozyskana broń została nawet zaprezentowana na defiladzie zorganizowanej z okazji zwycięstwa rewolucji 2 stycznia 1961 r.

Przymierze z Moskwą miało pełnić funkcję swoistego straszaka, mającego powstrzymać Waszyngton przed próbami zbrojnej interwencji na Kubie. Tę konstatację wydają się potwierdzać słowa wypowiedziane jeszcze w lipcu 1960 r. przez Nikitę Chruszczowa: „Związek Radziecki wyciąga pomocną dłoń do narodu kubańskiego. […] Jeżeli zaistniałaby taka konieczność, to radzieckie wojsko może wesprzeć naród kubański bronią rakietową".

Stany Zjednoczone nie zamierzały jednak akceptować nowej polityki gospodarczej i zagranicznej kubańskiego przywódcy ani tym bardziej tolerować 90 mil od wybrzeży USA sowieckiego sojusznika. Prezydent Dwight Eisenhower już 17 marca 1960 r. podpisał dyrektywę o podjęciu tajnych operacji skierowanych przeciw reżimowi kubańskiemu. Ich celem miało być obalenie władzy Fidela Castro. Wykluczano jednak dokonanie tego poprzez interwencję wojskową USA. Stawiano raczej na dyskretne wsparcie CIA, zorganizowanego przez kubańską opozycję antycastrowskiego powstania. Pracownikom Centralnej Agencji Wywiadowczej wydawało się, że opresyjna dyktatura Castro, w wyniku której w ciągu dwóch lat kraj opuściło 700 tys. Kubańczyków, cieszy się niewielką społeczną akceptacją. Stąd domniemywano, że Kubańczycy będą skłonni do poparcia rewolty zbrojnej. Diagnoza ta okazała niezbyt trafna.

Wśród warunków niezbędnych do powodzenia operacji – zdaniem planistów z CIA – było utworzenie emigracyjnego środka politycznego, odgrywającego rolę rządu tymczasowego, powołanie do życia kubańskich formacji paramilitarnych i przygotowanie ich do ewentualnego lądowania na wyspie, wsparcie dla działających na Kubie oddziałów partyzanckich. Te posunięcia miała poprzedzić ofensywa propagandowa, skierowana przeciw reżimowi Castro. Jednym z jej elementów było umiejscowione na honduraskiej wyspie Swan opozycyjnego radia nadającego audycje docierające na Kubę.

Generalnie w agencji przyjmowano nader optymistyczne założenia co do możliwości obalenia reżimu. Dotychczasowe pozytywne doświadczenia CIA związane z aranżowaniem podobnego typu operacji – przeprowadzanych w Iranie, gdzie obalono w 1953 r. rząd Mohammada Mossadegha (operacja „Ajax") czy Gwatemali w 1954 r., kiedy obalono rząd Jacobo Arbenza (operacja „PBSUCCESS") – wytworzyły wśród pracowników agencji złudne przekonanie, że tajne operacje stanowią klucz do sukcesu w rozwiązywaniu wszelkich problemów międzynarodowych. Przyszłość pokazała, że czasami, aby go odnieść, trzeba udzielić swoim sojusznikom jawnego wsparcia militarnego. A tego właśnie przekonania zabrakło amerykańskim przywódcom podejmującym decyzje w sprawie działań na Kubie.

Człowiekiem odpowiedzialnym za przygotowania do operacji lądowania sił kontrrewolucyjnych na wyspie, której nadano kryptonim Pluto, został zastępca szefa CIA do spraw planowania Richard Bissell. Zasadniczym zagadnieniem, z jakim musiał się on uporać, było utworzenie kubańskich oddziałów paramilitarnych. Werbunek do nich rozpoczęto w kwietniu 1960 r. Wcześniej dwaj pracownicy CIA Howard Hunt i Gerry Droller udali się do Miami, by spróbować nakłonić tamtejszych przywódców organizacji emigracyjnych do stworzenia koalicji ugrupowań antycastrystowskich i wyłonienia quasi-rządu tymczasowego. Należy podkreślić, że po wielu perypetiach ta sztuka się udała i na czele Kubańskiej Rady Rewolucyjnej stanął były premier José Miró.

Brygada 2056

Ramieniem zbrojnym KRR stała się złożona z ochotników Brygada 2056. Zalążkiem jednostki była grupa 28 kubańskich wolontariuszy, w której składzie znajdowało się 10 wojskowych zwerbowanych przez dr. Manuela Artime, pełniącego później funkcję kogoś w rodzaju nadzorcy politycznego brygady. Wkrótce dowodził Brygadą 2056 José Alfredo Pérez, oficer kubańskiej armii, swego czasu uwięziony przez Batistę (wolność przyniosła mu rewolucja), a potem przez Castro. Początkowo emigrantów szkolono w różnych bazach na terenie USA, m.in. na wyspie Useppa, bazie lotniczej Homestead na Florydzie, w Fort Glick i Clayton w Panamie. Ponieważ w międzyczasie doszło do strzelaniny między uczestnikami szkolenia, władze amerykańskie – obawiając się ujawnienia faktu pobytu Kubańczyków – postanowiły przenieść rekrutów do Gwatemali.



RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl ede0eab6fd



Fidel Castro i Ernesto Che Guevara FOT. UNDERWOOD ARCHIVES/ GETTY IMAGES

Rządy w tym kraju sprawował antykomunistycznie nastawiony prezydent generał Miquel Idigoras, który zdecydował się udostępnić swoje terytorium na bazy szkoleniowe kubańskich contras. Usytuowano je na terenach plantacji kawy Helvetia, należącej do znanego posiadacza ziemskiego i jednocześnie przyjaciela prezydenta, Roberto Alejosa. Plantacja była położona w pobliżu miejscowości Retalhuleu. Powstały tam dwa ośrodki szkoleniowe. W pierwszym, o kryptonimie JMTrax, zajęcia treningowe odbywały jednostki przeznaczone do działań lądowych. W drugim, o kryptonimie JMMaad, szkolili się lotnicy. Instruktaż prowadzili tam piloci z jednostek Gwardii Narodowej ze stanu Alabama, zwerbowani przez dowódcę gen. Reida Dostera. Gwardziści zapewniali także obsługę naziemną lotniska.

Do przerzutu ludzi i sprzętu korzystano z ośmiu samolotów transportowych typu Curtiss C-46 Commando oraz 6 Douglas C-54 Skymaster. Szkolenie odbywało się na samolotach B-26 Invader. Aż 26 takich maszyn zostało przekazanych Gwatemalskim Siłom Powietrznym i natychmiast wydzierżawionych CIA. Poza wspomnianymi dwoma lokalizacjami istniały także i inne centra szkoleniowe, np. baza oddziałów spadochronowych w pobliżu Quetzaltenango i ośrodek treningowy morskich desantowców na wyspie Vieques w Portoryko. 9 kwietnia 1961 r. Brygada 2506, wraz z personelem, została przeniesiona z Gwatemali do nowego ośrodka Puerto Cabezas w Nikaragui.

Kiedy prezydent Eisenhower kończył swoją prezydencką kadencję, nie ustalono dokładnie miejsca lądowania kubańskich contras. Specjaliści z CIA sugerowali nowemu włodarzowi Białego Domu przeprowadzenie desantu w okolicach miasta Trinidad, leżącego u podnóża gór Escambrey. Przewidywano, że góry w razie braku możliwości utrzymania obszaru lądowania, będą pewnym schronieniem dla rebeliantów. Jednak mankamentem tej koncepcji była obecność w tym rejonie silnych jednostek wojskowych oraz brak lotniska. Z tych i innych względów prezydent John F. Kennedy nie zaakceptował zaproponowanej lokalizacji. Jako alternatywne miejsce desantowania sił inwazyjnych wybrano Zatokę Świń. Była ona odseparowana od lądu pasem słonych bagien, przez które przechodziły tylko dwie drogi. Dodatkowy atut stanowiło znajdujące się blisko lotnisko, którego zdobycie mogło dać możliwość systematycznego zaopatrywania rebeliantów z powietrza.

Operacja „Pluto”

4 kwietnia 1961 r. plan operacji „Pluto” zatwierdził prezydent Kennedy. Aby móc przewieźć siły inwazyjne w miejsce desantu, CIA zakupiła od jednej z firm pięć frachtowców: „Atlantico”, „Caribe”, „Houston”, „Río Escondido” i „Lake Charles” oraz dodatkowo dwa okręty desantowe „Blagar” i „Barbara” obsługiwane przez amerykańskie załogi i osiem mniejszych łodzi desantowych. 14 kwietnia 1961 r. flota inwazyjna opuściła Puerto Cabezas i wyruszyła w kierunku Kuby. Miejsce zbiórki wyznaczono 50 mil na południe od Zatoki Świń. Kubańczyków osłaniały okręty amerykańskiej marynarki wojennej.

Tego samego dnia amerykański samolot zwiadowczy Lockheed U-2 dokonał lotu rekonesansowego nad Kubą i sfotografował lotniska kubańskie. 15 kwietnia 1961 r. osiem pilotowanych przez kubańskich emigrantów maszyn B-26, uzbrojonych w dwie 250-kilogramowe i dziesięć 125-kilogramowych bomb, podzielonych na trzy grupy o kryptonimach Puma, Gorilla i Linda, zbombardowało lotniska Campo Libertad, Antonio Maceo International Airport i San Antonio de los Banos. Wyniki nalotu okazały się mizerne. Zniszczono tylko jeden samolot bojowy, trzy transportowe i jeden szkolny. Atakujący stracili jeden samolot wraz z całą załogą, którą stanowili: Daniel Fernández i nawigator Gaston Pére. Były to pierwsze straty, które poniosły siły inwazyjne.

Kolejnych ataków lotniczych już nie podejmowano ze względu na opór prezydenta obawiającego się ujawnienia udziału USA w całej operacji. Tkwiono w błogim i – jak się okazało – błędnym przekonaniu, że lotnictwo kubańskie zostało całkowicie zniszczone. W nocy z 15 na 16 kwietnia 1961 r. z transportowca „Santa Clara” płynącego pod korsykańską banderą przeprowadzono 30 mil na południe od Guantanamo nieudaną próbę pozorowanego desantu z udziałem 164-osobowego (według innych danych 168-osobowego) oddziału Higina Diaza.

Tymczasem Fidel Castro, mając świadomość nadchodzącej inwazji, rozkazał rozmieścić oddziały wojskowe (Rewolucyjne Siły Zbrojne Kuby) oraz Milicji Ludowej w różnych newralgicznych miejscach kraju. W pobliżu planowanego miejsca operacji rozlokowanych zostało w cukrowni Australia kilka plutonów Milicji Ludowej. Wiedzy o tym fakcie nie mieli oczywiście organizatorzy i wykonawcy operacji „Pluto”. 17 kwietnia 1961 r. zespół desantowy zbliżył się na odległość jednej mili od kubańskiego wybrzeża i rzucił kotwicę.

Na pontonach gumowych jako pierwsze ruszyły ku brzegom Zatoki Świn oddziały rozpoznawcze. Towarzyszył im pracownik CIA Greyston Lynch. Niestety, teren lądowiska był silnie oświetlony i kubańscy contras zostali zauważeni przez milicjantów z posterunku obserwacyjnego. Intensywna wymiana ognia spowodowała, że desantujący utracili ważny element zaskoczenia. Desant odbywał się w trzech miejscach nazwanych kolorami: czerwony, niebieski i zielony. Na każdym odcinku lądował batalion

eprasa.pl ede0eab6fd

piechoty, a na niebieskim wyokrętowano dodatkowo kompanię czołgów M41. Dużym problem sił inwazyjnych były rafy koralowe. Na nich uszkodzeń doznało kilka łodzi wiozących na ląd zaopatrzenie.

O godz. 3.15 rano informację o inwazji otrzymał Fidel Castro. Nakazał przemieszczenie w stronę pozycji zajmowanych przez rebeliantów, jednego batalionu milicji z trzema bateriami moździerzy 81 mm i 120 mm z Matanzas oraz trzech batalionów piechoty z Las Villas. O godz. 7.30 siły inwazyjne wzmocnione zostały 177 spadochroniarzami desantowanymi z pięciu samolotów C-46 i jednego C-54. Wylądowali oni w dwóch miejscach, w pobliżu drogi przecinającej bagna Zapata leżącej niedaleko cukrowni Cavandonga i w okolicach opanowanego później miasta Sopillar. Co ciekawe, miejscowa ludność z okolic San Blase (obszar pierwszego lądowania) udzieliła spadochroniarzom wsparcia, zgłaszając się do noszenia zaopatrzenia i wody. Pięć osób wyraziło nawet chęć wstąpienia do brygady, co też nastąpiło.

Ku klęsce

Około godz. 6.30 nad głowami kontrrewolucjonistów pojawiły się trzy samoloty (jeden bombowiec B-26 oraz dwa myśliwce Hawker Sea Fury) Rewolucyjnych Sił Powietrznych i przypuściły atak lotniczy. Zakończył się on dwukrotnym trafieniem w rufę niekierowanymi rakietami 127 mm transportowca „Houston", który osiadł na mieliźnie. Co prawda, ulokowanym na okręcie żołnierzom 5. batalionu Brygady 2056 udało się dotrzeć na ląd, ale pozbawieni broni i amunicji nie mogli efektywnie wziąć udziału w walce. Zniszczeniu uległ zlokalizowany na transportowcu szpital polowy. Na domiar złego kolejny atak przeprowadzony przez rządowy samolot Hawker Sea Fury zniszczył transportowiec „Rio Escandido" razem ze zgromadzonymi tam zapasami paliwa i amunicji. Walczący zostali pozbawieni również środków łączności, za pomocą których dowództwo sił inwazyjnych komunikowało się z pilotami z Fuerza Aérea de Liberación (Wyzwoleńcze Siły Powietrzne). Ataki lotnicze spowodowały, że frachtowce postanowiły opuścić teren zatoki i wypłynąć na otwarte morze.

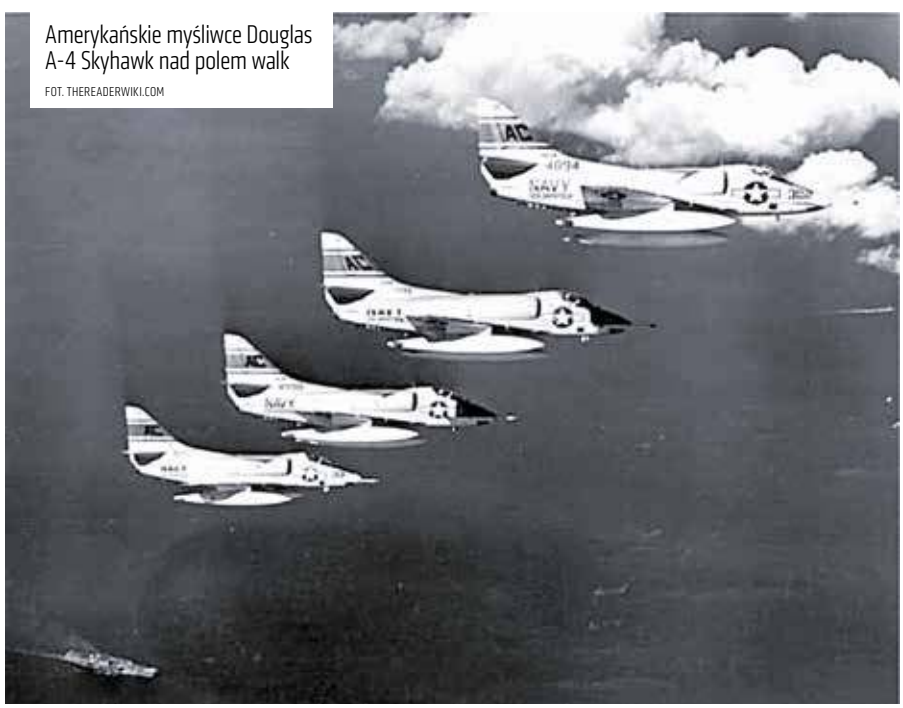
Przed południem kontakt bojowy ze spadochroniarzami nawiązał 339. batalion Milicji Ludowej przybyły z Matanzas. Odbił on miasto Sopillar, ale dalszy napór milicjantów został powstrzymany przez osiem samolotów FAL. W nocy siły rządowe rozpoczęły za pomocą czterech baterii haubic 122 mm, dziewięciu baterii artylerii przeciwlotniczej i kompanii czołgów ostrzał artyleryjski pozycji rebeliantów. Rankiem 18 kwietnia do akcji włączył się 117. batalion piechoty z Las Villas, szturmując obrońców w okolicach San Blas. Natomiast 111. batalion zaatakował kubańskich contras w Playa Larga. Z tej ostatniej miejscowości musieli się wycofać, ponieważ pozostanie na stanowiskach groziło rozczłonkowaniem rebelianckiego zgrupowania.

Tymczasem w nocy z 18 na 19 kwietnia 1961 r., podczas narady w Białym Domu, prezydent Kennedy uznał, że operacja „Pluto" poniosła klęskę, i polecił jej przerwanie, nie wyrażając woli ewakuowania żołnierzy Brygady 2065. Ich los zdecydowano pozostawić w rękach Castro. 19 kwietnia 1961 r. wojska rządowe oraz milicja ruszyły do ostatecznego natarcia. O godz. 10 wyparto rebeliantów z San Blas. Prawie osiem godzin później padły ostanie punkty oporu rebeliantów i walki na plaży Playa Girón ustały. Po stronie Castro poległo 160 żołnierzy, a kilkuset odniosło rany. Straty milicjantów i członków Rewolucyjnych Komitetów Obrony, jeśli chodzi o liczbę zabitych, rannych i zaginionych, wyniosły ok. 2 tys. ludzi. Siły rewolucyjne utraciły też dwa samoloty i pięć czołgów.

Natomiast po stronie kontrrewolucjonistów zginęło 114 żołnierzy, a 1189 dostało się do niewoli. Ponadto utracono dwa frachtowce, okręt desantowy, kilka mniejszych jednostek pływających i osiem samolotów (zginęło w nich czterech Amerykanów).

Wziętych do niewoli jeńców przewieziono do Hawany. Dla dziewięciu była to ostatnia podróż w życiu, zmarli bowiem w trakcie transportu do stolicy. Kolejnym 14 zorganizowano proces, w którym pięciu podsądnych skazano na karę śmierci i stracono za zbrodnie popełnione w czasie rządów Batisty. 29 marca 1962 r. przed sądem postawiono pozostałych jeńców, oskarżając ich o zdradę. Wszystkich skazano na 30 lat więzienia. W geście dobrej woli 14 chorych i rannych jeńców przekazano Amerykanom. 21 grudnia 1962 r., po długich negocjacjach, podpisane zostało porozumienie w sprawie zwolnienia 1113 jeńców w zamian za żywność, leki i maszyny rolnicze warte 53 mln dol. 29 grudnia 1962 r. powracającym żołnierzom Brygady 2056 zorganizowano w Miami uroczyste powitanie z udziałem prezydenta Kennedy'ego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Amerykańskie myśliwce Douglas A-4 Skyhawk nad polem walk

FOT. THEREADERWIKI.COM

eprasa.pl ede0eab6fd

Świadek / Z Heleną Majkowską, uczestniczką Powstania Warszawskiego, więźniarką KL Stutthof



rozmawia Piotr Włoczyk

Z powstania na marsz śmierci

– Nogi nam się uginały z przerażenia. Esesmani kazali nam się położyć na ulicy. Jedna z dziewczyn dobrze znała niemiecki i przekazała reszcie, że właśnie planują naszą egzekucję... – mówi Helena Majkowska

PIOTR WŁOCZYK: Widzę, że na honorowym miejscu w domu trzyma pani obrazek Jezusa Miłosiernego, na którym widnieje data: „1944". Ten obrazek rzeczywiście pamięta wojnę?

HELENA MAJKOWSKA: Tak. Znalazłam go na ulicy Dworkowej w Warszawie, leżąc na ziemi przed zapowiedzianą nam przez Niemców egzekucją. Proszę sobie wyobrazić tamten moment. Byłam przerażoną 18-letnią dziewczyną z powstania, która za moment zostanie zamordowana. Naraz patrzę, a obok mnie na bruku leży obrazek z tak dobrze znanym w Polsce wizerunkiem Pana. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Podniosłam go, pocałowałam i... zaczęłam robić rachunek sumienia. Ten obrazek był potem ze mną w obozie koncentracyjnym Stutthof. Trzymałam go cały czas przy sercu i nieustannie powtarzałam: „Panie Boże, ufam Tobie, wiem, że nie zginę. Matko nieustającej pomocy, wspomóż mnie. Spraw, abym wróciła do domu". Jak pan widzi, moje błagania zostały wysłuchane i mimo piekła, które zgotowali nam Niemcy, dzięki opiece z Nieba udało mi się dożyć 95 lat.

Wróćmy do momentu, kiedy miała pani zostać rozstrzelana.

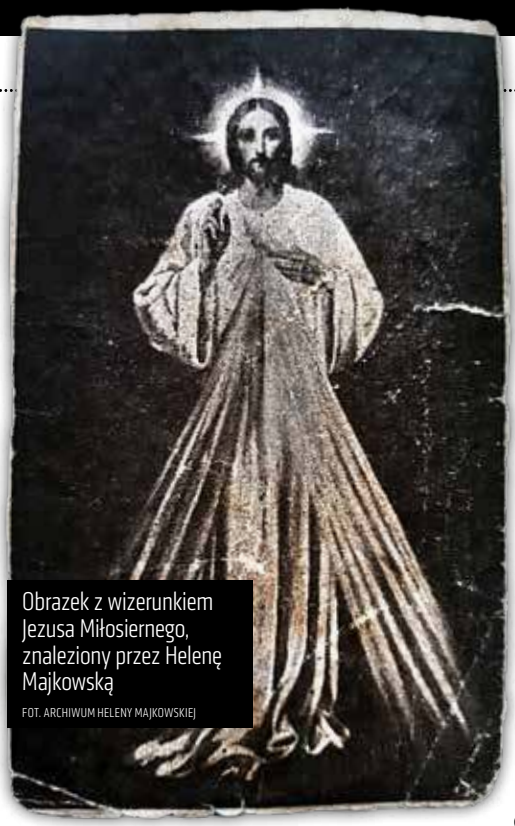
Niemcy nas na ul. Dworkowej wyciągnęli z kanałów. Dzień wcześniej, 26 września, dostałyśmy z koleżankami rozkaz przejścia z Mokotowa na Śródmieście. Cały dzień szłyśmy kanałami. To jest coś niewyobrażalnego dla ludzi żyjących dziś. Woda po pas, smród, od którego kręciło się w głowie, spuchnięte trupy, przez które trzeba było się przedzierać, szczury i wreszcie granaty i gaz, które do studzienek wrzucali Niemcy. Szliśmy wzdłuż ścian, trzymaliśmy się lin i modliliśmy się, żeby nie zabłądzić. Okazało się, że nie da się wyjść w Śródmieściu. Wszędzie, gdzie próbowaliśmy, byli już

FOT. ARCHIWUM HELENY MAJKOWSKIEJ, REPROD. PIOTR WŁOCZYK

eprasa.pl ede0eab6fd

Niemcy. W końcu padły dramatyczne słowa: trzeba wracać na Mokotów.

Na ul. Dworkowej Niemcy wyciągnęli nas z kanałów, krzycząc: „Raus, raus!". Wokół studzienki stali esesmani z karabinami. Było nas 40 dziewczyn, prawie wszystkie to sanitariuszki i łączniczki z Pułku „Baszta". Nogi nam się uginały z przerażenia. Esesmani kazali nam się położyć na ulicy. Jedna z dziewczyn dobrze znała niemiecki i przekazała reszcie, że właśnie planują naszą egzekucję... Dowodzący Niemcami oficer kazał rozstawić karabin maszynowy. Leżałyśmy tak ok. dwóch godzin. Każda jedna z nas robiła sobie po cichu rachunek sumienia i prosiła Pana Boga, żeby nam odpuścił grzechy. W międzyczasie Niemcy wyłapali chłopaków, którzy wyszli z tego samego włazu, popędzili ich kawałek dalej i tam rozstrzelali.



Obrazek z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego, znaleziony przez Helenę Majkowską

FOT. ARCHIWUM HELENY MAJKOWSKIEJ

Jak to się stało, że nie zrobili tego samego z wami?

Nie znam szczegółów. Po prostu przyszedł jakiś inny niemiecki oficer i zaczęła się kłótnia. Efekt był taki, że rozstawiony już karabin maszynowy został zabrany. Niemcy kazali nam wstać, ustawili nas w czwórki i popędzili. Odchodząc stamtąd, widziałam, że kilkanaście innych dziewczyn wciąż klęczy przy ścianie. Nie wiem, co się z nimi stało – czy je rozstrzelali czy nie? Wciąż się nad tym zastanawiam...

Pognali nas następnie do obozu w Pruszkowie. Spędziłyśmy tam noc. O godzinie piątej nad ranem wypędzili nas z pruszkowskiego obozu na stację kolejową. Wepchnęli tam nas do jednego wagonu. Krzyczeli, że jesteśmy bandytami. Okazało się, że celem naszej podróży ma być KL Stutthof… Cały dzień wieźli nas do obozu. Na miejscu czekali strażnicy z psami. Szczuli je na nas, okładali nas pejczami. Dotarłyśmy pod obozową bramę około północy. Niemcy ustawili nas pod płotem i kazali czekać całą noc, aż łaskawie otworzą obozową bramę. Nie pozwalali innym więźniom rozmawiać z nami, bo mówili, że jesteśmy bandytami. Izolowali nas od reszty osadzonych tam ludzi.

A przecież Niemcy nadali w końcu AK-owcom walczącym w stolicy status żołnierzy.

Ale nasza czterdziestka została wysłana do KL Stutthof i nic nie można było z tym zrobić. Jedna z nas pisała do komendanta pisma, jakaś procedura administracyjna została wszczęta, ale ostatecznie Niemcy zdecydowali, że nie przeniosą nas do obozu jenieckiego. Uznali, że zostawią nas za drutami Stutthofu. Dali nam pasiaki z czerwonymi winklami, co znaczyło, że jesteśmy „polityczne". Mimo że Niemcy chcieli, żeby cała reszta więźniów traktowała nas jak trędowate, to jednak spotkałyśmy się z ogromną ilością wyrazów sympatii. Bardzo szybko rozniosło się po obozie, że przywieźli tu dziewczyny z powstania. Czasem zdarzało się nawet, że inni więźniowie organizowali dla nas żywność i przemycali ją do naszego baraku.

Apele do komendanta kompletnie nic nie dały?

Nie. Nasza sytuacja pogorszyła się nawet, bo w grudniu przenieśli nas do Obozu Żydowskiego w KL Stutthof. Umieścili nas w baraku nr 27, tuż obok bloku śmierci. Obok naszego baraku codziennie rozgrywało się piekło na ziemi. Do tego budynku pędzili Żydówki. Nikt nie wychodził stamtąd żywy. Z tyłu leżała kupa zwłok, piętrzyła się aż pod dach. Więźniowie nie nadążali z wywożeniem ciał do krematorium. Ciała tych nieszczęśników wyglądały niczym chrust czekający na spalenie... W styczniu coraz częściej słychać było sowieckie samoloty. To ich „pyrkanie" dobrze nauczyłyśmy się rozpoznawać jeszcze w czasie powstania w Warszawie.

Niemcy podjęli decyzję o częściowej ewakuacji obozu – rozpoczęły się marsze śmierci z KL Stutthof.

Ja wyszłam stamtąd w kolumnie, którą wygnali za bramę 27 stycznia. Miałam na sobie pasiak, jakąś derkę na wierzch, a na nogach drewniane trepy. To była cała moja ochrona przed mrozem. Szłyśmy polnymi drogami, słaniając się z wycieńczenia.

To było pani najgorsze doświadczenie z okresu wojny?

Myślę, że tak. Chyba nawet w czasie powstania nie było aż tak ciężko. Przed nami szła kolumna mężczyzn. Droga była naznaczona zwłokami umęczonych więźniów. Czasem trudno było przejść, bo przecież nikt nie chciał stąpać po martwym człowieku. Do jedzenia dawali raz dziennie kawałek chleba, a do picia miałyśmy głównie śnieg. Na Kaszubach poczciwi ludzie rzucali w naszą stronę bochenki chleba, ale Niemcy nie pozwalali nam ich dotykać. Strzelali w powietrze, żeby odstraszyć ludzi chcących przyjść nam z pomocą. Luksusem był nocleg w kościele, kiedy można się było położyć na drewnianej ławce, a nie na gołej, zmarzniętej ziemi.

Nie brakowało momentów, kiedy i ja chciałam się poddać, bo dochodziłam już do granic wytrzymałości. W czasie marszów śmierci zasady były jasne dla wszystkich: jeżeli się przewrócisz i nie dasz rady wstać, to niemiecki strażnik cię dobije. W końcu i ja upadłam. Pamiętam doskonale, że jedyną myślą, która kołatała mi się wtedy po głowie, był niepokój, że zginę jako człowiek bez nazwiska, bo byłam przecież tylko więźniem nr 101 958. Bardzo nie chciałam w ten anonimowy sposób odejść z tego świata.

Jak pani to przeżyła?

Niemka wyciągnęła do mnie pomocną dłoń. I to bardzo dosłownie.

Niemka?!

Czasem zapominamy, że w obozach koncentracyjnych więźniami byli też niekiedy Niemcy, którzy z różnych względów zostali uznani przez III Rzeszę za zagrożenie. Nawiasem mówiąc, w KL Stutthof poznałam 18-letnią córkę jakiegoś wysoko postawionego oficera Wehrmachtu, którego zdegradowali i wysłali na front wschodni. Zaprzyjaźniłam się z tą dziewczyna w baraku

eprasa.pl ede0eab6fd



Helena Majkowska (z opaską powstańczą) na terenie byłego obozu Stutthof FOT. ARCHIWUM HELENY MAJKOWSKIEJ, REPROD. PIOTR WŁOCZYK

szpitalnym, kiedy miałam tyfus. To była jedynaczka. Bardzo chciała we mnie zobaczyć siostrę...

Niemka, która podała mi pomocną dłoń w czasie marszu śmierci, wydawała mi się wówczas 70-letnią staruszką. Powtarzała mi uparcie: „Nie umieraj, nie umieraj". Ja odpowiadałam, że jest mi już wszystko jedno, ale ona nie przestawała mnie mobilizować, mówiąc: „Wstawaj szybko, wstawaj!". Podźwignęła mnie, wzięła pod rękę z jednej strony, inna więźniarka złapała mnie z drugiej strony i tak powoli zaczęłyśmy iść. Powłóczyłam nogami, ale jakimś cudem dotarłam do kościoła, gdzie mogłam trochę odpocząć. Bez pomocy tej Niemki na pewno byłabym jedną z tysięcy ofiar marszów śmierci.

Gdzie skończyła się dla pani ta mordercza trasa?

Nie potrafię już dziś powiedzieć, jak daleko doszłyśmy i kiedy dokładnie to się skończyło. Wiem tylko, że było to gdzieś na Pomorzu. W końcu dogonili nas Ruscy. Na horyzoncie pojawiły się jakieś czołgi. Nikt nie był pewien, co to za maszyny. Kiedy raptem zniknęli strażnicy, wszystko stało się jasne. Jak zobaczyłyśmy Ruskich, to tej radości nie potrafię opisać. Nic już się nie liczyło, najważniejsze, że nie musimy już maszerować o głodzie i chłodzie pod niemieckim batem. Ruscy kazali nam zająć chałupę po Niemcach i w końcu mogłyśmy odpocząć.

Gdyby nie ci Ruscy, to jestem pewna, że dzień albo najdalej dwa dni później zginęłabym na drodze. Byłam już wrakiem człowieka i to nie jest żadna przesada. Prawda jest taka, że oni nam uratowali życie, ale bardzo szybko pokazali też swoją przerażającą twarz: zaczęły się gwałty... Chodzili od chałupy do chałupy i szukali „mołodej".

Powstanie Warszawskie, KL Stutthof, marsz śmierci, na koniec jeszcze zagrożenie czymś, co dla wielu kobiet jest gorsze od śmierci...

Ale, proszę pana, na szczęście były z nami dwie dużo starsze więźniarki, które wymyśliły, jak nas zabezpieczyć przed Ruskimi. Miałyśmy się schować razem z koleżanką pod zasłaną pościelą. Na łóżkach siedziały stare więźniarki i kiedy do domu wchodzili Ruscy, pytając się o młode dziewczyny, one kręciły tylko głowami i mówiły, że u nich nie ma nikogo takiego, a poza tym one są wyzwolonymi więźniarkami obozu koncentracyjnego. I to załatwiało sprawę.

Niemcy, uciekając z tego gospodarstwa, zostawili za sobą spiżarnie pełne jedzenia. Nie wiedziałyśmy jednak, że taka obfitość tłustego jedzenia – zostawili tam m.in. kiełbasy i boczek – skończy się dla nas źle. To zresztą zdarzało się często wśród byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy nagle mieli dostęp do dużej ilości jedzenia. Wszystkie miałyśmy ogromne problemy żołądkowe. Dopiero ruscy lekarze wytłumaczyli nam, że nie możemy na razie brać się za takie produkty i powinnyśmy jeść same kasze i pić miętę. Mieli rację, po kilku dniach poczułyśmy się lepiej. Ale i tak Stutthof i marsz śmierci zrobiły swoje. Przez kolejne dwa lata po wojnie dochodziłam do zdrowia. W jednym płucu miałam dziurę, a na drugim pojawił się duży naciek. Leczył mnie Polski Czerwony Krzyż i miałam na szczęście dostęp do darów z Ameryki, gdzie były też leki i odżywki. To mnie postawiło na nogi. Kiedy dwa lata po wojnie robili mi w Skierniewicach prześwietlenie płuc, to powiedzieli, że muszę jechać do Warszawy, bo chyba mają zepsuty sprzęt – moje zniszczone płuca wyglądały jak zdrowe, a lekarze uznali, że to niemożliwe. Rentgen w Warszawie potwierdził jednak, że istotnie tak było. Proszę się więc nie dziwić, że całe życie twierdzę, iż Pan Jezus i Matka Najświętsza czuwają nade mną.



Powstaniec wychodzący z kanałów FOT. THEREADERWIKI

Jak trafiła pani ze Skierniewic na ulice powstańczej Warszawy?

Już jako 15-letnia dziewczyna złożyłam przysięgę. Stało się to 1 lutego 1941 r., kiedy jeszcze mieszkałam w Skierniewicach. Moim dowódcą był Wiktor Janiszewski ps. Dębicz. Przenosiłam gazetki, czasem broń. Kiedy moja mama umarła, ciotka załatwiła mi mieszkanie u rodziny w Warszawie. Po przeprowadzce do stolicy w naturalny sposób kontynuowałam służbę w podziemiu. Kiedy wybuchło powstanie, nie mogło mnie zabraknąć na

eprasa.pl ede0eab6fd



Brama niemieckiego obozu Stutthof FOT. ADOBE STOCK

ulicach Warszawy. Byłam sanitariuszką i łączniczką w Pułku „Baszta".

W publikacjach na temat tej czterdziestki kobiet, które trafiły z kanałów do KL Stutthof, czasem nazywa się was „kobietami pistoletami". Dlaczego?

Może dlatego, że te dziewczyny były odważne i wyrywne?

Pani strzelała w czasie powstania?

Nie, ani razu. Ale przez większość czasu miałam przy sobie mały pistolecik. Na wszelki wypadek.

Czyli wszystko jasne. Przynajmniej w pani przypadku to określenie pasuje jak ulał.

Na ulicach Warszawy działy się takie rzeczy, że wolałam mieć przy sobie moją małą „piąteczkę".

W czasie powstania wprawdzie nie strzelałam, ale zdarzyło się, że miałam w ręku karabin. A nawet dwa! Któregoś dnia zauważyłam, że przy ul. Puławskiej dwa karabiny leżą sobie ot, tak na ulicy. Niewiele myśląc, złapałam je i puściłam się biegiem do chłopaków. Nawet nie pomyślałam, że to mogła być przecież pułapka. Ale jak się chłopaki ucieszyli z tej zdobyczy!

Pod koniec powstania zakopałam mój pistolecik w ogródku przy jednym z domów. Po wojnie wróciłam tam i poprosiłam gospodynię, by wpuściła mnie, bo muszę wykopać coś, co zakopałam pod różą w czasie powstania. Nie pytała mnie nawet, co to jest, tylko zaprosiła do środka.



Niemcy pod nadzorem żołnierzy alianckich oglądają zwłoki ofiar jednego z marszów śmierci FOT. WIKIPEDIA

Jak wyglądał najbardziej wstrząsający moment powstania?

To był jeden wielki pęd, ciężko mi tu wybrać jedną scenę. Spało się bardzo niewiele, cały czas było coś do zrobienia. Ale przynajmniej czuliśmy się wszyscy wolni. Jako sanitariuszka służyłam m.in. w szpitalu Elżbietanek na Mokotowie. Niemcy rzucali bomby zapalające, które się rozrywały w piwnicach. Ludzie byli cali popaleni. To były potworne sytuacje. Jak karmić człowieka, któremu spłonęła twarz?

Co po wojnie wracało w pani wspomnieniach szczególnie mocno?

Marsz śmierci. Czy uwierzy pan, że ja długo nie mogłam patrzeć na pielgrzymki? Ludzie zmierzający do naszej kochanej Częstochowy przypominali mi ten marsz. To uczucie było silniejsze ode mnie. Po prostu nie byłam w stanie patrzeć na kolumny maszerujących ludzi...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Helena Majkowska ps. Ela
(ur. 1926 r.) w czasie Powstania Warszawskiego była sanitariuszką i łączniczką w V Obwodzie (Mokotów) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej.

eprasa.pl ede0eab6fd



FOT. 1920.GOV.PL/WIKIPEDIA

XX w. / Maria Wittek i Aleksandra Zagórska

Szefowe kobiecego wojska



Marek Gałęzowski

Od POW i walk o niepodległość, przez wojnę z bolszewikami i pracę dla wojska, do gehenny drugiej wojny światowej i ciężkiego losu w PRL wiódł szlak życia tych bohaterek

Na Ukrainie wyczuwał się brak ludzi ideowych, pewnych i wyrobionych, dlatego Kom.[enda] Nacz.[elna] była zmuszona młodzież niewieścią wciągać do coraz bardziej odpowiedzialnej pracy. Na przykład w roku 1919 przez szereg miesięcy kierowniczką Wydziału Wojskowego KN 3 była ob. Wittekówna" – pisał Ignacy Ziemiański, autor książki upamiętniającej te młode dziewczyny, które stanowiły trzon Polskiej Organizacji Wojskowej na dalekiej Ukrainie i wzięły na siebie ciężar konspiracyjnej walki z bolszewikami, często ginąc w kazamatach Czeka.

Pani generał

Maria, tak bowiem miała na imię „obywatelka Wittekówna", nie pochodziła z dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, lecz z mazowieckiej miejscowości Trębki w powiecie gostyńskim (w której urodził się również twórca polskiego skautingu Andrzej Małkowski, co nie jest jedynie ciekawostką, biorąc pod uwagę, że harcerstwo co najmniej istotnie wpłynęło na postawę ideową naszej bohaterki). Miała kilka lat, kiedy jej ojciec, działacz PPS, po klęsce rewolucji 1905 r. musiał opuścić rodzinne Mazowsze. Udał się z rodziną na Ukrainę, a krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej osiedlił się w Kijowie. Tam Maria uczyła się najpierw w rosyjskim w gimnazjum rządowym, a od 1917 r. – w polskim Gimnazjum Zrzeszenia Rodziców i Nauczycieli. Wnastępnym roku jako pierwsza kobieta rozpoczęła studia matematyczne na uniwersytecie w Kijowie.

Jeszcze w gimnazjum rosyjskim należała do 3. Polskiej Drużyny Harcerskiej, a od chwili rozpoczęcia nauki w polskiej szkole zaczęła współpracę z POW. Jesienią 1917 r. ukończyła z bardzo dobrym wynikiem kursy peowiackie dla podoficerów i wywiadowców, a wiosną następnego roku złożyła przysięgę. Kijowska organizacja POW stała się wkrótce swoistym centrum pomocy dla żołnierzy rozbitego przez Niemców w bitwie pod Kaniowem II Korpusu Polskiego gen. Józefa Hallera. Maria pomagała ukrywać jego żołnierzy, a następnie w kierowaniu ich do innych polskich oddziałów powstających na obszarze ogarniętej już pożarem czerwonej rewolucji Rosji.

Wkrótce musiała się zmierzyć z poważniejszymi zadaniami. Miało w tym pomóc ukończenie szkoły podoficerskiej i kursu wywiadowczego POW. W tym czasie do jej obowiązków należało m.in.

eprasa.pl ede0eab6fd

przekazywanie poczty dwóm wybitnym oficerom legionowym, przebywającym wówczas w Kijowie – komendantowi POW płk. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi oraz płk. Leopoldowi Lisowi-Kuli.

Z końcem pierwszej wojny światowej Niemcy odeszli na zachód, a w 1919 r. Kijów zajęli bolszewicy, wypierając wojska ukraińskie. Działalność tamtejszej POW, złożonej, podkreślmy, przede wszystkim z młodych polskich harcerek, skoncentrowała się na wywiadzie. Jego kierownictwo objęła ledwie 20-letnia Wittekówna. „Robotę stawia tak, że nie ma sztabu bolszewickiego ani też centralnej instytucji wojskowej, która by nie była obsadzona przez naszych wywiadowców. Daje b. cenne materiały, które służą za podstawę do raportów wysyłanych do Nacz. Dow. WP" – pisał Ziemiański.

Nierówna to była jednak walka. Latem 1919 r. CzeKa rozbiła komendę POW, nie zdołała jednak aresztować „Szanieckiej", czyli Wittekówny. Ta zaś, wraz ze swoimi współpracowniczkami, nie tylko ustaliła nazwisko prowokatora – Garos-Rokicki (przyczynił się on do dekonspiracji peowiackiej komendy) – lecz także zdołała odzyskać część przejętych przez bolszewików dokumentów organizacji. Komendę POW udało się po kilku tygodniach odbudować i właśnie wówczas Maria objęła w niej kierownictwo Wydziału Wojskowego. Jednak grunt już palił się jej pod nogami: Czeka znała jej nazwisko i usilnie jej poszukiwała. Dlatego w grudniu 1919 r. Wittekówna wyjechała do Warszawy.

Doświadczenie nabyte w POW w oczywisty sposób musiało wpłynąć na przyjęcie Wittekówny do wojska. Znów przez pewien czas służyła pod dowództwem Rydza-Śmigłego w oddziale drugim – czyli wywiadowczym – dowodzonej przez niego armii. W 1921 r. przeniesiono ją do Ochotniczej Legii Kobiet, ukończyła też Szkołę Podchorążych w Warszawie. Była zdecydowana prowadzić dalszą działalność na rzecz szkolenia kobiet do pomocniczej służby wojskowej, nawet gdyby miało się to odbywać wyłącznie za pomocą środków społecznych. W tej sprawie złożyła memoriał do najwyższych władz wojskowych. Te, m.in. w osobie gen. Kazimierza Sosnkowskiego, odniosły się do projektu przychylnie. Nic dziwnego – składała je co prawda młoda dziewczyna, ale już odznaczona Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.



Plakat autorstwa Wojciecha Kossaka z 1919 r.

FOT. 1920.GOV.PL

Po zakończeniu wojny z bolszewikami i rozwiązaniu OLK, już jako porucznik WP, Maria Wittek kontynuowała swoje działania na rzecz organizacji służby wojskowej kobiet. W tym celu nawiązała kontakty ze wszystkimi żeńskimi stowarzyszeniami, które pracowały dla wojska po demobilizacji i zaproponowała im współdziałanie w szkoleniu. Jesienią 1922 r. objęła kierownictwo Wydziału Szkolenia w Komitecie Społecznym Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju, kilka lat później, w 1928 r., została komendantką Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Później przez pewien czas zajmowała jedno z wyższych stanowisk w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, ale po uchwaleniu w czerwcu 1938 r. nowej ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej wróciła na stanowisko komendantki PWK.

W konspiracji

Po agresji Niemiec na Polskę Wittekówna znalazła się we Lwowie i wzięła udział w obronie miasta. Lwów, dzielnie broniący się przed Wehrmachtem, kapitulował jednak przed nadciągającą ze wschodu Armią Czerwoną. Komendantka PWK znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale – podobnie jak dwadzieścia lat wcześniej – szczęśliwie wydostała się spod okupacji bolszewickiej i wróciła do Warszawy. Natychmiast zgłosiła się do powstającej konspiracji, w połowie października referując gen. Michałowi Tokarzewskiemu-Karaszewiczowi możliwości organizacyjne oraz formy i cele pracy kobiet w podziemiu. Komendant Służby Zwycięstwu Polski zlecił jej utworzenie komórki kobiecej w ramach Dowództwa Głównego SZP, która powstała jeszcze w październiku 1939 r. pod kryptonimem Spółdzielnia. Najważniejszym celem tej struktury było zaangażowanie kobiet w działalność podziemną, głównie w łączności, obejmującej wszystkie szczeble organizacyjne. Do końca roku, przede wszystkim dzięki osobistym staraniom Wittekówny, „Spółdzielnia" nawiązała kontakt ze wszystkimi przedwojennymi okręgami PWK, zyskując świetne kadry dla budowanej konspiracji.

Kiedy w lutym 1942 r. gen. „Grot" powołał Wojskową Służbę Kobiet KG Armii Krajowej, na jej czele stanęła Wittekówna. Zadaniem WSK było m.in. przygotowanie rezerw kobiecych dla formacji bojowych AK – plutonów i sekcji w służbach łączności, sanitarnej, gospodarczej oraz wartowniczej, przeznaczonej dla Wojskowej Służby Ochrony Powstania. Przystąpiono także do opracowania programów szkoleniowych dla poszczególnych służb oraz do tworzenia grup instruktorskich. Wittek przeprowadziła wiele wizytacji podległych sobie struktur, m.in. we Lwowie, w Wilnie, Krakowie, Białymstoku, mimo że tak jak niegdyś przez bolszewików, tak teraz była poszukiwana przez Niemców. Niemal przez całą okupację ukrywała się w domu należącym do sióstr urszulanek przy ul. Gęstej 1 w Warszawie. Używała pseudonimów Pani Maria i Mira.

W czasie Powstania Warszawskiego kierowała Szefostwem WSK, którego siedziba znajdowała się w Śródmieściu. „»Mira« przeprowadzała inspekcje kobiet żołnierzy, pracujących w różnych służbach powstańczych (szpitale, kuchnie). Szefostwo służby zajmowało się sprawami porządkowymi i ewidencyjnymi" – wymieniał obowiązki „Miry" Marek Ney-Krwawicz. Kilka dni przed kapitulacją została mianowana pułkownikiem i po raz drugi odznaczona Virtuti Militari. Uniknęła niewoli i dalej kierowała WSK. Należała do „Nie", ale po zakończeniu wojny zaprzestała działalności konspiracyjnej i wzięła udział w tworzeniu PUWFiPW, a w lutym 1948 r. objęła nawet stanowisko szefa Wydziału Kobiecego Komendy Głównej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce".

Już w następnym roku władze komunistyczne usunęły ją z tego stanowiska, a następnie aresztowały w związku z akcją bezpieki pod kryptonimem Monopol, skierowaną przeciw wyższym oficerom AK. W więzieniu przebywała pół roku.

eprasa.pl ede0eab6fd



Aleksandra Zagórska (z tyłu) z członkiniami Ochotniczej Legii Kobiet, Lwów, 1919 r. FOT. WIKIPEDIA

Po zwolnieniu prowadziła kiosk „Ruchu" w Polskim Radiu. Jedynie taką pracę mogła w rządzonej przez komunistów Polsce...

W latach 60. uczestniczyła w współtworzeniu Rodziny Legionowo-Peowiackiej, mimo zakazów i szykan komunistycznych. Należała do inicjatorek powołania Komisji Historii Kobiet w Walce o Niepodległość przy Towarzystwie Miłośników Historii w Warszawie, którego monumentalnym, niezastąpionym do dziś dziełem był „Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939–1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej" (Warszawa 1988). Doczekała niepodległości i jako pierwsza kobieta w dziejach Wojska Polskiego, w 1991 r. została mianowana generałem brygady. Zmarła siedem lat później w klasztorze ss. Urszulanek przy ul. Wiślanej 2 w Warszawie.

Komendantka

Prekursorką służby wojskowej kobiet była starsza o 15 lat Aleksandra Zagórska. Pochodząca Lublina, absolwentka gimnazjum w Radomiu, studiowała chemię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Rozpoczynając studia, Zagórska kolportowała już prasę PPS, a wkrótce przystąpiła do jej Organizacji Bojowej. Przewoziła na teren Królestwa Polskiego broń i wydawnictwa socjalistyczne, a od początku 1906 r. pracowała w laboratorium przy ul. Mokotowskiej 32 w Warszawie, wytwarzając materiały wybuchowe. Bomby sporządzone przez Zagórską zostały użyte m.in. podczas tzw. krwawej środy w sierpniu 1906 r. – akcji przeciw ochranie i jej agentom. Praca w laboratorium spowodowała silne zatrucie wyziewami piorunianu rtęci, ale po kuracji w Zakopanem wróciła do działalności podziemnej i w lipcu 1907 r. uczestniczyła w zamachu w Łapach, dokonanym na pociąg przewożący znany z okrucieństwa pułk wołyński. W marcu 1908 r. została uwięziona na Pawiaku. Kiedy udało się jej uzyskać tymczasowe zwolnienie, wobec zagrożenia zesłaniem syberyjskim, wyjechała do zaboru austriackiego i zamieszkała we Lwowie.

Nadal działała w PPS, ale przede wszystkim związała się z irredentą Józefa Piłsudskiego, którego gościła w swoim domu na Kulparkowie, a przyjacielskie stosunki utrzymywała również w niepodległej Polsce. W czasie pierwszej wojny uczestniczyła w działalności Komitetu Pracy Obywatelskiej Kobiet, wspierającego Legiony, ale przede wszystkim poświęciła się wychowywaniu synów – Jerzego i Władysława, pochodzących z jej dwóch pierwszych małżeństw (trzecim mężem był Roman Zagórski).

Najważniejsze zadanie, które dało jej wybitne miejsce w dziejach zmagań o granice Rzeczypospolitej, rozpoczęło się w pierwszych dniach walk polsko-ukraińskich o Lwów w listopadzie 1918 r. Zorganizowała oddział kurierek, przekształcony następnie w Milicję Obywatelską Kobiet, a na przełomie lat 1918 i 1919 – Ochotniczą Legię Kobiet, której statut wkrótce zatwierdził Naczelny Wódz Józef Piłsudski. Formacja przyczyniła się znacząco do wywalczenia wschodniej granicy Polski. A kierowała nią Zagórska w najtrudniejszym okresie swojego życia. Oto bowiem ostatniego dnia boju o Lwów zginął jej ledwie 14-letni syn Jerzy Bitschan, najsłynniejszy w panteonie lwowskich Orląt.

Kiedy minęło zagrożenie bolszewickie, władze wojskowe zdecydowały o likwidacji OLK. Zagórska, wówczas już podpułkownik WP, w proteście ustąpiła ze sprawowanej funkcji. „Przez trzyletni okres służby w Wojsku Polskim ppk Zagórska wykazała duży talent i zmysł organizacyjny, przyczyniając się znakomicie do rozwoju powstałej z jej inicjatywy Ochotniczej Legii Kobiet. Dzięki niezmordowanej pracy i oddaniu się sprawie ppłk Zagórskiej Ochotnicza Legia Kobiet stanęła na wysokości zadania, zyskując cały szereg pochwał od Dowódców Armii i Dowództw lokalnych za znakomite wywiązanie się z powierzonych jej różnorodnych, nieraz bardzo trudnych i odpowiedzialnych zadań. Podpułkownik Zagórskiej, jako twórczyni idei czynnej współpracy kobiet w Wojsku Polskim, przypada zaszczyt przysporzenia Ojczyźnie całego szeregu doskonałych żołnierzy i oddanych Jej, gotowych na wszelkie poświęcenia obywatelek" – pisano w »Rozkazie dziennym MSWojsk.« z 25 X 1921". Za te zasługi, podobnie jak Wittekówna, znalazła się wśród tych nielicznych, których odznaczono Krzyżem Niepodległości z Mieczami (wcześniej za udział w obronie Lwowa dwukrotnie otrzymała Krzyż Walecznych).

W październiku 1928 r. należała do grona organizatorek Związku Legionistek Polskich, w którym pełniła funkcję prezesa. W czasie oblężenia stolicy przez Niemców we wrześniu 1939 r. zorganizowała punkt rozdzielania posiłków dla żołnierzy i uchodźców cywilnych przy ul. Brackiej 1. Do chwili zniszczenia go 25 września 1939 r. wydawano tam kilka tysięcy obiadów dziennie. Ciężkie problemy zdrowotne uniemożliwiły jej działalność konspiracyjną. Większą część okupacji spędziła w Zakopanem. Tam w 1943 r. nawiązała kontakt z konspiracją piłsudczyków, a wiosną następnego roku wróciła do Warszawy, gdzie weszła w skład kierownictwa Konwentu Organizacji Niepodległościowych. W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego przebywała w swoim domu w Radości. Krótko po wojnie ponownie zamieszkała w Zakopanem.

Zmarła 20 lat później w Warszawie. Skromny grób znajduje się na cmentarzu Bródnowskim. Może w ostatnich chwilach wspomniała obronę Lwowa i śmierć Jerzego, a może także defiladę z okazji 10. rocznicy odzyskania niepodległości Polski (w której najpewniej brała udział i Wittekówna). „Maszerowali [wówczas] wszyscy byli i przyszli obrońcy Polski od prastarych weteranów roku 1863 do młodziutkich skautów i skautek [...]. W rytmie bojowych marszów szłam przy sztandarze Związku Legionistek z czasów wojny, a miałam poczucie, że wyrastają mi skrzydła u ramion, bo pięknie było, a tak bardzo wierzyłam w przyszłość Polski i miłość Jej, i tych maszerujących ludzi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl ede0eab6fd



Działo twierdzy Oscarsborg
FOT. ØYVIND HOLMSTAD/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Kwiecień 1940 r. / Falstart niemieckiej inwazji Norwegii

Pułkownik Eriksen: – Ognia!



Piotr Semka

Jak 65-letni komendant twierdzy Oscarsborg uratował króla, rząd i honor kraju

Bardzo często w historii determinacja i odwaga jednego człowieka potrafią wpływać na losy całego narodu. Grecy pamiętają z tego powodu o 300 obrońcach Troi. Dla Norwegów przykładem takiej odwagi jest płk Birger Kristian Eriksen – komendant twierdzy Oscarsborg. Walka, którą podjął z niemieckim pancernikiem „Blücher", pozwoliła ocalić króla, ewakuować rząd, wreszcie przyczyniła się do tego, że Norwegia znalazła się w obozie państw walczących z III Rzeszą.



Pułkownik Birger Kristian Eriksen FOT. WIKIPEDIA

W cieniu swastyki

Wybuch drugiej wojny światowej postawił Królestwo Norwegii przed dylematem, po której z walczących stron stanąć. Norwegia początkowo uznała, że trzeba wybrać neutralność – rozwiązanie z poprzedniego światowego konfliktu. Wielu Norwegów wierzyło, że naziści, którzy wielokrotnie wyrażali się z najwyższym szacunkiem o Norwegii jako kraju czystych Nordyków, nie zdecydują się na agresję wobec północnego sąsiada. Okres między 1 września 1939 r. a końcem marca 1940 r. był naznaczony wieloma naruszeniami norweskiej neutralności z obu stron toczonej wojny. Prawdą jest, że te naruszenia w większej mierze były dziełem Brytyjczyków. Niemcy starali się raczej Norwegów uwieść, szykując Vidkuna Quislinga na szefa proniemieckiego przyszłego rządu Norwegii.

Sam król Haakon VII był przez Niemców oficjalnie szanowany, ale faktycznie lekceważony. Norweska konstytucja przyznaje władcy wyłącznie role ceremonialne, podczas gdy realną władzę miał rząd, a poza nim parlament. Jednak monarcha cieszył się wyjątkową popularnością wśród zwykłych mieszkańców krainy fiordów. Niemcy zakładali, że wystarczy odpowiednio szybko zająć całą Norwegię, aby król pogodził się z faktem dokonanym. Dlatego zaplanowano uderzenie znienacka, które miało polegać na jednoczesnym desancie lotniczym na lotniskach najważniejszych portów Norwegii połączonych z szybkim zajęciem stolicy kraju – Oslo.

W planach niemieckich kluczową rolę miał odegrać pancernik „Blücher",

eprasa.pl ede0eab6fd

który miał wpłynąć do fiordu wiodącego do Oslo. Na pokładzie „Blüchera", który był statkiem flagowym całej flotylli niemieckiej, zgromadzono spory oddział desantowy oraz dużą grupę Niemców znających język norweski wyznaczonych do błyskawicznego przejęcia stolicy. W stosunku do króla Haakona zakładano, że najpierw zostanie on zaskoczony szybkim atakiem, a potem najprawdopodobniej pogodzi się z niemieckim protektoratem nad Norwegią.

Wybór pancernika „Blücher" był nieco ryzykownym krokiem. Owszem, okręt miał silne uzbrojenie – osiem dział wielokalibrowych, 12 dział przeciwlotniczych i 12 wyrzutni torpedowych. Jednak od początku prześladował go pech. Po zwodowaniu w czerwcu 1937 r. statek był bardzo długo poddawany przeróbkom i ostatecznie był gotowy do wejścia do służby dopiero we wrześniu 1939 r. Potem nastąpiło kilka rejsów szkoleniowych na Bałtyku, ale załoga nie odbywała na nim żadnej misji bojowej przy ostrzale ze strony nieprzyjaciela. Wiele prób i ćwiczeń nie zostało jeszcze zakończonych. Ostatecznie statek został oddany do użytku 5 kwietnia 1940 r. i już cztery dni później otrzymał zadanie lidera ataku pod wodzą kadm. Oskara Kummetza na Oslo. Starsi, bardziej doświadczeni oficerowie Kriegsmarine odradzali wysyłanie do akcji jednostki wojennej, której załoga nigdy nie była wypróbowana w potyczce morskiej. Zastrzeżenia te zlekceważono. Używano argumentu, że armia norweska jest słabo uzbrojona i Kriegsmarine nie musi liczyć się z żadnym poważnym oporem. Ta pewność siebie została rychło ukarana.

Krzepki staruszek

Aby zrozumieć strategiczne znaczenie twierdzy Oscarsborg, warto spojrzeć na mapę. Budowa tej fortecy została zarządzona przez króla Szwecji w 1815 r. w celu zabezpieczenia Christianii (ówczesna nazwa Oslo). Każdy, kto chciał dotrzeć drogą morską do najważniejszego miasta Norwegii, musiał przepłynąć tuż przed lufami Oscarsborga. Twierdzę wybudowano ostatecznie w latach 1846–1856. Przez kolejne 84 lata nigdy jednak nie musiała bronić dostępu do stolicy, ponieważ wojny omijały Norwegię. Jej znaczenie stało się kluczowe dopiero w nocy z 8 na 9 kwietnia 1940 r.



Pokład pancernika „Blücher"
FOT. NATIONAL ARCHIVES OF NORWAY/WIKIPEDIA

Teoretycznie forteca nie była specjalnie przygotowana na atak wroga. Niemcy zakładali, że nadpłynięcie całkowicie zaciemnionego krążownika „Blücher" może się udać bez zwrócenia uwagi Norwegów. A gdy już załoga fortecy zobaczy wyłaniający się z ciemności ogromny okręt, to widok ten ich sparaliżuje.

Dowódca Oscarsborga płk Birger Kristian Eriksen, urodzony w 1875 r., liczył wtedy 65 lat i był u kresu swej długoletniej służby. W 1933 r. objął dowództwo nad Oscarsborgiem, co miało uwieńczyć jego wcześniejsze dowodzenie twierdzami Tønsberg, Agdenes i Bergen. Dodatkowo akurat tego dnia twierdza nie była w pełnej gotowości bojowej. W ministerstwie obrony panował chaos i nikt nie wydał wyraźnych rozkazów, jak się zachować w razie niemieckiego ataku. Osobiście Eriksen był sympatykiem Wielkiej Brytanii, ale – co ważniejsze – reprezentował trzeźwe przekonanie, że jeśli przeciwnik pojawia się w zasięgu jego luf i zachowuje się podejrzanie, to jedyną odpowiedzią musi być podjęcie walki.

Twierdza Oscarsborg dysponowała trzema armatami przybrzeżnymi Kruppa kaliber 28 cm, a wspierały je dwie pobliskie baterie: Kopåc z działami kalibru 15 cm oraz Husvik uzbrojona w dwa działa 57 mm (czyli 5,7 cm). Eriksen dysponował też trzema wyrzutniami torped, choć były to już mocno przestarzałe torpedy produkcji austro-węgierskiej sprzed pierwszej wojny światowej. Nie pomagał odważnemu pułkownikowi fakt, że oprócz jego zastępcy w twierdzy znajdowali się wyłącznie rezerwiści, którzy zostali powołani do wojska dokładnie tydzień wcześniej, 2 kwietnia 1940 r. Mimo wszystko jednak odbyli oni już parę ćwiczebnych strzałów bateriami twierdzy, a dodatkowo ich wartość bojową wzmacniało wysokie morale patriotycznych Norwegów.

„Blücher" opuścił Świnoujście 7 kwietnia i wraz z mniejszą jednostką SMS „Emden" oraz kilkoma torpedowcami rozpoczął rejs w kierunku Norwegii. Tuż przed północą 8 kwietnia norweski okręt straży granicznej „Pol III" dostrzega płynący w zaciemnieniu krążownik i wystrzeliwuje rakiety ostrzegawcze. Dowódca twierdzy szybko mobilizuje dodatkowe siły. Ściągnięci zostają kadeci ze szkoły oficerskiej w Seiersten, a szef baterii torped zostaje wyrwany ze snu i ściągnięty ze swojego domu w miejscowości Drøbag. Przewidujący Eriksen powiadomił jednocześnie szefa miejscowej policji, aby rozkazał ewakuację wszystkich mieszkańców cywilnych z domów położonych w okolicy twierdzy.

Odpowiemy ogniem!

O godz. 3.38 kolejny statek strażniczy „Furu" donosi, że „siedem okrętów, trzy większe, cztery mniejsze płyną w górę fiordu. Jak podają marynarze z »Furu«, na pokładzie słychać niemieckie komendy". Eriksen stawia fortecę w pełnej gotowości. O godz. 4.21 zaciemniona sylwetka „Blüchera" pojawia się tuż przed lufami twierdzy. Wyraźnie spanikowany adiutant Eriksena przypomina dowódcy, że nie mają jasnego rozkazu otwarcia ognia. Proponuje też oddanie wcześniej strzału ostrzegawczego. Eriksen ucina to mędrkowanie krótką deklaracją: „Mamy do czynienia z obcym okrętem, który naruszył wody terytorialne Norwegii,

eprasa.pl ede0eab6fd

a jego zaciemnienie wskazuje, że ma wrogie zamiary. Odpowiemy ogniem".

I twierdza otwiera ogień do „Blüchera" z głównej baterii armat kalibru 280 mm. Dystans wynosi 950 metrów. Szczęście sprzyjało odważnemu dowódcy. Mimo że dużą część obsługi stanowili dosyć „zieloni" kadeci i rezerwiści, odpalenie dział nastąpiło bez zarzutu. Nawet pomyłka Eriksena, który podniósł podstawy dział i nietrafnie ocenił dystans na 1400 metrów, zadziałała na korzyść Norwegów. Salwy spowodowały zburzenie masztu wysoko nad mostkiem kapitańskim i sparaliżowały dowodzenie okrętem. Uszkodzenia w górnej części wieży bojowej „Blüchera" były tak duże, że dowództwo artylerii przekazano trzeciemu oficerowi artylerii, który kompletnie stracił głowę.

Znów na korzyść Eriksena zadziałał przypadek. Drugi strzał z baterii trafił w minihangar lotniczy między masztem rufowym a kominem. Doszło do wybuchu amunicji lotniczej i uszkodzone zostały rurociągi doprowadzające parę do turbiny okrętowej. W rezultacie elektrownia na okręcie straciła dopływ pary i przestała działać. Ogień zaczął rozprzestrzeniać się niezwykle szybko oraz zapalił benzynę i olej dla samolotów. Statek tracił zdolność ruchu, dobiły go strzały z baterii małego kalibru z Husvik i Kopåc. Ostatecznym ciosem był jednak atak z baterii torped w Kaholmen. Wyrzutnie zostały zbudowane jeszcze w 1901 r. w rozpadlinie skalnej. Niemcy nie wiedzieli nic o tej niezwykle dobrze ukrytej baterii torpedowej. I tutaj szczęście uśmiechnęło się do Eriksena, gdyż akurat wyrzutnie torpedowe były – w odróżnieniu od rekrutów i kadetów z Oskarholmen – obsługiwane przez regularne załogi z solidną praktyką.

Pierwsza torpeda unicestwiła kotłownię pod mostkiem kapitańskim. Druga rozwaliła dwie kolejne turbiny. To zakończyło produkcję energii elektrycznej, zwiększyło dziury w kadłubie i statek zaczął powoli tonąć. Na pokładzie okrętu znajdowały się oprócz wojsk przeznaczonych do zajęcia Oslo także specjalne ekipy urzędników niemieckich znających język norweski, którzy mieli objąć najważniejsze urzędy w stolicy Norwegii. Specjalne komando przygotowane było do akcji zajęcia zasobów złota w budynku banku norweskiego. Większość z tych ludzi tonie lub ginie wskutek pożarów i wybuchów. Z obecnych na pokładzie 1,3 tys. ludzi – 830 zginęło w zimnej wodzie. Po stronie norweskiej jedyne straty to dwie kobiety z miejscowości Drøbak, które zginęły w pożarze wywołanym w czasie walki. Około godz. 6 rano w pobliżu kotłowni następuje ostatnia już wielka eksplozja amunicji i o 6.22 cały pancernik idzie na dno.

Ciąg dalszy zbiegów okoliczności

Płynące za „Blücherem" kolejne jednostki niemieckiej flotylli, obserwując swój okręt flagowy z dystansu, nie są w stanie uwierzyć, że statek został zniszczony przez ogień z fortecy Oscarsborg. Zwycięża przekonanie, że „Blücher" musiał wylecieć w powietrze na barierze minowej. W rezultacie wszystkie pozostałe okręty Kriegsmarine zawracają, odkładając atak na Oslo od strony morza do czasu unieszkodliwienia domniemanych min morskich. W rezultacie norweskie dowództwo wojskowe zawiadomione przez Eriksena o podjęciu walki z Niemcami zyskuje cenny czas na zorganizowanie ewakuacji króla wraz z rodziną panującą, rządu i dowództwa armii na północ.

Według niemieckich planów „Blücher" i reszta jednostek niemieckiej flotylli miały dotrzeć do portu w Oslo o godz. 6 rano i przejąć wszystkie strategiczne punkty miasta na zasadzie zaskoczenia. Tak zdarzyło się w wypadku Kopenhagi, w której Niemcy opanowali pałac królewski oraz skłonili króla Christiana X i duński rząd do kapitulacji. W wypadku Norwegii było inaczej. Król przez kolejny miesiąc przebywał na terytoriach bronionych przez Norwegów i aliantów, a 7 czerwca 1940 r. udał się przy pomocy Brytyjczyków do Londynu. W tej sytuacji – mimo że rząd norweski i parlament wdały się w układy z Niemcami – Norwegia została oficjalnie uznana za członka koalicji antynazistowskiej. Ogromny autorytet króla Haakona VII spowodował, że kolaboranci – na czele z Quislingiem – od samego początku niemieckiej okupacji byli pozbawieni szacunku. Tak jak w Polsce znak kotwicy Polski Walczącej był widomym znakiem oporu, tak w Norwegii antyniemieckim znakiem był królewski skrót H7. Na dodatek zatonięcie na pokładzie „Blüchera" dużej części niemieckich specjalistów znających Norwegię i jej język spowodowało, że musieli ich zastąpić Niemcy mniej obeznani z norweską specyfiką i tym samym mniej skuteczni w budowaniu obozu kolaboracji.

Pułkownik Birger Kristian Eriksen nie stał się ofiarą zemsty Niemców. Być może okupanci nie chcieli zaczynać swojej władzy od prześladowania oficera, który został symbolem oporu. W listopadzie 1940 r. bohaterski pułkownik przeszedł na emeryturę. Pięć lat później, już po zakończeniu wojny i powrocie króla Haakona VII do Oslo, został uroczyście zaproszony na zamek królewski, gdzie odznaczono go najwyższym orderem militarnym Norwegii – Krzyżem Wojennym z Mieczem. Eriksen zmarł w 1958 r. i został pochowany z najwyższymi honorami. Nic dziwnego. To w końcu dzięki jego odwadze i determinacji został uratowany honor Norwegii.



Twierdza Oscarsborg

FOT. ADOBE STOCK

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd



Pacyfik / Tragedia transportowca „Buyō Maru”

Rzeź japońskich rozbitków



Piotr Zychowicz

„Wahoo” był najsłynniejszym amerykańskim okrętem podwodnym. Jego dowódca dokonał mrocznej zbrodni wojennej

Komandor Dudley Walker Morton był amerykańską gwiazdą. Celebrytą Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jako dowódca okrętu podwodnego „Wahoo” przeprowadził siedem patrolów bojowych po Pacyfiku. Zatopił 19 okrętów i statków Cesarstwa Japonii (55 tys. ton). Był to rekord wśród ówczesnych amerykańskich podwodniaków.

O sukcesach nieustraszonego komandora pisała z dumą amerykańska prasa. Na oficera sypał się deszcz odznaczeń. Uznawano go za jednego z najodważniejszych, najśmielszych, ale i najbardziej agresywnych dowódców okrętów podwodnych USA. Morton rzeczywiście był nieustraszony. W pojedynkę atakował konwoje. Wpływał na niebezpieczne tereny opanowane przez wroga.

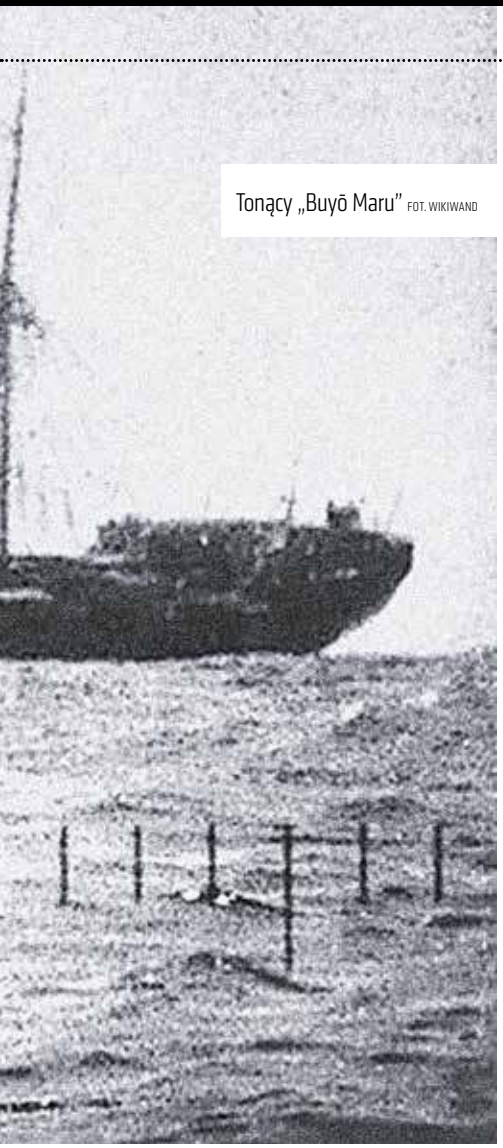
„»Wahoo« dumnie wywiesił flagę ozdobioną bojowym hasłem: »Shoot the susza bitches« (»Strzelać do sukinsynów!«) – pisze Iain Ballantyne w książce »Zabójcze Rzemiosło«. – To bardzo odpowiadało osobowości i sposobowi prowadzenia wojny przez 35-letniego Mortona. Miał on silną charyzmę filmowego twardziela i przypominał nieco Burta Lancastera”.

Morton bez wątpienia zapisałby się w historii jako jeden z największych amerykańskich bohaterów drugiej wojny światowej. Wzór do naśladowania dla kolejnych pokoleń marynarzy US Navy. Tak się jednak nie stało. Na przeszkodzie temu stanęło dramatyczne wydarzenie, do którego doszło 26 stycznia 1943 r. na trzecim patrolu „Wahoo”.

Walka z konwojem

O godz. 7.57 – gdy okręt znajdował się na północ od Nowej Gwinei – obserwator dojrzał szczyty masztów nieprzyjacielskich jednostek. Konwój! Dowódca postanowił przeciąć

eprasa.pl ede0eab6fd



Tonący „Buyō Maru” FOT. WIKIWAND



RYS. JACEK GRAMBURG

Japończykom drogę. „Wahoo” zanurzył się i ruszył w pościg. Gdy Amerykanie zbliżyli się do zwierzyny, od razu zwrócili uwagę na jeden ze statków. Był znacznie większy niż pozostałe okręty. „Mieliśmy w garści duży frachtowiec z miejscami pasażerskimi lub nawet transportowiec wojska” – wspominał Richard O’Kane, jeden z oficerów „Wahoo” i przyjaciel Mortona.

Rozpoczęła się bitwa, choć siły były bardzo nierówne. Japońskie statki – frachtowce, transportowiec i tankowiec – nie miały eskorty. Pierwsze dwie torpedy zostały odpalone o godz. 10.47. Za nimi poszły kolejne. Pierwszą jednostką nieprzyjaciela wstrząsnęły potężne eksplozje. W niebo z hukiem wystrzeliły fontanny wody. Okręt podwodny tymczasem manewrował i posyłał na dno kolejne japońskie okręty.

Japońscy marynarze w akcie desperacji strzelali do „Wahoo” z małokalibrowej broni pokładowej. Nie mogli jednak oczywiście w ten sposób wyrządzić opancerzonemu kolosowi żadnej krzywdy. Jeden z dzielnych japońskich kapitanów podjął wówczas próbę staranowania „Wahoo”. Był to niezwykle brawurowy wyczyn.

Komandor Morton w ostatniej chwili zdążył zanurzyć swoją jednostkę głębiej i nieprzyjacielski frachtowiec przeszedł górą. Śmierć minęła Amerykanów o włos. „Miałem wyższy szacunek dla kapitana tego frachtowca – relacjonował później jeden z amerykańskich oficerów George Grinder – niż dla jakiegokolwiek innego wrogiego dowódcy, przeciwko któremu walczyłem”.

O dynamice tej walki mogą świadczyć fragmenty wspomnień O’Kane’a, który obserwował powierzchnię wody przez peryskop i kierował ogniem.

– Jesteś na złym namiarze – skorygował mnie Morton. – Może i tak, ale mamy tu coś wielkiego, walącego prosto na nas. Kąt zero! – Ognia s.....synowi prosto w nos!

I dalej:

Manewrowaliśmy, aby wykonać precyzyjny strzał w części żywotne okrętu. Zaczął się odgryzać, ostrzeliwując mój peryskop. Przyłapałem się na kucaniu, gdy pociski małego kalibru padały tuż przed nim, tak silnie wydawało mi się, że moje oczy są naprawdę na poziomie morza. Krzyknąłem: „Pal!”. Całe towarzystwo w kiosku „Wahoo” dopingowało torpedę głośno podczas biegu, jakby była koniem, na którego postawili spore pieniądze. Stawka była jednak wyższa, w rachubę wchodzić mogło życie Amerykanów. Torpeda nie sprawiła nam zawodu. Mogliśmy zobaczyć, jak ogromna eksplozja wyrzuca w górę, wyżej niż latawce, jakieś konstrukcje za mostkiem. Ujrzeliśmy gigantyczną dziurę w jego burcie, większą od ciężarówki Mack. Statek zaczął nabierać przechyłu.

Zatopiony transportowiec nazywał się „Buyō Maru”. Był to stary cywilny statek pasażerski, zarekwirowany przez cesarską marynarkę i zamieniony w transportowiec dla wojska. Feralnego dnia na jego pokładzie znajdowało się 1126 ludzi. Kiedy okręt zaczął iść na dno, na wodę spuszczono szalupy. Marynarze i żołnierze w kamizelkach ratunkowych skakali do wody.

Tymczasem bitwa dobiegła końca. Morton kazał wynurzyć „Wahoo” w celu naładowania baterii. Po znalezieniu się na powierzchni jednostka powoli zaczęła sunąć w kierunku miejsca, gdzie zatonął „Buyō Maru”. Amerykanie wyszli na mostek i zobaczyli ok. 20 łodzi ratunkowych wypełnionych po

eprasa.pl ede0eab6fd



Uroczystość wodowania USS „Wahoo" (SS-238), 1942 r. FOT. WIKIWAND

brzegi rozbitkami. Wielu ludzi unosiło się na wodzie, chwytając się fragmentów rozbitego okrętu. Na widok amerykańskiego okrętu podwodnego niektórzy rozbitkowie zaczęli machać białymi chusteczkami, inni płynąć w stronę „Wahoo". Morton wydał wówczas rozkaz, który wywołał zdziwienie swojego zastępcy. Otworzyć ogień do rozbitków!

Śmierć rozbitkom

Amerykańscy marynarze wyszli na pokład i obsadzili działo pokładowe, działko automatyczne 20 mm i dwa karabiny maszynowe typu Browning. Gdy okręt zbliżył się do szalup – zaczęli strzelać. Na wodzie rozpętało się prawdziwe pandemonium. Szalupy zostały rozerwane na kawałki, pociski masakrowały znajdujących się na nich ludzi.

Morton uległ żądzy niszczenia wroga – pisał Iain Ballantyne. – Gdy okręt podwodny przepływał między rozbitkami, każda broń, jakiej mógł użyć „Wahoo", została wykorzystana do niszczenia łodzi i zabijania wroga. Japończycy zaczęli odpowiadać ogniem, a nawet rzucać granatami w okręt podwodny.

George Grider po wojnie ujawnił, że Morton odczuwał wstręt do Japończyków, „jakąś biologiczną nienawiść do wroga". Według Gridera dowódca „Wahoo" podczas ostrzału szalup „przyglądał się rzezi w euforii".

Komandor nie wiedział jednak, że kule wystrzeliwane przez jego ludzi nie unicestwiają tylko znienawidzonych Japońców i żółtków, jak Amerykanie nazywali swoich azjatyckich rywali. Na pokładzie „Buyō Maru" znajdował się bowiem transport… 491 brytyjskich jeńców.

Głównie byli to Hindusi, ale również Anglicy. Oni także znajdowali się w wodzie i na szalupach. Gdy rozpoczął się morderczy ostrzał – przerażeni Brytyjczycy zaczęli skandować „P.O.W.!" (angielski skrót oznaczający jeńców wojennych: Prisoner of War) i wymachiwać rękami.

Jeden z nich próbował nawet wdrapać się na pokład „Wahoo", ale – jak głosi jedna z wersji – został zastrzelony przez któregoś z Amerykanów z pistoletu. Według jednej z wersji Amerykanie nie słyszeli okrzyków z powodu huku dieslowskich silników okrętu, według drugiej – widząc ciemną skórę Hindusów – uznali ich za żołnierzy Cesarstwa.

Dla zabitych nie miało to jednak większego znaczenia. Fakt jest taki, że śmierć poniosło 195 hinduskich jeńców i 87 Japończyków z pokładu „Buyō Maru". Część mogła zginąć w momencie wybuchu torpedy, ale przytłaczająca większość straciła życie po tym, gdy Amerykanie otworzyli ogień do rozbitków.

Nie wszyscy z nich zginęli od razu. Część została rannych i pokiereszowanych pociskami. A co za tym idzie – Amerykanie skazali ich na powolne konanie lub utonięcie w wodach Pacyfiku. Tych, którzy ocaleli, następnego dnia wyciągnęły z wody japońskie okręty ratunkowe.



PIOTR ZYCHOWICZ
„ALIANCI"
REBIS

Winny czy nie?

Morton w raporcie z misji opisał to zdarzenie. Wywołało to konsternację w dowództwie Marynarki Wojennej. To właśnie mord na rozbitkach spowodował, że dowódca „Wahoo" – mimo usilnych zabiegów jego przyjaciół – nie otrzymał prestiżowego odznaczenia bojowego Medalu Honoru. Mimo że orderem tym zostali udekorowani inni dowódcy jednostek podwodnych, o mniejszej ilości zatopionych nieprzyjacielskich okrętów.

Dowódca amerykańskich sił podwodnych na Pacyfiku adm. Charles Lockwood po wojnie starał się usprawiedliwić swojego podwładnego. Podobne stanowisko zajęli jego koledzy i badacze apologeci. Próbowali oni przerzucić odpowiedzialność za tę zbrodnię na ofiary.

To unoszący się na wodzie w kamizelkach ratunkowych i szalupach

eprasa.pl ede0eab6fd

Japończycy mieli rzekomo pierwsi otworzyć ogień do nadpływającego amerykańskiego okrętu. Mało tego, mieli nawet rzucać w stronę „Wahoo"… granatami! W tej sytuacji Morton nie miał więc wyboru i musiał ich wszystkich rozstrzelać.

Richard O'Kane – który po wojnie bardzo się angażował w obronę „dobrego imienia" swojego dowódcy – przyznał co prawda, że Morton wydał rozkaz otwarcia ognia, zanim „Wahoo" podpłynęło do rozbitków, a także, że pierwszy strzał został oddany przez Amerykanów, ale według O'Kane'a komandor miał jednak nakazać… zniszczenie samych szalup.

Pojedynczy pocisk z czterocalowego działa pokładowego upadł tuż przed największą jednostką – wspominał O'Kane – być może zrykoszetował przez jej kadłub. Wyglądało na to, że wszyscy żołnierze wyskoczyli do morza, lecz około dwóch minut później, z jego pokładu padła długa seria z karabinu maszynowego. Komandor Morton natychmiast rozkazał: „Otworzyć ogień!". Ogień „Wahoo" prowadzony wyłącznie na sterburtę był metodyczny: małe działka przemiatały łodzie. Od rufy do dziobu jak strażackie sikawki czyszczące ulicę. Żołnierze japońscy, ubrani w mundury koloru khaki z krótkimi spodniami, wszyscy mieli na sobie kamizelki ratunkowe. Szukali schronienia w morzu, gdy działo pokładowe demolowało ich łodzie. Niektórzy żołnierze japońscy zostali niewątpliwie trafieni podczas tej akcji, lecz nikt nie został zastrzelony z rozmysłem na łodziach ani w wodzie. W momencie, gdy nasz okręt zaczął zataczać szerokie półkole, z łodzi pozostały tylko pływające szczątki.

Wersja ta nie trzyma się kupy. Otwarcie zmasowanego ognia w kierunku dryfujących łodzi ratunkowych wypełnionych po brzegi rozbitkami oznaczało przyzwolenie na zabicie lub ranienie tych ludzi. W relacji O'Kane'a razi również porównanie działek do sikawek strażackich czyszczących ulice. Trzymając się tego porównania japońscy i hinduscy żołnierze ginący w wodzie byli „brudem".

Relacja O'Kane'a zawiera również sprzeczności. Oficer raz pisał, że Morton chciał zniszczyć tylko japońskie szalupy. A w innym miejscu, że dowódca „Wahoo" chciał spowodować, aby japońscy żołnierze już nigdy nie wrócili do walki z armią Stanów Zjednoczonych.

Armia ostrzeliwuje obszary strategiczne – miał tłumaczyć swoją decyzję Morton – a lotnictwo stosuje zmasowane naloty na całe obszary. W obu przypadkach dochodzi do ofiar wśród cywilów. Teraz, bez żadnych ofiar ubocznych, uniemożliwię tym tutaj żołnierzom dotarcie na ląd, ponieważ każdy, któremu się to uda, może odebrać życie Amerykaninowi.

A więc sytuacja była jasna. Gdyby Morton rzeczywiście chciał zniszczyć tylko szalupy ratunkowe – jak twierdził O'Kane – to przecież jedynie opóźniłby wejście japońskich żołnierzy do dalszej walki. Skoro zaś chciał ich wyeliminować z dalszej walki na zawsze, to mógł to osiągnąć tylko w jeden sposób. Zabijając ich wszystkich.

Całkowitym absurdem jest zaś stwierdzenie O'Kane'a, że gdyby Morton nie otworzył ognia w stronę Japończyków… zostałby postawiony przed sądem polowym za pomaganie wrogowi. Takiego przypadku oczywiście nigdy nie było. Do obowiązków dowódców amerykańskich okrętów podwodnych należało zatapianie wrogich jednostek, a nie masakrowanie bezbronnych rozbitków z działek pokładowych. Czyn Mortona było jaskrawym złamaniem żołnierskiego kodeksu honorowego, który zabrania zabijania bezbronnych przeciwników, oraz międzynarodowych konwencji.

Większość historyków badający historię wojen morskich odrzuca więc argumenty wysuwane przez obrońców komandora. Według słynnego badacza Claya Blaira „Morton był zdeterminowany, aby zabić każdego rozbitka". Edwin Hoyt uznał zaś, że „gdyby Stany Zjednoczone przegrały wojnę, Morton z powodu swojego okrucieństwa bez cienia wątpliwości zostałby oskarżony przed sądem o zbrodnię wojenną".

Kapitan Eck

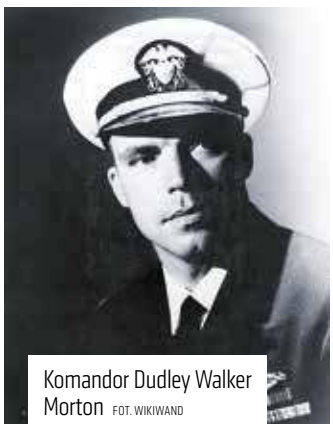
Co ciekawe, choć wielu Amerykanów stara się usprawiedliwić rozkaz Mortona, jednocześnie niezwykle ostro potępia przypadki, gdy to Japończycy mordowali amerykańskich jeńców. Tu nie ma żadnych okoliczności łagodzących ani taryfy ulgowej. Są to po prostu „ohydne zbrodnie azjatyckich barbarzyńców".

Podobnie rzecz się ma w przypadku wojny na Atlantyku. Wbrew powszechnej opinii dowódcy U-Bootów prowadzili wojnę w sposób przyzwoity. Nie tylko nie strzelali do rozbitków zatopionych alianckich jednostek, lecz także często udzielali im pomocy.

Wśród podwodniaków Kriegsmarine znalazła się jednak czarna owca. Mowa o kapitanie okrętu U-852 kpt. Heinzu-Wilhelmie Ecku. Oficer ten 13 marca 1944 r. zatopił grecki statek SS „Peleus". Na powierzchni unosiły się resztki jednostki i Eck obawiał się, że zdradzą one alianckim samolotom położenie U-Boota.

Eck nakazał więc swoim ludziom zniszczenie tych obiektów przy użyciu broni maszynowej. Problem w tym, że w wodzie znajdowali się greccy rozbitkowie, którzy kurczowo trzymali się desek. Niemcy nie zważając na to, otworzyli ogień. Zginęło ok. 30 członków załogi „Peleusa".

Po wojnie Heinz-Wilhelm Eck wraz ze swoimi podwładnymi został postawiony przed alianckim trybunałem wojennym.



Komandor Dudley Walker Morton FOT. WIKIWAND

Trybunał uznał czyn niemieckiego oficera za haniebny i skazał go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok został wykonany 30 listopada 1945 r. na terenie Pustaci Lüneburskiej w Dolnej Saksonii. Był to jedyny przypadek skazania niemieckich podwodniaków za zbrodnie wojenne popełnione podczas drugiej wojny.

Nie bez powodu admirał Chester Nimitz – dowódca amerykańskiej floty na Pacyfiku – stwierdził po wojnie, że „Niemcy prowadzili znacznie czystszą wojnę podwodną niż Amerykanie".

A jak potoczyły się losy bohatera tego tekstu? Szczęście opuściło Mortona podczas siódmego patrolu. 11 października 1943 roku „Wahoo" został wytropiony na Morzu Japońskim. Okręt został ostrzelany przez japońskie lotnictwo i obłożony bombami głębinowymi. Amerykanie nie mieli żadnych szans.

„Wahoo" do dzisiaj spoczywa na dnie Morza Japońskiego. Okręt stał się trumną dla komandora Dudleya Walkera Mortona i jego załogi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd



Członkowie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polskiego (Polrewkomu). Zaznaczony Felis Kon FOT. WIKIPEDIA

Komunizm / Od PPS do partii bolszewików

Epizody z życia Feliksa Kona



Mikołaj Iwanow

Dla polskiego komunisty w stalinowskim Związku Sowieckim przeżycie wielkiego terroru i operacji polskiej w latach 1937–1938 graniczyło z cudem. Jak się udało Feliksowi Konowi?

Był jednym z czołowych w swoim czasie działaczy PPS, który po roku 1917 związał się z bolszewikami. Feliks Jakowlewicz Kon (jak go tytułują do dziś oficjalne wydawnictwa rosyjskie) został niewątpliwie drugim w hierarchii komunistów polskich w Związku Sowieckim po innym Feliksie (Dzierżyńskim). Gdyby

eprasa.pl ede0eab6fd

jednak przypadkiem zmarł na początku XX stulecia przed swym „romansem" z Leninem albo zginął na barykadach pierwszej rewolucji rosyjskiej z lat 1905–1907, na pewno znalazłby się w panteonie polskich bohaterów narodowych. Był jednym z założycieli i przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej. Starszy o trzy lata od innego z jej przywódców – Józefa Piłsudskiego – ale mający w tej partii na początku XX w. większy autorytet od przyszłego marszałka i „ojca polskiej niepodległości". Prawdopodobnie to było przyczyną słynnego rozłamu w PPS i porażki Piłsudskiego na IX zjeździe partii w 1906 r., kiedy większość delegatów poparła Kona, a nie Piłsudskiego.

Kariera polityczna Feliksa Kona wśród polskich wrogów caratu miała przebieg niezwykły. Jako student Uniwersytetu Warszawskiego przyłączył się w roku 1883 do pierwszej polskiej partii robotniczej „Proletariat" kierowanej przez Ludwika Waryńskiego. Skazano go za to w 1884 r. na 10 lat ciężkiej katorgi, którą odbywał w słynnym z wyjątkowo ostrego rygoru Kirimskim więzieniu katorżniczym. Tu Kon wymyślił coś takiego, co na zawsze zostawiło ślad w historii Rosji i świata.

11 sierpnia 1988 r. znana rosyjska rewolucjonistka, skazana na dożywotnią katorgę Elżbieta Kowalska, odmówiła wykonania rozkazu powstania przed generałem-gubernatorem baronem Alekseem Korfem, który wizytował to więzienie na Dalekim Wschodzie. Skazano ją za to na przeniesienie do celi jednoosobowej. Inną skazaną – Nadieżdę Sigdę – publicznie wychłostano. W odpowiedzi więźniowie polityczni przeprowadzili serię głodówek. A kiedy to nie pomogło, Feliks Kon wystąpił z propozycją zbiorowego samobójstwa na znak protestu przeciwko nieludzkiemu traktowaniu więźniów politycznych. Truciznę zdecydowało się przyjąć 20 więźniów (16 mężczyzn i cztery kobiety). Zażyto duże (jak się okazało nieśmiertelne) dawki morfiny i opium. W wyniku zatrucia zmarło sześć osób, reszta – w tym Feliks Kon – przeżyła. Sytuacja była na tyle dramatyczna, że kiedy więźniowie zorientowali się, że trucizna jest za słaba, zaczęli przyjmować większe dawki, aby umrzeć. Jak się później okazało, opium, które używano jako truciznę, było przeterminowane i straciło zabójczą moc. Tragedia kirimska wstrząsnęła Rosją, rząd został zmuszony do zaprzestania praktyki karania chłostą więźniów politycznych. Kirimskie więzienie zamknięto.

Przyjaciel Lenina

Feliksa Kona zwolniono z katorgi po siedmiu latach. Zwolnienie to było warunkowe, zamienione na zsyłkę. Zdarzył wtedy jeszcze jeden znamienny epizod, który pozwalał mu do końca życia zajmować miejsce na piedestale sowieckich komunistów, i co prawdopodobnie chroniło go podczas rozmaitych czystek stalinowskich. Od roku 1897 do 1904 znajdował się on w kraju Minusinskim, właśnie tam, gdzie przebywali na zsyłce Włodzimierz Lenin i jego żona Nadieżda Krupska. Był częstym gościem u Lenina, zaprzyjaźnili się. Prowadzili liczne dyskusje polityczne. Była to przyjaźń nierówna. Przy całej błyskotliwości intelektualnej Lenin ulegał oczarowaniu autorytetem Kona. Był od niego zaledwie sześć lat młodszy, dzieliła ich jednak przepaść w doświadczeniach rewolucyjnych. Skazany zaledwie na trzy lata zsyłki Lenin nie dorównywał Konowi z ponad 10-letnim stażem katorgi i zsyłki, legendarnemu organizatorowi kirimskiego zbiorowego samobójstwa.

Po powrocie z zesłania do Warszawy przyłączenie się Feliksa Kona do Polskiej Partii Socjalistycznej wydało całkiem naturalne. PPS była w tym okresie najmocniejszą i najliczniejszą partią polityczną w zaborze rosyjskim, wywodzącą się z pierwszego „Proletariatu". Obrano go do KC partii, powierzono mu także redagowanie legalnej gazety partyjnej „Kurier Codzienny". Pisywał także do nielegalnego „Robotnika", redagowanego przez Józefa Piłsudskiego. Po rozłamie w PPS na IX zjeździe w październiku 1906 r. na PPS-Frakcję Rewolucyjną pod przywództwem Piłsudskiego i PPS-Lewicę stanął na czele tej drugiej. Jego poglądy polityczne w tym czasie co raz bardziej oscylowały w stronę internacjonalizmu marksistowskiego, negującego prawo narodu polskiego do niepodległości.



Plakat bolszewicki z czasów wojny z Polską FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ponownie aresztowano go pod koniec 1906 r., udało mu jednak zbiec do austriackiej Galicji. Rozpoczął się prawie 10-letni przymusowy pobyt na emigracji. Galicyjska część PPS, znajdująca się pod wpływem Piłsudskiego, bardzo niechętnie dopuszczała Kona do współpracy. Był on zmuszony pracować w robotniczych

eprasa.pl ede0eab6fd

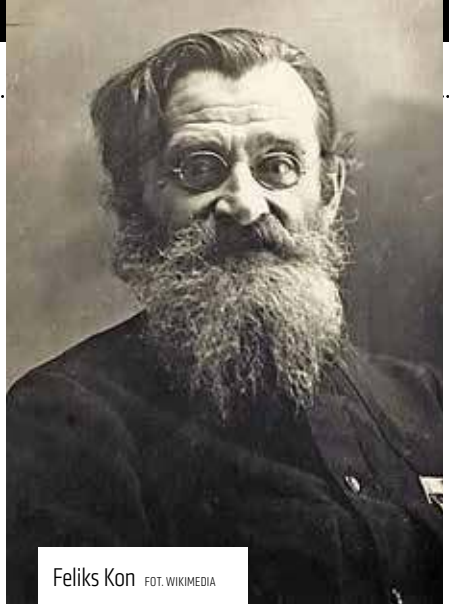
kasach chorych w Drohobyczu, Borysławiu i Lwowie. Charyzmą, zdolnościami organizacyjnymi, wizjonerstwem i uporem w realizacji doraźnych celów politycznych ustępował wyraźnie Józefowi Piłsudskiemu, dlatego w Galicji PPS-Lewica nigdy nie stała się partią masową.

Po wybuchu pierwzej wojny światowej Feliks Kon zaprzestał działalności politycznej na ziemiach polskich i w ślad za Leninem zbiegł z Krakowa do Szwajcarii. Lenin mieszkał najpierw w Bernie, a później w Zurychu. Kon go regularnie odwiedzał, aby wymieniać poglądy, a także załatwiać dla siebie finansowanie pobytu. We wspomnieniach charakteryzował stosunki z Leninem jako bliską przyjaźń. Jak było naprawdę? Wiadomo, że przyjacielem Lenina mógł być jedynie ten, kto całkowicie podzielał jego poglądy polityczne. W kwietniu 1917 r. Lenin osobiście włączył Feliksa Kona do listy rewolucjonistów rosyjskich, którzy w tzw. zaplombowanym wagonie przez terytorium walczących przeciwko Rosji Niemiec i przez Szwecję wrócili do Piotrogradu. Do dziś w Rosji ten powrót Lenina z emigracji wywołuje wiele sporów i kontrowersji. Wiadomo, że rząd niemiecki świadomie zorganizował tę podróż w nadziei, że Lenin i jego towarzysze będą sprzyjać pogrążeniu Rosji w chaosie, co skończy się jej porażką w wojnie. I tak się stało.

Czy powrót z emigracji do Rosji Feliksa Kona w owym pociągu mógł mieć wpływ na dalsze jego losy? Po obaleniu caratu i proklamowaniu Rosji republiką nic nie zapowiadało przyłączenia się Kona do bolszewików. Aktywnie włącza się w działalność PPS-Lewicy w Piotrogradzie. Włączono go do Centralnego Komitetu Wykonawczego (CKW) PPS-Lewicy w Rosji. Zostaje również jednym z redaktorów oficjalnego organu partii „Robotnik w Rosji", drukuje swoje artykuły w wydawanych w okupowanym przez państwa centralne Królestwie Polskim pismach PPS-Lewicy: „Kurierze Lubelskim" i „Głosie Robotniczym".

Od POW do Kominternu

W czerwcu 1917 r. zdarzył się epizod, który mógł w przyszłości kosztować go życie. Jako przedstawiciel PPS-Lewicy



Feliks Kon FOT. WIKIMEDIA

wziął Kon udział w zjeździe wojskowych Polaków armii rosyjskiej. Zjazd ten jednoznacznie wypowiedział się za odrodzeniem Polski i za połączeniem wszystkich sił narodu polskiego, również Polaków walczących po stronie Niemiec i Austro-Węgier, w walce o niepodległość. Przewodniczącym zjazdu był przyszły prezydent Polski Władysław Raczkiewicz, w tym czasie porucznik armii rosyjskiej. Dyskutowano na zjeździe nawet plan siłowego wyzwolenia Józefa Piłsudskiego z niemieckiego więzienia i przerzucenia go do stolicy rewolucyjnej Rosji. Plan ten przewidywał stworzenie specjalnego polskiego oddziału szturmowego, który miał samolotem wylądować w Magdeburgu i wyzwolić przyszłego naczelnego wodza odrodzonej RP.

Na zjeździe doszło do rozłamu nie bez udziału Feliksa Kona. Większość delegatów poparła ideę tworzenia osobnych polskich jednostek wojskowych, zdolnych w przeszłości odegrać odpowiednią rolę w walce o niepodległość Polski. Zadanie to powierzono Naczelnemu Polskiemu Komitetowi Wojskowemu (Naczpol). Mniejszość utworzyła Komitet Główny Związku Wojskowych Polaków w Rosji (Lewicy), w którym ważną rolę odgrywał właśnie Feliks Kon. Znamienne jest to, że do Komitetu weszli przedstawiciele Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), lojalnej wobec Piłsudskiego.

Podczas przewrotu bolszewickiego Feliks Kon znajdował się w Charkowie, gdzie w imieniu Rządu Tymczasowego pełnił funkcję komisarza do spraw polskich guberni charkowskiej, jednocześnie z polecenia CKW swej partii kierował działalnością PPS-Lewicy na Ukrainie. Początkowo zwleka z oficjalnym wstąpieniem do partii bolszewickiej. Próbuje na razie odgrywać rolę obserwatora rosyjskiego życia politycznego. Bolszewicy nawet włączają go w skład teoretycznie niezależnej komisji do spraw zbadania pracy kijowskiej Czeka, która po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną pogrążyła miasto w krwawym terrorze. Komisja, pod przewodem czołowego w przyszłości funkcjonariusza Międzynarodówki Komunistycznej Manuilskiego, po pięciu dniach zaprzestała prac z przyczyny niemożności wykrycia sprawców. Dla Kona był to dowód na bezsensowność posiadania własnego zdania w rodzącym się państwie Lenina.

Po utworzeniu w grudniu 1918 r. Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP) Feliks Kon został członkiem jej Biura Wykonawczego, jednocześnie pozostając członkiem RKP(b). Działać w dwóch partiach jednocześnie – to zjawisko całkiem naturalne dla Polaków-bolszewików w okresie wojny domowej w Rosji i w całym okresie międzywojennym, aż do rozwiązania KPP w 1938 r. Miało ono podkreślać jedność światowego ruchu komunistycznego i spójność rosyjskiej i polskiej drogi do komunizmu. W lipcu 1920 r., kiedy Armia Czerwona pod dowództwem Michaiła Tuchaczewskiego rozpoczęła kontrnatarcie, Feliks Kon brał udział jako przedstawiciel polskiego proletariatu w II Kongresie Kominternu. Na wezwanie Dzierżyńskiego musiał jednak spiesznie udać się najpierw do Smoleńska, a później do Białegostoku. Tu przeżył prawdopodobnie swój gwiezdny czas, będąc jednym z kierowników krótkotrwałej Polskiej Republiki Rad.

W składzie komunistycznego rządu tej republiki – Polrewkomu – Feliks Kon był najbardziej zasłużonym działaczem, dobrze znanym w kraju weteranem „Proletariatu". Najbardziej nadawał się na przewodniczącego tego komunistycznego tworu, na swoistego polskiego Lenina. Dlaczego nim nie został? Był prawdopodobnie za mało przekonany o słuszności komunizacji Polski i wątpił w skuteczność tego przedsięwzięcia. Był za miękki, za liberalny, nie popierał twardej linii Dzierżyńskiego i Marchlewskiego. Do tego wywodził się z PPS, natomiast prym w KPRP wiedli byli członkowie SDKPiL. To oni uważali siebie za prawdziwych komunistów, spadkobierców „Proletariatu".

Dlatego w składzie tego polskiego czerwonego rządu powierzono mu funkcję kierownika działu oświaty. O żadnej oświacie w tak krótkim czasie działania

eprasa.pl ede0eab6fd

Polrewkomu nie mogło oczywiście być mowy. Dlatego zajmował się głównie propagandą. Został redaktorem naczelnym organu prasowego Polrewkomu, gazety „Goniec Czerwony". Redagował odezwy do ludności polskiej autorstwa głównie Feliksa Dzierżyńskiego. W wydanym przez Polrewkom „Manifeście do polskiego ludu roboczego miast i wsi" wzywano Polaków i przede wszystkich żołnierzy armii polskiej do zdrady ojczyzny: „Proletariusze! Jeśli zwyciężycie w tej walce rząd panów, gnębicieli robotnika i chłopa, to poniesie klęskę cały świat proletariacki! Do Was się zwracamy: Nieście pomoc rosyjskiej Armii Czerwonej, nieście pomoc rewolucyjnemu proletariatowi Polski!". „Goniec Czerwony" ukazał się w Białymstoku 12 razy – od 7 do 20 sierpnia. Oprócz odezw drukowano w nim liczne materiały agitacyjne, artykuły teoretyczne o światowym ruchu komunistycznym, różnorodne ogłoszenia i bieżące informacje o życiu Podlasia.

Klęska Armii Czerwonej pod Warszawą położyła kres również nadziejom Feliksa Kona na odegranie zauważalnej roli w odrodzonej Polsce. Jego bolszewicki wybór skazał go na działalność w Rosji Sowieckiej, na bycie jednym z drugorzędnych filarów nowego ustroju totalitarnego. W 1922 r. otrzymuje dość intratną posadę sekretarza Komitetu Wykonawczego Kominternu (IKKI). Później w latach 1924–1935 obrano go najpierw na członka, a w 1927 r. na wiceprzewodniczącego Międzynarodowej Komisji Kontroli Kominternu. Jako etatowy pracownik Międzynarodówki Komunistycznej uczestniczy we wszystkich jej kongresach.

Milcząc, akceptował

Trudno w to uwierzyć, ale temu zasłużonemu weteranowi ruchu rewolucyjnego udaje się zachować swoistą neutralność wobec toczących się walk frakcyjnych w partii bolszewickiej. Będąc delegatem na wszystkie zjazdy partyjne w okresie międzywojnia, zawsze głosuje razem z większością partyjną, razem ze stalinowcami, nie angażując się za bardzo w kampanię potępienia opozycji. Ani słowo z jego ust nie padło w sprawie obrony jego towarzyszy-leninowców, oskarżanych o wydumane winy bycia agentami Polski, Wielkiej Brytanii, Japonii lub Niemiec.

Feliks Kon przerwał okres wielkiego terroru, przetrwał „operację polską" w latach 1937–1938. Czy był nietykalny ze względu na swoje zasługi rewolucyjne i swój podeszły wiek? Mało prawdopodobnie. W czystkach zginął niewiele młodszy od niego zasłużony KPP-owiec Adolf Warski-Warszawski, zginęli też inni weterani walki z caratem. Wiadomo, że Stalin potrafił wyciągać z łóżek śmiertelnie chorych i oddawać ich katom NKWD na rozstrzelanie. Kon przetrwał, mimo że zginęli prawie wszyscy działacze KPP, którzy na swoje nieszczęście znaleźli się w tym okresie na terytorium Związku Sowieckiego. Przeżył dlatego, że siedział cicho i milcząco akceptował wszystkie zbrodnie Stalina. Na pewno nie był tak zaślepionym fanatykiem bolszewizmu, aby uwierzyć w brednie propagandy sowieckiej.

Wydawało się, że po podpisaniu układu Ribbentrop-Mołotow Stalin na zawsze spisał na straty polski komunizm. W roku 1939 Polskę czekały w mniemaniu Stalina co najmniej kolejne „123 lata niewoli". Jednak wszystko się zmieniło w maju i czerwcu 1940 r. Porażka Francji przekonała Stalina, że starcie z III Rzeszą jest nieuniknione. Polscy komuniści znów byli potrzebni Stalinowi. Niedobitków pogromu KPP szukano wszędzie. Była to garstka mocno zastraszonych ludzi, pragnących swą polskość ukryć jak najgłębiej. Niespodziewanie okazał się potrzebny i Feliks Kon. 76-letniego weterana bolszewizmu wzywają do kierowania polskojęzyczną redakcją Radia Moskwa. Współpracuje także z Wandą Wasilewską i lwowskim czasopismem komunistycznym „Nowe Widnokręgi", w którj sekretarzem redakcji była jego córka Helena Usijewicz. Dobiła go jednak agresja niemiecka na ZSRS. Zmarł 28 lipca 1941 r., miesiąc po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w trakcie przygotowań do ewakuacji w głąb kraju.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Łubianka. Gmach, w którym mieścił się NKWD FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl ede0eab6fd

1922 r. / Kartki z kalendarza historycznego

Rok II RP



Maciej Rosalak

100 lat temu zakończyło się czteroletnie budowanie II Rzeczypospolitej Polskiej. Oto zestaw najważniejszych wydarzeń, które ostatecznie wyznaczyły granice nowego państwa polskiego oraz jego ustrój

To był m.in. rok ratyfikowania najważniejszych traktatów, które zawieraliśmy z Niemcami i Rosją sowiecką, ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii Śląska i Wileńszczyzny, pierwszych wyborów parlamentarnych przeprowadzonych na całym obszarze państwa w tym samym czasie i według ogólnie obowiązującej ordynacji oraz wyborów prezydenta RP. Polaków podnosiła na duchu świadomość, że sami sobie przede wszystkim zawdzięczają odzyskanie niepodległej ojczyzny. Radośnie przeżywali powrót Wilna, wkroczenie Wojska Polskiego na Górny Śląsk, decyzję o budowie portu w Gdyni, inaugurację obrad Sejmu i Senatu I kadencji. Na przyszłości Polski ponurym cieniem kładły się jednak inne wydarzenia, zwłaszcza złowróżbne porozumienie niemiecko-sowieckie w Rapallo, poszatkowanie sceny politycznej utrudniające powołanie stabilnego rządu i wreszcie na koniec – wstrząs po zamordowaniu pierwszego prezydenta RP, Gabriela Narutowicza, parę dni po jego wyborze i zaprzysiężeniu…

WILNO CHCE DO POLSKI Wybory do Sejmu Wileńskiego przeprowadzone 8 stycznia na Litwie Środkowej – zajętej przez gen. Lucjana Żeligowskiego na rozkaz marsz. Józefa Piłsudskiego jesienią 1920 r. – zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem ugrupowań polskich, przede wszystkim narodowych. Frekwencja wyniosła ponad 64 proc. przy bojkocie przedstawicieli mniejszości: Litwinów i Żydów oraz części środowisk białoruskich.



Już 20 lutego 106-osobowy Sejm Litwy Środkowej uchwalił jej przyłączenie do Polski. W akcie tym zawarto doniosły punkt 4: „Ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozerwalną część Rzeczypospolitej Polskiej”. Za owym wnioskiem – oznaczającym całkowitą inkorporację – głosowało 96 posłów, sześciu wstrzymało się od głosu.

1 marca rząd RP przedłożył Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP projekt „Aktu złączenia”, który miał uzupełnić uchwałę Sejmu Wileńskiego. W projekcie – na skutek obaw o reakcję państw zachodnich, ale też wrogiego nastawienia Litwinów i Białorusinów – zapowiadano jednak nadanie Ziemi Wileńskiej autonomii podobnej do takiej, jaką miało województwo śląskie. Dzień później przybyła do Warszawy 20-osobowa delegacja Sejmu Litwy Środkowej, ale brak jej zgody na wprowadzenie zmian do podjętej w Wilnie uchwały doprowadził do kryzysu politycznego, zakończonego zdymisjonowaniem rządu premiera Antoniego Ponikowskiego przez Naczelnika Państwa, który „stracił doń zaufanie”.

Ostatecznie Sejm Ustawodawczy RP przyjął 6 kwietnia ustawę „O objęciu władzy państwowej nad Ziemią Wileńską” w kształcie proponowanym przez Sejm Wileński, bez zmian proponowanych przez rząd RP. Delegatem rządu w Wilnie został (do 1924 r.) Walery Roman – prawnik i polityk związany z obozem Piłsudskiego. 18 kwietnia – zarazem akurat w wigilię trzeciej rocznicy odbicia Wilna z rąk bolszewików w 1919 r. – odbyły się uroczystości mające symbolicznie wprowadzić miasto do Polski. Litwini przenieśli wtedy stolicę do Kowna.

STAŁY TRYBUNAŁ SPRAWIEDLIWOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ w Hadze rozpoczął działalność 30 stycznia. Stał się on pierwszym sądem międzynarodowym o powszechnym zasięgu. Do kompetencji Trybunału należało – zgodnie z Paktem Ligi Narodów – rozpatrywanie sporów międzynarodowych oraz wydawanie na życzenie Rady Ligi Narodów lub Zgromadzenia Ligi Narodów opinii doradczych. Jego następcą jest od czerwca 1945 r. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości.

KARDYNAŁ ACHILLE RATTI (1857–1939), arcybiskup Mediolanu, został wybrany 6 lutego na papieża i przyjął imię Piusa XI.

FOT. DOMENA PUBLICZNA, WIKIPEDIA, NAC

eprasa.pl ede0eab6fd



W latach narodzin II Rzeczypospolitej (1919–1921) był on nuncjuszem apostolskim w Polsce i zasłynął podczas ataku bolszewickiego na Warszawę w sierpniu 1920 r., pozostając w mieście i dodając sił obrońcom jako jeden z nielicznych zagranicznych dyplomatów. Mniej znany jest fakt, że w 1919 r. – wtedy jako prałat – przyjął sakrę biskupią w warszawskiej archikatedrze św. Jana w obecności całego polskiego episkopatu. Natomiast w 1938 r. kanonizował bł. Andrzeja Bobolę, spełniając prośby Episkopatu i Naczelnika Państwa z lata 1920 r., przez poprzednika – Benedykta XV – wtedy niespełnione. 17 listopada nominował ks. Augusta Hlonda – późniejszego (1946–1948) prymasa Polski – administratorem apostolskim w Katowicach, w tej części diecezji wrocławskiej, która została przyznana Polsce.

KLUB PIŁKARSKI LUTNIA został zarejestrowany 19 marca w podpoznańskim wówczas Dębcu przez Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. 4 sierpnia klub zmienił nazwę na Towarzystwo Sportowe Liga Dębiec. Pierwszy mecz drużyna stoczyła w klasie C ze Spartą Poznań 17 sierpnia 1922 r., remisując 1:1. W 1957 r. klub zmienił nazwę na Lech Poznań.

TRAKTAT RYSKI – podpisany w 1921 r. – został 17 kwietnia ratyfikowany przez Sejm. Definitywnie przyjęto więc ówczesną, krótkowzroczną rezygnację z Mińska i zdradę ukraińskiego sojusznika w walce z Sowietami – czyli URL Symona Petlury. Traktat nie dawał rękojmi bezpieczeństwa Polski w dalszej perspektywie, co w tragiczny sposób okazało się we Wrześniu '39, ale i doraźnie. W 1922 r. Sowieci wszczęli bowiem niewypowiedzianą wojnę dywersyjną na północno-wschodnich Kresach, ze zbrojnymi wyprawami bolszewickich band na posterunki policji, starostwa, koleje, a nawet na przygraniczne miasteczko Stołpce nocą z 3 na 4 sierpnia 1924 r.

UKŁAD W RAPALLO między Niemcami a Rosją sowiecką został zawarty 16 kwietnia, podczas światowej konferencji gospodarczej w Genui. Obie strony z ochotą nawiązały stosunki dyplomatyczne, zrezygnowały z wszelkich roszczeń finansowych z okresu wojny i czasów powojennych oraz przyjęły zasadę równouprawnienia w stosunkach gospodarczych. Niemcy i Sowieci przełamywali w ten sposób izolację polityczną, w której znaleźli się po pierwszej wojnie, a także otwierali drogę do tajnych porozumień wojskowych, które zawarli już 11 sierpnia. Dotyczyły one zaopatrzenia Armii Czerwonej przez Reichswehrę w broń i amunicję oraz pomocy niemieckich specjalistów w rozbudowie przemysłu zbrojeniowego ZSRS. Niemcy mogli też np. omijać zakazy traktatu wersalskiego w zakresie rozwoju lotnictwa i broni pancernej, korzystając z sowieckich poligonów.

FUTBOLOWA REPREZENTACJA POLSKI rozegrała pierwszy mecz przed własną publicznością, przegrywając 14 maja na stadionie Cracovii z Węgrami 0:3. Był to nieudany rewanż za przegrane w poprzednim roku 0:1 spotkanie w Budapeszcie – pierwszy w ogóle oficjalny mecz międzypaństwowy reprezentacji Polski. Według relacji prasy obydwa mecze miały dość wyrównany przebieg, ale naszym piłkarzom brakowało doświadczenia koniecznego do strzelenia bramki renomowanemu przeciwnikowi. Cóż, podobno nauczka udzielona przez przyjaciela nie boli…


WIADOMOŚCI SPORTOWE

POLSKA–WĘGRY.

Dzisiejszy numer zawiera 16 stron druku.

6 CZERWCA USTĄPIŁ RZĄD Antoniego Ponikowskiego (1978–1949), któremu 10 marca Naczelnik Państwa jeszcze raz powierzył stanowisko premiera tzw. rządu fachowców. Po raz pierwszy Ponikowski – geodeta i rektor Politechniki Warszawskiej, mający doświadczenia ministerialne z okresu Rady Regencyjnej – objął stanowisko premiera we wrześniu 1921 r. W porównaniu ze swoimi następcami rządził dość długo. Artur Śliwiński był premierem tylko dziewięć dni (od 22 czerwca do 7 lipca). Julian Ignacy Nowak – od 31 lipca do 14 grudnia. Władysław Sikorski został desygnowany zgodnie z konstytucją marcową przez marszałka Sejmu Macieja Rataja 16 grudnia – tuż po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza (patrz niżej) – i rządził do 26 maja 1923 r. Aż do przewrotu majowego niestabilność kolejnych gabinetów wynikała w dużej mierze z poszatkowania sceny politycznej zarówno w Sejmie Ustawodawczym, jak i w Sejmie RP I kadencji.



POLSKA WRACA NA GÓRNY ŚLĄSK – Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Stanisława Szeptyckiego przejęło 20 czerwca przyznaną Polsce część Górnego Śląska. Wcześniej podpisana została 15 maja w Genewie Konwencja Górnośląska, która przez 15 lat miała ochraniać rynek górnośląski, regulować zasady współpracy transgranicznej rozdzielonych ziem, a także gwarantować prawa cywilne i obywatelskie jego mieszkańców. Tworzyła też Komisję Mieszaną i Trybunał Rozjemczy do rozpatrywania spornych spraw w trybie arbitrażu. 15 czerwca Komisja Międzysojusznicza powiadomiła rządy Polski i Niemiec, że w ciągu miesiąca powinny objąć przyznane im terytoria Górnego Śląska. I tak 17 czerwca rozwiązano w Katowicach miejscową policję, a jej miejsce zajęła policja polska. 19 czerwca – po uroczystej paradzie – wymaszerowały z Katowic oddziały

eprasa.pl ede0eab6fd

francuskie i podpisano polsko-francuski akt przejęcia powiatu katowickiego przez RP. Straż na posterunkach granicznych przejęli śląscy powstańcy.

20 czerwca, kiedy Wojsko Polskie wkroczyło na Śląsk, odbyły się niebywałe uroczystości. Widok polskiej piechoty, czołgów i kawalerii – zwłaszcza 3. pułku ułanów z żółtymi otokami (w 1938 r. otrzymał on nazwę Ułanów Śląskich) – wzbudził powszechny entuzjazm. Przegląd oddziałów, kilkukilometrowy przemarsz na katowicki rynek pod blisko 30 bramami triumfalnymi (w całym regionie powstało ich ponad 200), powitalne przemówienia prezydenta Katowic Alfonsa Górnika i ojca wyzwolenia Śląska z rąk niemieckich Wojciecha Korfantego, wręczenie gen. Szeptyckiemu ogromnego stalowego miecza, którym powstaniec inwalida Juliusz Chowaniec rozciął symboliczny łańcuch i rzekł: „Pękajcie okowy niewoli, Górny Śląsk jest wolny, armio polska wkraczaj nań i połącz go z Polską", msza św. na rynku, hymn Polski i „Rota" Konopnickiej



zapadły w pamięci wszystkich uczestników i świadków…

16 lipca odbyła się tu jeszcze uroczystość zjednoczenia Górnego Śląska z Polską przez symboliczne przejęcie ziemi śląskiej przez rząd RP. Podpisano wówczas Akt Objęcia Górnego Śląska przez Polskę. Oddziały WP witano serdecznie we wszystkich przyznanych Polsce powiatach obszaru plebiscytowego do końca lipca. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski odwiedził zaś kilka miast


OGŁOSZENIE.

Wybory
do pierwszego Sejmu Śląskiego
w niedzielę 24. września 1922 r.

Okręg I. | Okręg II.
Okręg III.

Główna Komisja Wyborcza.

i odznaczył zasłużonych dla sprawy polskiej na Górnym Śląsku w sierpniu.

WYBORY DO SEJMU ŚLĄSKIEGO I kadencji odbyły się 24 września. 48 mandatów podzieliły między siebie: endecki Blok Narodowy (18 mandatów); PPS (8); Narodowa Partia Robotnicza (7); PSL „Piast (1); ugrupowania niemieckie łącznie (14). Sejmowi temu podlegały sprawy szkolnictwa, policji, wód, organizacji administracji wojewódzkiej i samorządu, rolnictwa czy wyznań. Polityka zagraniczna i wojsko należały do rządu centralnego w Warszawie. Autonomiczne województwo śląskie z Sejmem Śląskim, Śląską Radą Wojewódzką sprawującą władzę wykonawczą i Skarbem Śląskim stanowiło nieodłączną część Rzeczypospolitej Polskiej.

PIERWSZY ZJAZD LEGIONISTÓW odbywał się w Krakowie 5, 6 i 7 sierpnia z udziałem 2,5 tys. byłych żołnierzy Legionów – w ósmą rocznicę wymarszu I Kompanii Kadrowej z Oleandrów. Obecny był Komendant Józef Piłsudski.

ZWIĄZEK POLAKÓW W NIEMCZECH założono 27 sierpnia. Liczył ponad 30 tys. członków i dobrze się rozwijał. Władze III Rzeszy zdelegalizowały Związek w 1940 r., a majątek mniejszości polskiej zrabowały. Część działaczy rozstrzelano, a ok. 1,2 tys. członków zesłano do obozów koncentracyjnych. Władze dzisiejszych Niemiec nadal nie chcą przyznać mieszkającym w RFN Polakom praw mniejszości narodowej…

DO BUDOWY PORTU W GDYNI upoważniła rząd przyjęta 23 września ustawa Sejmu. W ciągu kilkunastu lat rybacka osada przekształciła się w jeden z największych i najnowocześniejszych portów w Europie, wokół którego powstało miasto liczące ponad 120 tys. mieszkańców. Natomiast 6 listopada utworzono w Toruniu Oficerską Szkołę Marynarki Wojennej. Słynną Szkołę Morską szkolącą oficerów marynarki handlowej powołano już w grudniu 1920 r. w Tczewie, a do Gdyni przeniesiono ją w roku 1930.

BENITO MUSSOLINI przeprowadził między 27 a 29 października faszystowski zamach stanu. Władzę we Włoszech zdobył dzięki koncentracji członków faszystowskich bojówek w stolicy Królestwa Włoch, co przeszło do historii jako Marsz na Rzym.

EPOKOWEGO ODKRYCIA W EGIPCIE dokonał 4 listopada brytyjski archeolog Howard



Carter, odnajdując w Dolinie Królów nietknięty przez rabusiów w ciągu ponad trzech tysiącleci grobowiec egipskiego władcy Tutanchamona. Otwarte 26 listopada wnętrze grobowca odsłoniło wspaniałe, niespotykanie liczne dzieła sztuki z okresu XVIII dynastii (druga połowa drugiego tysiąclecia p.n.e.) oraz inskrypcje zgłębiające wiedzę o tym okresie starożytnych dziejów.

WYBORY DO SEJMU I KADENCJI przeprowadzono 5 listopada. W powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim i proporcjonalnym głosowaniu wybierano 444 posłów i 111 senatorów. Czynne prawo wyborcze w wyborach do Sejmu miały osoby, które ukończyły 21 lat (bierne – 25 lat), a w wyborach do Senatu 30 lat (bierne – 40 lat). W wyborach wzięło udział 8,8 mln obywateli, spośród 13 mln uprawnionych do głosowania. Frekwencja wyniosła 67,7 proc. Najwyższa była w Wielkopolsce – ok. 87 proc., najniższa – skutkiem ukraińskiego bojkotu – w województwach stanisławowskim (32 proc.) i tarnopolskim (35 proc.).

eprasa.pl ede0eab6fd

Największe poparcie (29,1 proc.) otrzymał chadecko-narodowy Chrześcijański Związek Jedności Narodowej. Następnie: ukraińsko-białorusko-niemiecko-żydowsko-rosyjski Blok Mniejszości Narodowych (16 proc.). 23 mandaty zdobyli dodatkowo kandydaci mniejszości żydowskiej i ukraińskiej z innych list. I dalej: PSL „Piast" 13,2 proc. głosów; PSL „Wyzwolenie" – 11 proc.; PPS – 10,3 proc.; Narodowa Partia Robotnicza – 5,4 proc. Komuniści pod nazwą Związku Proletariatu Miast i Wsi uzyskali 1,5 proc.

12 listopada odbyły się wybory do Senatu. Spośród 9,1 mln uprawnionych głosowało 5,9 mln, czyli 61,5 proc. Proporcje były podobne, z tym że prawica i mniejszości narodowe jeszcze poprawiły swoje wyniki z wyborów sejmowych. Na marszałka Sejmu został wybrany Maciej Rataj z PSL „Piast", natomiast marszałkiem Senatu został popierany przez prawicę Wojciech Trąmpczyński – marszałek Sejmu Ustawodawczego. Uroczystego otwarcia nowego parlamentu dokonał 28 listopada Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, który powiedział: „Szczęśliwy jestem, że mogę otwierać pierwszy Sejm zwyczajny, nie nawołując do obowiązków walki, lecz do obowiązków spokojnej pracy pokojowej".

Analizując wynik wyborów, prof. Wojciech Roszkowski pisał („Najnowsza historia Polski 1914–1945"): „Nowy układ sił w parlamencie polskim sprowadzał się do konieczności tworzenia koalicji rządowych: centroprawicowej lub centrolewicowej. Mniejszości narodowe mogły odegrać pewną rolę w przypadku koalicji z chętną do współpracy lewicą i częścią centrum. Przestały być możliwe koalicyjne rządy centrowe. Wobec małego prawdopodobieństwa sojuszu chadecji z lewicą większe szanse miała koalicja prawicy i centrum; wybory oznaczały więc w istocie pewien sukces prawicy". Potwierdziły to tzw. rządy Chjeno-Piasta w 1923 r.


OGŁOSZENIE.

Na zasadzie dekretu Naczelnika Państwa z dnia 18 sierpnia 1922 r. (Dz. Ust. Rz. P. Nr. 66, poz. 593) odbędą się

WYBORY

do Sejmu państw. w Warszawie

w niedzielę, 5 listopada 1922.

9 rano ... 9 wieczór.

Okręg wyborczy 46, który wybiera 7 posłów, obejmuje powiaty: Garwolin, Grójec, Kozienice, Lipsko, Mińsk Mazowiecki, Nowy Dwór, Otwock, Pułtusk, Radom, Sokołów, Węgrów, Wołomin, Żyrardów.

Okręgowa Komisja Wyborcza ma swój sekretariat

Przewodniczący: Dr. Andrzej Grzegorzewski, sędzia okręgowy w Czersku.

Zastępca przewodn.: Rudolf Kamiński, sędzia pok. w Czersku, Karol Dyck, sędzia pok. w Czersku.

Członkowie: Dr. Jerzy Kniaź, sędzia w Czersku, Karol Dyck, sędzia pok. w Czersku, Emil Matkowski, adwokat mieszk. w Czersku, Stefan Kaźmierczak, adwokat mieszk. w Czersku, Tadeusz Zając, prok. przy Okręgowym Sądzie w Grójcu, Jan Zając, prok. przy Okręgowym Sądzie w Grójcu, Jan Kołodziej, dyr. banku, Pruszków, Wincenty Hendrychowicz

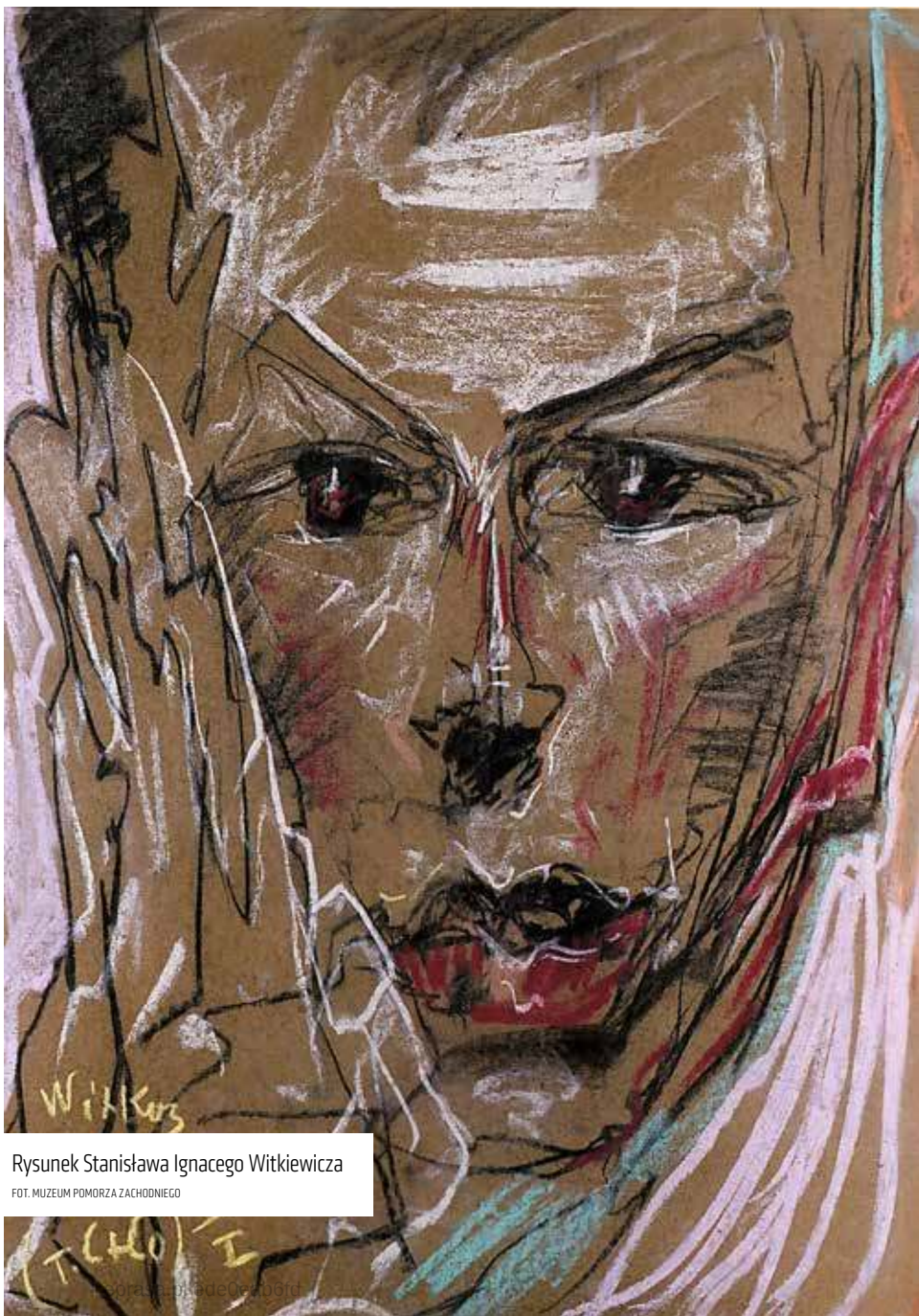
1904–1972 / „Ostatni pisarz młodopolski”

Esy-floresy Michała Choromańskiego



Krzysztof Masłoń

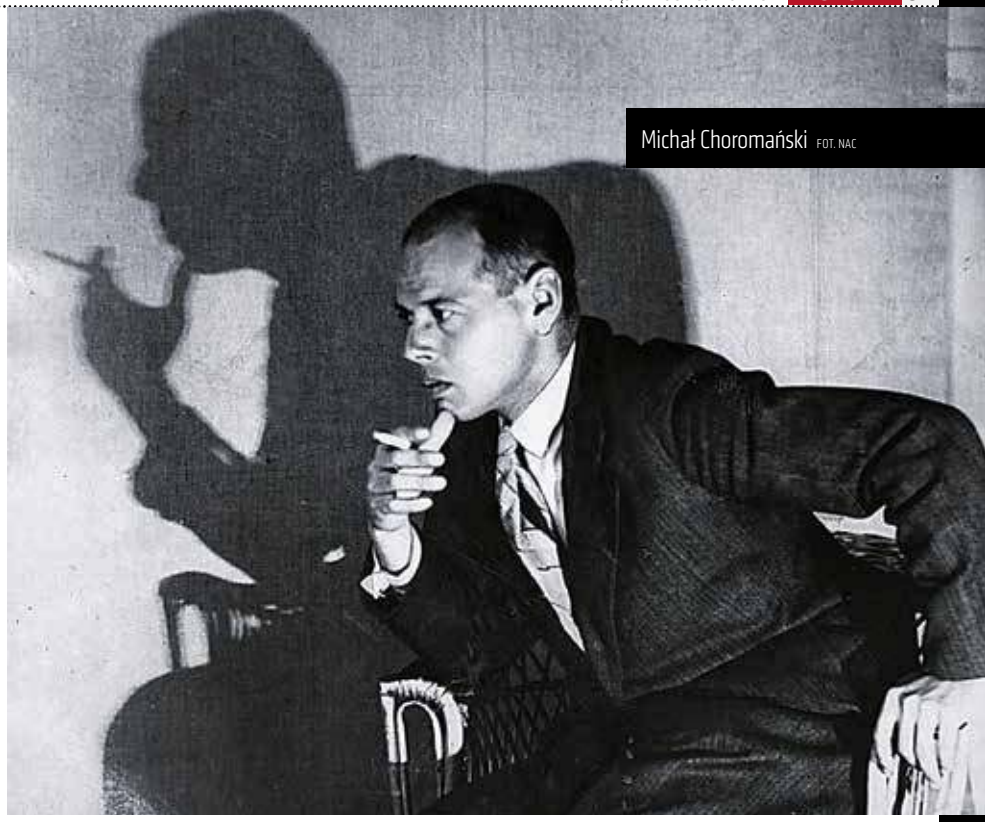
„Lubił dziwaczyć, intrygować czytelnika, wprowadzać motywy nieoczekiwane, a szokujące, wręcz epatować paradoksami. W »Zazdrości i medycynie« wszystko to razem osiągnęło szczęśliwą harmonię. Później różnie z tym bywało...” – pisał Piotr Kuncewicz



Rysunek Stanisława Ignacego Witkiewicza

FOT. MUZEUM POMORZA ZACHODNIEGO

Powiadał o sobie, że jest ostatnim pisarzem młodopolskim, i wcale nie była to tylko przewrotna kokieteria. Jego proza miała w sobie cały wątpliwy wdzięk moderny i choć pełną garścią czerpała z wszelkich modnych późniejszych „izmów”, uchodzić więc mogła za jak najbardziej nowoczesną, to jednak poza „Zazdrością i medycyną” nie zdobyła czytelników. Czy dziś, blisko pół wieku po śmierci Michała Choromańskiego, jest ona już tylko ramotą, której nie pomoże żadna reanimacja? Andrzej Dobosz, na przykład, całkiem niedawno przyznał, że i jego najgłośniejszej powojennej książki – „Schodami w górę, schodami w dół” – nie mógł doczytać do końca. Może i była ciekawa, ale – jak



Michał Choromański FOT. NAC

mawiał prof. Julian Krzyżanowski – nie bardzo.

Michał Choromański urodził się na Ukrainie, w Jelizawietgradzie. Jego ojciec, lekarz, zginął w czasie wojny i 17-letni Michał musiał zarabiać na życie, pracując m.in. jako piekarz, sanitariusz, nauczyciel rysunków w klubie Armii Czerwonej, ale i pisywał do sowieckich gazet. Oczywiście po rosyjsku. Kiedy więc przyjechał do Polski w 1925 r., właściwie rozpoznawał się dopiero w polszczyźnie. I poznawał ją jaką taką.

Nie wziął się znikąd. Był spowinowacony z Karolem Szymanowskim i Jarosławem Iwaszkiewiczem, szybko wszedł w środowisko artystyczne, poznał Witkacego, Kazimierza Wierzyńskiego, znalazł swoje miejsce w zakopiańskim salonie Marii Kasprowiczowej. Zamieszkał w sławnej Harendzie, wdając się z wdową po wybitnym poecie Młodej Polski w długi i wielce skomplikowany romans. Ta rosyjska generałówna, choć uchodziła za piękność, miała po przebytej szkarlatynie zniekształcony łokieć, on w wyniku gruźlicy kości, która miała z czasem ustąpić, chodził o kuli. Ułomności te niespecjalnie im, widać, przeszkadzały, natomiast będąc w związku, zadawali sobie wzajemnie rany: on zręcznie manipulował jej uczuciem, budząc zazdrość innymi miłostkami (zagięła na niego parol Zofia Nałkowska), ona także go zdradzała. W jakiejś mierze „Zazdrość i medycyna" była na tę zdradę pisarską odpowiedzią. Gorzej, że w wydanej dopiero w 1967 r. mocno podszytej autobiografią powieści „Schodami w górę, schodami w dół" sportretował swoją Marusię mocno karykaturalnie. Miała wtedy 80 lat, umarła rok później, a przyjaciele bardzo się starali, by lektura książki przypadkiem nie przyspieszyła jej zgonu.

Najgłówniejszy demon

Jak pisała Seweryna Wysłouch w 1975 r., do jego pisarstwa przylgnęła na trwałe „etykieta psychologizmu razem ze wszystkimi wartościującymi konsekwencjami. Nie omijały jego nazwiska generalne ataki na powieść psychologiczną lat 30. zarzucające jej ubóstwo ideowe, nikłą akcję, seksualizm, niesamowitość oraz dominację tezy psychologicznej, która nie pozwala na plastyczne zarysowanie charakterów przedstawianych postaci i powoduje wyizolowanie ich z rzeczywistości społecznej".

To właśnie autora „Zazdrości i medycyny" uznał komunizujący krytyk Ignacy Fik za jednego z „najgłówniejszych demonów" literatury „skrzywionej i chorej". Naprawdę „zawiniło" tutaj najbardziej nazwisko pisarza, które posłużyło Fikowi za kanwę tytułu chyba najgłośniejszego eseju, który opublikował w 1935 r. w „Tygodniku Artystów": „Literatura choromaniaków". Z przyrodzoną marksistom subtelnością wywodził krytyk, że „nie jest może tylko dziwnym zbiegiem okoliczności, że jak etym nazwiska Krzywickiej aż się prosi, by go przetłumaczyć na łacinę, tak jeden z najgłówniejszych demonów, Choromański, również ma swoje nomen omen. Tak! Choromania!".

Czy nie jest zastanawiające – pytał dalej retorycznie – że ta spaczona literatura wychodzi spod piór ludzi, „którzy zatrzymali się na fazie dojrzewania płciowego, że są to homoseksualiści, ekshibicjoniści i psychopaci, degeneraci, narkomani, ludzie chronicznie chorzy na żołądek, mieszkający na stałe w szpitalach, ludzie nierozróżniający jawy od snu, hipochondrycy, neurastenicy, mizantropi"? Ignacy Fik wymienił całą ich listę, po kolei: Witkiewicza, Kadena-Bandrowskiego, Choromańskiego, Krzywicką, Rudnickiego, Schulza, Ważyka, Uniłowskiego, Gombrowicza. Dziś można się tylko w tym miejscu uśmiechnąć, co nie zmienia faktu, że to Michał Choromański stał się czołowym, jeśli nie głównym, reprezentantem psychologizmu literatury Polski międzywojennej. Pozostał – pisała Wysłouch – „psychologistą" obok Nałkowskiej, Kuncewiczowej, Iwaszkiewicza, Rudnickiego, Brezy i Andrzejewskiego, a „Zazdrość i medycyna" uznawana jest za „laboratoryjny przykład eksperymentalnej powieści psychologicznej tego okresu".

Tyle że ten psychologizm był szczególny. Narratora powieści Choromańskiego obchodziły tylko przeżycia i zjawiska pojawiające się w psychice, a nie ich uwarunkowania. Niemal od razu po publikacji „Zazdrości i medycyny" zwrócił na to uwagę Ostap Ortwin, zaliczając jej twórcę do tych, „którzy z krańcową ekskluzywnością zajmują się wyłącznie stanami psychiki ludzkiej, wcale nie psychologizując. Nie włażą bowiem do wnętrza wymyślonych przez siebie postaci, nie wywlekają na wierzch procesów duchowych za pomocą obnażania jednostronnych aktów odruchów świadomości, ale okrążają je z zewnątrz, odgadują i docierają do środka, obmacując,

eprasa.pl ede0eab6fd

opukując i prześwietlając osłaniającą je powłokę materialnych faktów". Od siebie Seweryna Wysłouch dodała, że to Michał Choromański jako pierwszy wprowadził behawiorystyczną narrację do literatury polskiej.

Gay gothic

Zadebiutował powieścią „Biali bracia" (1931), w której obok żydowskiego kupca mamy i czekistę, i kontrrewolucjonistę, nie ma to jednak większego znaczenia, ponieważ rozgrywające się wypadki wynikają z… niczego, co bardzo nie podobało się krytykom przyzwyczajonym do tradycyjnej, racjonalnej narracji. Zachwyceni byli za to Tuwim, Wittlin i Krzywicka i to wystarczyło, by debiut uznano za wielce udany. A porównania z Conradem i Dostojewskim przewróciłyby w głowie każdemu adeptowi pióra.

Prawdziwą furorę zrobiła jednak następna książka Michała Choromańskiego, najlepsza w całym jego dorobku – „Zazdrość i medycyna" (1933), po latach świetnie przełożona na język kina przez Janusza Majewskiego. W filmowej „Zazdrości…" z roku 1973 prawdziwe kreacje aktorskie stworzyli Ewa Krzyżewska, Andrzej Łapicki i Mariusz Dmochowski, choć najbardziej chyba wbił się w pamięć Włodzimierz Boruński w roli żydowskiego krawca Golda.

Przed wojną wydał jeszcze Choromański „Szpital Czerwonego Krzyża" i „Opowiadania dwuznaczne" (1934); w tym samym roku, w odcinkach, drukował w „Gazecie Polskiej" rzekomo sensacyjną powieść „Skandal w Wesołych Bagniskach", którą w formie książkowej dopiero po prawie 60 latach opublikował Państwowy Instytut Wydawniczy. A Andrzej Barański zekranizował „Skandal…", zmieniając tytuł na „Horror w Wesołych Bagniskach" (1995). Zniewieściałego przybysza do kresowego majątku liżącego rany po najeździe bolszewickim, ewidentnego homoseksualistę zagrał w tym filmie Jan Frycz. To Wawicki, w którego się wcielił, uważał, „że istnieją dwa rodzaje miłości: czerwona, to znaczy normalna miłość mężczyzny do kobiety, i miłość błękitna".

„Skandal w Wesołych Bagniskach" całkiem od niedawna służy krytyce spod znaku Marii Janion jako przykład czegoś, co nazywa ona „gay gothic", i odczytywany jest jako pastisz powieści gotyckiej w połączeniu z kulturowymi tropami homoseksualności. Ponoć też zainspirował Choromański tym „Skandalem…" samego Gombrowicza do napisania „Opętanych". Niech i tak będzie, obie te powieści mają tę tylko zaletę, że są niedługie.


Ruth Sorel w roli Ofelii FOT. NAC

Niezależnie od słów krytyki, z którą się spotkał, osiągnął Choromański przed wojną wysoką pozycję czytelniczą. Wszechobecny u niego paradoks, nieoczekiwane obroty akcji powodowane działaniami nieobliczalnego losu – to wszystko mogło się podobać. Nagroda Młodych Polskiej Akademii Literatury z 1931 r. i publikacje tekstów w „Wiadomościach Literackich" też zrobiły swoje. Stał się postacią rozpoznawalną, brylującą w środowisku, do którego – co warto przypomnieć – wprowadził niejakiego Tadeusza Kurtykę, krakowskiego pikolaka, który jako Henryk Worcell popełnił „Zaklęte rewiry", sławne po filmie Janusza Majewskiego z 1975 r. z młodym Markiem Kondratem i świetnym Romanem Wilhelmim w roli kelnera Fornalskiego.

Jak w hibernacji

„Choromański – pisał Piotr Kuncewicz – lubił dziwaczyć, intrygować czytelnika, wprowadzać motywy nieoczekiwane, a szokujące, wręcz epatować paradoksami. W »Zazdrości…« wszystko to razem osiągnęło szczęśliwą harmonię. Później w twórczości powojennej różnie z tym bywało. Wydaje mi się, że Choromański niekiedy po prostu ględzi bez szczególnie uzasadnionej potrzeby. Ale inaczej się to przedstawia w oczach wielbicieli, których ma do dzisiaj i to wcale licznych. Nie całkiem bez racji – zadziwiać i zaskakiwać potrafił zawsze – wiązano to zresztą z wpływami ekspresjonizmu".

Już rok po jego śmierci Hanna Kirchner otwarcie stawiała jednak pytanie, co nas – współczesnych – obchodzą skandale i plotki z lat 30. czy też scysje emigrantów w Brazylii. Konstatowała też, że Choromański po wojnie został w Polsce „życzliwie przemilczany". Jak do tego doszło?

W 1939 r. pisarz ożenił się z Ruth Elly Abramowitz, tancerką używającą pseudonimu Ruth Sorel. Występowała w operach w Berlinie i Essen, została jednak wypędzona z Niemiec jako Żydówka i do tego komunizująca. Choromańscy pobrali się w 1939 r., szóstego dnia toczącej się wojny. Oblężenie Warszawy pisarz przetrwał, popadając jednak właśnie wtedy w niszczącą jego organizm bezsenność i lekomanię. Zdecydowali się na ucieczkę z okupowanej stolicy, co im się udało, głównie dzięki perfekcyjnej znajomości niemieckiego przez Ruth. Przejechali przez pół Europy i w marcu 1940 r. popłynęli do Brazylii, gdzie zamieszkali w Kurytybie, by po dwóch latach przenieść się do Kanady. Zamieszkali w Montrealu, a pisarz przez cały ten czas pozostawał w gruncie rzeczy na garnuszku żony, nie wydawał bowiem swoich książek, a zasiłały jego konto jedynie regularnie wysyłane kwoty z powstałego w Paryżu, a następnie przeniesionego do Londynu Funduszu Kultury Narodowej. Ruth Sorel prowadziła w Quebecu cenioną szkołę baletową, odnosiła sukcesy

eprasa.pl ede0eab6fd

choreograficzne, ale jej mąż – jak pisał Rafał Księżyk – „choć miał zapewnione wygodne życie, nie mógł pozbyć się lęku, a przy tym był jak w hibernacji, nie mógł pisać, nie miał też możliwości publikacji, źle się czuł, pozostając na utrzymaniu żony. W listopadzie 1957 r. na pokładzie »Batorego« małżonkowie wrócili do Polski".

„Ich powrót – pisał Florian Śmieja – to z jednej strony gratka dla władz. Choromański – podobnie jak wracający w tym samym czasie Melchior Wańkowicz – legitymizują w pewnym sensie poodwilżową Polskę. Z drugiej jednak strony literackie esy-floresy autora »Zazdrości i medycyny« pozostają literaturą dziwaczną oraz nieprzydatną. Liczące się oficyny trzymają się od niego z daleka. Pierwsza powojenna powieść – osnute na emigracyjnych doświadczeniach »Prolegomena do wszelkich nauk hermeneutycznych« – wychodzi w wyklętym PAX-ie, następne utwory w nieco prowincjonalnym Wydawnictwie Poznańskim. Choć brak większego zainteresowania krytyki i czytelników peszy pisarza, to jednak od ok. 1960 r. aż do śmierci w 1972 r. pracuje z ogromnym zaangażowaniem nad kolejnymi utworami".

W charakterologicznej rekwizytorni

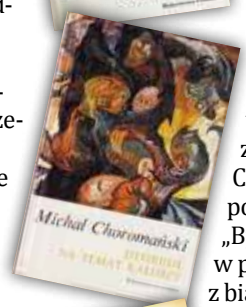
Jeśli powojenne książki Choromańskiego czymś się wyróżniały, to z pewnością tytułami. Niektóre z nich były mocno dziwaczne: „Dygresje na temat kaloszy" (1966), „Makumba, czyli Drzewo gadające" (1969), „Różowe krowy i szare scandalie" (1970), „Głownictwo, modlitwa i praktykarze" (1971).

Gorzej było z zawartością tych utworów. Niestety, dużo racji miał Florian Śmieja, pisząc: „Choromański chciał być polskim Dostojewskim, wykorzystywał jednak, nieraz bardzo ostentacyjnie, chwyty literatury wagonowej i sensacyjnej z ducha Edgara Wallace'a. W efekcie ci, którzy szukali w literaturze sensacji i erotyki, odchodzili rozczarowani brakiem jednoznacznych konkluzji oraz konsekwencji w przeprowadzeniu intrygi, która uginała się pod ciężarem psychologicznej dygresyjności. Ci zaś, którzy szukali w powieściach Choromańskiego literatury wysokiej próby, odchodzili zniesmaczeni tanią sensacyjnością i sztucznie zagmatwaną erotyką, powtarzalnością powieściowych chwytów, ograniczonymi zasobami charakterologicznej rekwizytorni".

Marek Sołtysik słusznie podkreślał, że prozę autora „Schodami w górę, schodami w dół" „kształtują nade wszystko osobiste przeżycia pisarza". Bo przecież, w samym fakcie, że – jak pisał Śmieja – „zainteresowanie szaleństwem, nerwicą, niszczycielską erotyką z pierwszych utworów pozostaje częścią jego utworów także po wojnie", nie ma niczego ani nagannego, ani nawet wyjątkowego. „Tyle że – czytamy dalej – pisarz traci dystans. Nie tyle opisuje nerwice, ile nerwica ze wszystkimi kompulsywnymi powtórzeniami irracjonalnych zachowań staje się sama elementem pisania". Nie od rzeczy będzie więc wspomnieć w tym miejscu, że w krótkim czasie po powrocie do Polski Choromański, kompletnie rozregulowany psychicznie, zgłosił się na kurację do zakładu psychiatrycznego w Wonieściu. On, przed wojną pisujący reportaże z Tworek, teraz potrzebował pomocy. Nawiasem mówiąc, o tym, gdzie przebywał, wiedziała tylko żona pisarza.

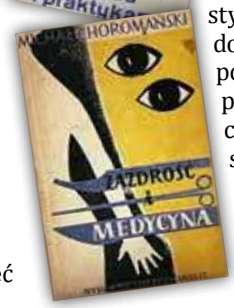
Polska, do której wrócił, musiała go rozczarować. Nie istniało dawne środowisko artystyczne, z którym był związany, z nowym – „pobłogosławionym" przez komunistyczne władze – nie chciał mieć nic wspólnego. Zdegustowany tym, co ujrzał i z czym się spotkał, schorowany, postanowił znów wyjechać z kraju i podjął nawet w tym celu stosowne działania, np. uzyskując z Biblioteki Narodowej zgodę na wywiezienie do Kanady swojego księgozbioru. Nie mógłby jednak zabrać ze sobą cudem ocalałych obrazów przyjaciół: Stanisława Ignacego Witkiewicza i Rafała Malczewskiego. I ponoć to właśnie było jednym z głównych powodów pozostania Choromańskich w Warszawie, gdzie zamieszkali w dwupokojowym lokalu przy ul. Marszałkowskiej. Z widokiem i na Ogród Saski i na Pałac Kultury.











W ostatniej fazie życia pisarz często przebywał w Konstancinie jako pacjent oddziału kardiologicznego w Domu Profilaktycznym Ministerstwa Zdrowia. To tam jeździł Janusz Majewski, by sfinalizować umowę dotyczącą ekranizacji „Zazdrości i medycyny". Choromański nie zdążył jej podpisać. Reżyser wspominał: „Byłem u niego w Konstancinie w piątek (kojarzył mi się wtedy z białogwardyjskim oficerem, teraz z Nabokovem, do którego był trochę podobny) – a w poniedziałek już nie żył. Na szczęście w międzyczasie zdążył udzielić wywiadu Marii Marszałek z »Ekranu«, gdzie powiedział, że zaakceptował mój scenariusz, powiedział to też żonie, ona podpisała umowę i film powstał". Ruth Sorel przeżyła męża o dwa lata. Pamiątki po nim przekazała Muzeum Literatury.

Janusz Majewski opowiadał też: „Kiedy czytałem go 30 lat temu, uznałem, że to jakieś archaiczne dzieło z czasów Meyerholda, jakaś taka futurystyczna drabinka... Kiedy ostatnio do niego zajrzałem, dostrzegłem pomysły jak z Almodóvara. Na przykład zakonnice w pomarańczowych habitach tańczące na sali operacyjnej".

Scena operacyjna z „Zazdrości i medycyny" rzeczywiście wbija się w pamięć każdego czytelnika. Ale czy to znaczy, że będziemy z lupą w ręku szukać równie przekonujących ustępów w pozostałych książkach Choromańskiego? Obawiam się, że byłoby to czczym zajęciem, choć Marek Sołtysik, autor książki „Świadomość to kamień. Kartki z życia Michała Choromańskiego", swojego bohatera nazywa twórcą „błyskotliwego przeboju literackiego i kilkudziesięciu głębszych powieści z przebłyskami geniuszu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd



Joseph Goebbels (drugi z prawej) u marszałka Józefa Piłsudskiego w Belwederze, 1934 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Książka miesiąca / Niemcy, Polska i Związek Sowiecki

Krucjata, której nie było

Propaganda historyczna Rosji rozpowszechnia tezę o polskiej współodpowiedzialności za wybuch drugiej wojny światowej, a polegać miałaby ona na gotowości Polski do wzięcia udziału w planowym przez Niemcy ataku na Rosję, a nawet na konkretnych działaniach.

Kierownictwo państwa polskiego, odrzucając niemieckie propozycje antybolszewickiej krucjaty, powodowało się nie tylko wiarą – jak się okazało, naiwną – w wartość sojuszy z Francją i Wielką Brytanią. Jednocześnie uwierzono w neutralność sowieckiej Rosji. A za tą wiarą mogła stać – jak stwierdza autor „Krucjaty 1935" – działalność sowieckiej agentury wpływu. Marek Świerczek pisze, że Tadeusz Kobylański, wysoki urzędnik MSZ i oficer Oddziału II mógł być sowieckim agentem, a w kręgu podejrzanych jest Wiktor Tomir Drymmer, zaufany ministra Becka.

Autor publikuje raporty z 1934 r., niezidentyfikowanego sowieckiego agenta w MSZ, które miałyby potwierdzać tezę rosyjskiego politologa Stanisława Morozowa o montowaniu polsko-niemiecko-japońskiej wojny przeciw ZSRS, z zaangażowaniem kapitału zachodnioeuropejskiego. Świerczek stwierdza, że wojna z Sowietami mogła zrealizować geopolityczne cele Hitlera i Piłsudskiego. Hitler marzył o zniszczeniu bolszewizmu i zyskaniu Lebensraumu. Piłsudski pragnął powrotu do idei federacyjnej. Zdaniem autora taka (zwycięska) wojna najpewniej spowodowałaby uniknięcie wojny światowej.

Raporty sowieckiego agenta nie są – zdaniem Świerczka – fałszywką, informacje w nich zawarte są po części komplementarne z dokumentami z archiwum Stalina i innymi źródłami sowieckimi. Zaznacza jednak, że gdyby informacje agenta były wiarygodne, musiałyby też o nich coś mówić źródła niemieckie, francuskie, brytyjskie, japońskie i polskie. Takich źródeł nie ma. A sowiecki agent pisał, że Polska poprze Anschluss Austrii i zerwie sojusz z Francją, jeśli ta zawrze układ z Sowietami (nic takiego się nie wydarzyło). Że Piłsudski kazał dokonać zamachu na Titulescu, szefa rumuńskiego MSZ, który „zdradził". Że są plany unifikacji uzbrojenia polskiego i niemieckiego, a w okolicach Lidy niemieccy inżynierowie budują podziemne lotniska. Brak jednak dowodów, że tak było.

Autor odrzuca hipotezę, że agent konfabulował, pisząc to, w co wierzono w Moskwie (groźba ataku na ZSRS), gdyż – jego zdaniem – służby sowieckie miały możliwość weryfikacji informacji. Znamienne jest jednak to, że wywiad sowiecki zerwał współpracę z Kobylańskim jako prowokatorem. Władysław Bułhak, zajmujący się historią wywiadu, przypuszcza, że Kobylański mógł być podwójnym lub odwróconym agentem.

Raporty z centrali MSW słane do Moskwy nie mogą być dowodem na polsko-niemiecką współpracę wojskową i wspólne plany wojny ZSRR. Hipotetycznie było to możliwe, jeśli przyjąć twierdzenie autora, że Piłsudski nie odrzucił z miejsca niemieckich propozycji.

Istotą sprawy nie jest to, czy istniał plan niemiecko-polskiej krucjaty przeciw sowieckiej Rosji, ale czy Warszawa powinna zgodzić się na nią. Świerczek uważa, że oferta niemiecka „pozwalała (przynajmniej w teorii) rozwiązać na pozór nierozwiązywalny problem położenia między dwoma narodami znacznie potężniejszymi od niej, a przy tym wrogo do niej nastawionymi". I była w pełnej zgodzie z polską racją stanu. Owszem, jeżeli chodzi o politykę wschodnią. Jednak przyjęcie propozycji Berlina skutkowałoby pełnym podporządkowaniem Polski Niemcom. Z drugiej strony byłoby to lepsze rozwiązanie, pozwalające uniknąć straszliwych strat, które poniosła Polska w wyniku drugiej wojny światowej.

Zdaniem autora opcja taktycznego sojuszu z Niemcami na wczesnym etapie zbrojeń, gdy oba państwa dysponowały podobnym potencjałem militarnym, była racjonalniejsza niż samobójcze odrzucenie ofert niemieckich. Na zakończenie książki Marek Świerczek gorzko konstatuje, że „wojny z ZSRS chcieli niemal wszyscy, a Polska de facto stoczyła samotny bój w OBRONIE ZSRS". ©℗

Tomasz Stańczyk



MAREK ŚWIERCZEK
„KRUCJATA 1935. WOJNA, KTÓREJ NIGDY NIE BYŁO"
FRONDA

eprasa.pl ede0eab6fd

Wojna bez nienawiści

Warto czasem spojrzeć na wojnę z perspektywy nieprzyjaciela. Możliwość taką dają nam wspomnienia A. Buchnera, żołnierza 1. Dywizji Górskiej Wehrmachtu. Razem ze swoją jednostką żołnierz ten we wrześniu 1939 r. nacierał ze Słowacji na Lwów.

Buchner w obrazowy, naturalistyczny sposób opisuje koszmar wojny. Niemieckie oddziały nacierają przez góry. Ich przemarsz odbywa się w blasku płonących wsi. Polacy się wycofują, zostawiając za sobą pułapki i miny. Próbują stawiać desperacki opór. Zacięte walki toczą się w górskich przełęczach, na uliczkach miasteczek.

Dla polskiego czytelnika jest to lektura smutna. Im dalej w głąb Polski nacierają niemieckie siły, tym bezradniejsze jest nasze dowództwo. Na poboczach dróg, którymi posuwają się kolumny Wehrmachtu, siedzą polscy żołnierze. Zrezygnowani, apatyczni, oddają się do niewoli. Na drogach rozkładają się trupy końskie, wala się porzucony sprzęt Wojska Polskiego. Odwrót.

Wspomnienia Buchnera – co trzeba podkreślić – pozbawione są jednak nienawiści. Buchner jest żołnierzem, który wykonuje swoje zadanie. W polskich żołnierzach nie widzi śmiertelnych wrogów, tylko kolegów po fachu.

„Martwy polski żołnierz – pisze – jeszcze z karabinem gotowym do strzału, obok hełm, dwa granaty ręczne. Oświetlony słońcem leży bez ruchu, pocisk trafił go w skroń. Po młodej twarzy wolno spływa cienka strużka krwi. Rozwiane włosy blond. Leży z otwartymi ustami, tak jakby umierając, równocześnie chciał oskarżyć każdego, kto tej wojny pragnął i był jej winien.

Strzelcy górscy przygnębieni spoglądają na siebie z niepokojem – pierwszy zabity. Wróg? Nie potrafią obudzić w sobie uczucia wrogości wobec tego młodego polskiego żołnierza, który wygląda, jakby był jednym z nich. Podnoszą go i niosą w dolinę, zbierając też innych rannych i zabitych”. ©℗ ***Piotr Zychowicz***



A. BUCHNER
„KIERUNEK: LWÓW”
FUNDACJA HISTORIA.PL

Bramy triumfalne dla Sowietów

W 1939 r. bolszewicy zajęli część Lubelszczyzny tylko na kilkanaście dni. Zgodnie z porozumieniem Moskwa-Berlin terytorium to ostatecznie przypadło Niemcom. I weszło w skład dystryktu lubelskiego Generalnego Gubernatorstwa.

Wystarczyło jednak kilkanaście dni, aby na terenach opanowanych przez Sowietów zaktywizowały się środowiska prokomunistyczne. Głównie – choć nie tylko – wywodzące się ze środowiska żydowskiego i ukraińskiego. O tych dramatycznych wydarzeniach, gdy sąsiedzi wystąpili przeciwko sąsiadom, opowiada książka Jacka Romanka. Autor analizuje sytuację powiat po powiecie, ukazując przypadki zdrady i kolaboracji. A także liczne sowieckie zbrodnie. Historyk odrzuca tezę jakoby współpraca części Żydów z bolszewikami była „antysemickim mitem”. Jednocześnie przyznaje jednak, że II RP w polityce wobec mniejszości popełniała błędy. Ciekawa, wyważona praca. ©℗ ***(p.z.)***



JACEK ROMANEK
„KOLABORACJA Z SOWIETAMI NA TERENIE WOJEWÓDZTWA LUBELSKIEGO WE WRZEŚNIU I PAŹDZIERNIKU 1939 R.”
IPN



MAGDALENA OGÓREK
„KAT KŁANIA SIĘ I ZABIJA”
FRONDA

GRABIEŻCY DZIEŁ SZTUKI

Kontynuacja książki „Lista Wächtera”. Autorka śledzi sieć powiązań oraz ujawnia ludzi, którzy ukrywali austriackiego zbrodniarza wojennego i złodzieja dzieł sztuki z krakowskich zbiorów. Przypomina także postać innego grabieżcy, holenderskiego marszanda Pietera Mentena, powiązanego ze zbrodnią dokonaną przez Niemców na polskich profesorach we Lwowie w 1941 r. ***(t.s.)***



SHARON MACDONALD
„KRAINY PAMIĘCI. O DZIEDZICTWIE I TOŻSAMOŚCI WE WSPÓŁCZESNEJ EUROPIE”
MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY

PAMIĘĆ I HISTORIA EUROPY

Brytyjska antropolożka – obecnie w Berlinie – pamięć społeczeństw przeciwstawia nauce historii, czyli ustalaniu faktów z przeszłości. Mało tu jest o Polsce. W marginalnym fragmencie dotyczącym gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej krytycznie odnosi się do uzupełnienia muzealnego projektu, nie zauważając, że zmiany odpowiadają zarówno polskiej pamięci, jak i ustaleniom historyków. ©℗ ***(m.r.)***



MICHAŁ CEGLAREK
„KAPELANI WOJSKA POLSKIEGO Z OKRESU WOJNY POLSKO-SOWIECKIEJ 1919–1921”
IPN

KRUCJATA EKUMENICZNA

Żołnierz, żeby maszerował i walczył, musi mieć przede wszystkim pełny żołądek. Czasami jednak przydaje się również strawa duchowa. Szczególnie gdy walczy się z bezbożnym bolszewizmem. Michał Ceglarek w ciekawej książce opisuje losy kapelanów Wojska Polskiego podczas zmagań z bolszewiami w latach 1919–1921. Co ciekawe, w WP byli również polowi pastorowie, księża prawosławni, rabini, a nawet jeden imam! ©℗ ***(p.z.)***

eprasa.pl ede0eab6fd



Sztandary Armii Czerwonej zdobyte przez Polaków FOT. WIKIPEDIA

Śladem naszych przewag

O dniach chwały i zwycięstw oręża polskiego najlepiej świadczą ich materialne dowody. Są nimi oczywiście trofea zdobyte na wrogach. Tym tropem poszedł znany znawca broni różnych epok Michał Mackiewicz, który od lat współpracuje z redakcją miesięcznika „Historia Do Rzeczy", a wcześniej jeszcze z tym samym zespołem, gdy redagowaliśmy do 2012 r. dodatki historyczne „Rzeczpospolitej" oraz „Uważam Rze". Jego najnowszą książkę „Trofea wojenne" wydała właśnie na dobrym papierze z licznymi kolorowymi ilustracjami „Graf_ika". To bardzo cenne, bo możemy oglądać, poznawać i oceniać to, o czym pisze Autor.

Razem z nim stajemy przed krzyżackimi chorągwiami, przepięknie zdobionymi szablami Moskali oraz Turków, takimi okazami z czasów napoleońskich jak grot chorągwi pruskiej wziętej na Jasnej Górze w 1806 r., bolszewickimi sztandarami, „budionnówkami" z czerwoną gwiazdą, mosinami i naganami, niemiecką (oraz włoską) bronią i oporządzeniem z walk afrykańskich, Krzyżami Żelaznymi z kampanii włoskiej gen. Andersa czy długolufowym parabellum z zachodnioeuropejskiego marszu gen. Maczka. I dzięki Autorowi odkrywamy historię, bo zadał sobie spory trud wyjaśnienia okoliczności, w jakich ta broń, sztandary czy części oporządzenia stały się zdobyczą polskiego żołnierza.



MICHAŁ MACKIEWICZ
„TROFEA WOJENNE. ZNAKI CHWAŁY ŻOŁNIERZA POLSKIEGO"
GRAF_IKA

Są też artefakty całkiem niemilitarne, takie jak relikwiarz elbląskiego komtura z czasów wielkiej wojny z zakonem krzyżackim. Kim był właściciel i jak stracił cenną własność? Podążamy za Autorem wśród dramatycznych wydarzeń lat 1409–1410 i obserwujemy miniśledztwo, które przeprowadza. Podobnie jest z wieloma innymi trofeami. Zawiłe są na przykład losy potężnej angielskiej armaty 127 mm, wystawianej przed budynkiem Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Otóż Brytyjczycy dostarczyli ją armii carskiej, następnie tę „puszkę" przejęli bolszewicy, ale podczas Bitwy Warszawskiej w 1920 r. dostała się w polskie ręce.

Pasjonuje ta podróż przez dzieje. Cóż, całej książki nie streszczę. Wspomnę tylko jeszcze wzruszające trofeum... polskiego orła, zdjętego przez Niemców w 1939 r. z budynku Dowództwa Floty w Gdyni, a przez żołnierzy gen. Maczka w maju 1945 r. z bramy zdobytego właśnie portu wojennego w Wilhelmshaven. Orzeł Biały trafił do Instytutu Sikorskiego w Londynie, natomiast wieka flaga wojenna III Rzeszy stała się trofeum MWP. ©℗

Maciej Rosalak

Chwała wynalazcom!

Tymoteusz Pawłowski potrafi bardzo zajmująco pisać o wynalazkach, które zmieniły nasze życie, nie grzęźnie przy tym w szczegółach, jasno tłumacząc sprawy skomplikowane. A pisanie o technice jest trudniejsze niż o wojnach o tron i bitwach. Książka nie dotyczy wyłącznie historii techniki. Jej zaletą jest to, że autor tłumaczy, jak wynalazki wpływały na życie codziennie, obyczaje, modę, higienę. Mamy tu zatem także historię społeczną. Pawłowski pisze nie tylko o gruszce Bessemera, telewizji, samolotach i autostradach, lecz także o podpaskach, biustonoszach i prezerwatywach. Przedstawia też wpływ działania sił natury i klęsk żywiołowych na życie ludzi. Wyjaśnia, czym była spowodowana specyficzna kolorystyka obrazów Wiliama Turnera i Caspara Davida Friedricha.

Wiele wynalazków, z których dziś korzystamy, przyniósł wiek XIX. A są to m.in. strzykawka, winda, rower. Samochody elektryczne to żadna nowość. Były konstruowane już w tamtym stuleciu. Autor tłumaczy, dlaczego stewardzi zostali zastąpieni na pokładach samolotów przez stewardessy, wyjaśnia, że paryska wieża nie była dziełem Eiffla. Rozbija także mit, że szerszy rozstaw rosyjskich torów miał utrudnić inwazję.

Za największy sukces medycyny i najprawdopodobniej największy wynalazek uważa Pawłowski szczepionki, które ocaliły miliony istnień ludzkich. ©℗

Tomasz Stańczyk

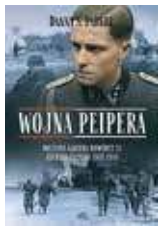


TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
„NIEZWYKŁE DZIEJE WIELKICH WYNALAZKÓW. JAK TECHNIKA ZMIENIŁA ŚWIAT"
FRONDA

eprasa.pl ede0eab6fd

Bandzior z Krzyżem Rycerskim

SS-Obersturmbannführera Joachima (Jochena) Peipera należy uznać za jednego z najbardziej rozpoznawalnych oficerów Waffen-SS. Jego nazwisko związane jest ze zbrodnią, której 17 grudnia 1944 r. w czasie ofensywy w Ardenach dopuścili się jego podkomendni z Kampfgruppe Peiper w miejscowości Malmedy na amerykańskich jeńcach wojennych. Peipera co prawda nie było na miejscu zdarzenia, ale jako dowódca wziął na siebie podczas powojennego procesu w Dachau pełną odpowiedzialność za czyny podwładnych. Jego i 42 innych oficerów i żołnierzy z 1. Dywizji SS „Leibstandarte SS Adolf Hitler" 16 lipca 1946 r. amerykański sąd wojskowy skazał na karę śmierci przez powieszenie. Od tego momentu rozpoczęła się długotrwała batalia o uratowanie mu życia. Przyniosła ona w 1954 r. zamianę wydanego wyroku śmierci na karę dożywotniego więzienia, z którego został zwolniony w grudniu 1956 roku. Dwadzieścia lat później Joachim Peiper został zamordowany w miejscowości Traves we Francji, przez nieznanych sprawców. Jednak o ile te fragmenty życiorysu ppłk. Waffen-SS są dość dobrze opisane w literaturze, o tyle stosunkowo słabiej rozpoznany jest okres jego służby jako oficera frontowego dywizji LSSAH.



DANNY S. PARKER
„WOJNA PEIPERA. WOJENNA KARIERA DOWÓDCY SS JOCHENA PEIPERA 1941–1944"
WYDAWNICTWO NAPOLEON

Peiper jeszcze jako adiutant SS-Reichsführera Heinricha Himmlera wziął urlop w 1940 r. i udał się z LSSAH do Francji, by wziąć udział w kampanii francuskiej. Za opanowanie baterii artylerii na wzgórzu Wattenberg otrzymał Krzyż Żelazny I klasy i awans na SS-Hauptsturmführera. Pod koniec lipca 1941 r. po kłótni z Himmlerem zrezygnował z funkcji adiutanta i na początku sierpnia trafił na front wschodni, początkowo jako obserwator z ramienia szefa SS, a od 19 sierpnia jako dowódca 11. kompanii III batalionu. Tam poza udziałem w zaciętych bojach frontowych doświadczył brutalności wojny na wschodzie. Nim pojawił się na froncie, 3 lipca batalion rozpoznawczy LSSAH natrafił na zwłoki 153 jeńców niemieckich z 25. Dywizji Zmotoryzowanej pomordowanych w miejscowości Broniki. 15 sierpnia pododdziały dywizji odnalazły kolejnych 98 żołnierzy okrutnie zmasakrowanych we wsi Grejgowa. W odpowiedzi dywizja przez trzy dni nie brała do niewoli jeńców sowieckich.

W listopadzie 1941 r. kompania Peipera uczestniczyła w walkach w okolicy Rostowa, odznaczając się szczególnie w bitwie o wieś Sułtan-Sały, gdzie w ręce esesmanów wpadło 1,1 tys. sowieckich jeńców. Pod koniec maja 1942 r. dywizję wycofano z frontu. Po powrocie na wschód Peiper już jako dowódca batalionu grenadierów pancernych dokonał na początku lutego 1943 r. niezwykłego wyczynu, odblokowując okrążoną przez Sowietów 320. Dywizję Piechoty. Podczas We wsi Wiednoje doszło do masakry konwoju medycznego i ochrony esesmanów. Peiper w odwecie nakazał spalić wieś i rozstrzelać mieszkańców. Kolejnym niechlubnym wyczynem Peipera było spalenie 3 marca 1943 r. podczas walk w okolicach Charkowa wsi Starowierowka (zabito 70 cywilów) oraz wsi Staniczноje. Za walki pod Charkowem odznaczony został Krzyżem Rycerskim.

W drugiej połowie 1943 r. dywizję i wraz z nią Peipera przerzucono do Włoch. Tam 19 września 1943 r. w okolicach wsi Boves dwaj esesmani – Kurt Botenhoff i Klaus Wieczorek – zostali wzięci do niewoli i uprowadzeni przez włoskich partyzantów (obu później zwolniono). W reakcji na ten czyn Peiper zarządził przeprowadzenie rajdu odwetowego na Boves, podczas którego zabito 23 osoby cywilne i podpalono część budynków. O tym krwawym epizodzie i innych zbrodniach wojennych Peipera i żołnierzy LSSAH – i o ich zmaganiach frontowych – przeczytacie państwo w książce Dannego S. Parkera. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

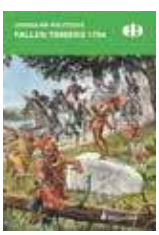
HISTORYCZNE BITWY

Mad Wayne

Rzeziami białych zakończyły się dwie karne ekspedycje amerykańskie przeciw Indianom z dorzecza Ohio. Pierwszą (1790) dowodził gen. Josiah Harmar, a drugą (1791) gen. Arthur St. Clair. Celem było oczywiście – układami bądź siłą – pozbawienie Indian ich posiadłości. Bolesne nauczki z rąk „dzikusów" spowodowały, że do trzeciej wyprawy zwerbowano 3 tys. ludzi, na których czele postawiono gen. Anthony'ego Wayne'a, który nie przypadkiem zyskał przydomek: Wściekły Antoni (pseudonimem Mad Anthony Wayne posłuży się w XX w. wspaniały gwiazdor westernów). Regularna armia uzbrojona w karabiny z bagnetami, z wyszkoloną jazdą i tropicielami napotkała na swej drodze dwukrotnie mniej liczną konfederację Szawnisów i Delawarów z grupami m.in. Huronów, Odżibejów czy Irokezów oraz białych ochotników z Kanady.

Bronili dzielnie barykad z powalonych przez tornado pni (stąd nazwa: Fallen Timbers). W pobliżu stał brytyjski Fort Miami z 300-osobową załogą i 14 działami, ale jego związany traktatem pokojowym z USA dowódca nie ruszył w bój i nie wpuścił indiańskich sojuszników po ich przegranej. Autor świetnie odtwarza przebieg bitwy, korzystając z bogatej literatury amerykańskiej i licznych świadectw. Padło 33 Amerykanów i tylko 19 Indian, ale zagony kawalerii, upór piechoty i ogromna przewaga liczebna oraz ogniowa (w tym dział) zmusiły czerwonoskórych do odwrotu. Wayne wiedział, co robi, choć szalał też na pierwszej linii. Pokonanych Indian zmusił w Greenville do zrzeczenia się wielkiego terytorium otwierającego Amerykanom Zachód. ©℗

Maciej Rosalak



JAROSŁAW WOJTCZAK
„FALLEN TIMBERS 1794"
BELLONA

eprasa.pl ede0eab6fd

Geopolityka / Lekcja drugiej wojny światowej



Jacek Bartosiak



Piotr Zychowicz

Nigdy więcej klęski!

Polityka to brutalna gra. Liczy się w niej tylko siła. A nie wierność, honor i inne wzniosłe ideały

PIOTR ZYCHOWICZ: Bilans drugiej wojny światowej jest dla nas koszmarny. Przegraliśmy ją i potwornie drogo nas ta przegrana kosztowała. Straciliśmy niepodległość na pół wieku, połowę terytorium, kilka milionów obywateli, w tym olbrzymią część elit, które zostały okrutnie wymordowane. Przy maksimum wysiłku, który włożyliśmy w ten konflikt, osiągnęliśmy minimum efektu. Całe polskie bohaterstwo, cała polska krew wsiąkły w piach. Dlaczego tak się stało?

JACEK BARTOSIAK: Są tacy, którzy uważają, że Polska tę wojnę prawie wygrała. Bo była bardzo blisko zwycięstwa, a – co za tym idzie – kalkulacje były dobre. Część naszych elit wierzyła, że po drugiej wojnie światowej nie tylko uzyskamy wielkie zdobycze terytorialne kosztem Niemiec, lecz także utrzymamy granicę ryską na wschodzie. A więc Lwów z zagłębiem naftowym, Wilno, Grodno, Polesie i Wołyń. Mieliśmy z tej wojny wyjść wielokrotnie wzmocnieni.

eprasa.pl ede0eab6fd



JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ
„NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA"
REBIS



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Ależ naiwni byli ci ludzie! Niby jakim cudem taka wizja miałaby się zmaterializować, skoro już na początku wojny nasza armia została rozbita w drobny mak, a państwo zlikwidowane? Ktoś nam to wszystko miał dać w prezencie?

Niestety, polska polityka oparła się na błędnej kalkulacji. Nasi przywódcy uznali, że Brytyjczycy są tak silni, że na pewno wygrają wojnę. I po jej zakończeniu wszystko to nam załatwią. Wystarczy tylko niczym się nie przejmować i wiernie trwać u ich boku aż do samego końca. Anglosasi wygrali wojnę, owszem. Okazało się jednak, że to zwycięstwo jest relatywne. Nie wygrali jej bowiem w Europie Środkowo-Wschodniej.

Nie mieli u nas – używając języka geopolityki – projekcji siły.

Wojnę w Europie Środkowo-Wschodniej wygrały inne mocarstwa, które przy okazji przejechały po nas jak walec. W pierwszej fazie (1939–1941) w naszej części kontynentu wygrali Sowieci i Niemcy. I robili na naszym terytorium, co chcieli. Wyniszczali nas biologicznie, strukturalnie, majątkowo. W drugiej fazie (1941–1944) zwycięzcami byli tylko Niemcy, którzy wyparli z Polski bolszewików i panowali u nas samodzielnie. W trzeciej fazie (1944–1945) górą byli z kolei Sowieci, którzy przepędzili Niemców. I zainstalowali się u nas na pół wieku.

Polska została zdruzgotana, spalona, przeorana wzdłuż i wszerz. Nasza ziemia spłynęła krwią. Anglosasi oczywiście nam nie pomogli, bo dogadali się z Sowietami przeciwko Niemcom. Nasze elity w 1945 r. wydawały się zdumione tym obrotem sprawy, ale przecież byli tacy, którzy to wszystko przewidzieli.

Winowajcą jest geografia. Ta wyśmiewana przez krytyków geopolityki geografia. Geografia powoduje rozdział sił. Nie można być silnym wszędzie. Na zakończenie wojny Anglosasi byli mocni na Pacyfiku i w Europie Zachodniej, ale nie byli mocni nad Wisłą na tyle, żeby mieć głos decydujący. Tu karty rozdawał Stalin. Gdyby Anglosasi rzeczywiście byli tak potężni, jak wyobrażali sobie nasi decydenci, to geografia nie miałaby znaczenia i pewnie dostalibyśmy i Królewiec, i Kresy. No i oczywiście niepodległość. Ale niestety nie byli tacy potężni. Ta błędna kalkulacja naszych ówczesnych elit to ważna lekcja. Nauka, która z niej płynie, jest prosta: trzeba liczyć siły sojuszników w realnym układzie geograficzno-przestrzenno-zasobowym, a nie według jakiegoś widzimisię. Jakiejś abstrakcyjnej wiary we wspaniały, piękny, demokratyczny świat.

No tak. Wszystkie państwa świata prowadzą politykę realną, tylko my jedni musimy prowadzić politykę moralną. Trzeba być po stronie „dobrych", trzeba zachowywać się honorowo, nie wolno iść na żadne kompromisy, trzeba być bohaterskim i hojnie przelewać krew. Wtedy nie ma się o co martwić – wszystko będzie OK. Podczas drugiej wojny wszystkie te punkty zrealizowaliśmy bardzo sumiennie. Byliśmy bohaterscy? Byliśmy. Trzymaliśmy z tymi „dobrymi" – no jasne. Nie poszliśmy na żadne kompromisy z Niemcami? Nie poszliśmy. Przelewaliśmy krew? Przelewaliśmy. No, skoro taka heroiczna postawa to jest przepis na sukces w polityce międzynarodowej, jak twierdzą nasi romantycy, to jak to się stało, że wyszliśmy z drugiej wojny światowej jako największy przegrany konfliktu? III Rzesza straciła ok. 25 proc. terytorium, a my połowę.

Oczywiście Polska otrzymała od wielkich mocarstw jako rekompensatę za utracone terytoria ziemie zachodnie. Pamiętajmy jednak, że to była zimna kalkulacja Stalina, a nie dobroduszny prezent dla Polaków. Sowieci poszerzali po prostu swoje zewnętrzne imperium jak najdalej na Zachód. A poza tym dzięki tak wielkim nabytkom terytorialnym Związek Sowiecki automatycznie stawał się gwarantem istnienia nowego państwa polskiego. Bo przecież w latach 40., 50., 60., a nawet 70. wszyscy bali się rewanżyzmu niemieckiego. Mało tego, takie obawy były jeszcze 30 lat temu.

Wróćmy do drugiej wojny światowej...

Bez wątpienia ostatnią wojnę przegraliśmy. Przed jej wybuchem mieliśmy suwerenność, samodecyzyjność, plany rozwojowe. Tego wszystkiego zostaliśmy pozbawieni. Wojny toczą się o pewien porządek, ład. Zwycięża ten, kto decyduje o przestrzeni. My straciliśmy kontrolę nad naszą przestrzenią, a zyskała ją Moskwa. Zostaliśmy częścią imperium sowieckiego z zewnętrznym, narzuconym nam rządem. Podporządkowani gospodarczym interesom potężnego sąsiada. A więc przegraliśmy. Przy okazji – i to jest bardzo ważne – ponieśliśmy koszmarne straty. W wymiarze ludzkim i materialnym. Czechosłowacja też przegrała, bo po wojnie znalazła się w takiej samej sytuacji jak my. Pod sowieckim butem. Nie poniosła jednak przy tym tak wielkich strat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Co było i czego nie było

W posiadanie książki „Krojanty 1939 – prawdy, mity i legendy” Marka Pasturczaka i Jerzego Lelwica, z podtytułem „Trzeba ginąć, stąd się nie wychodzi”, wszedłem w najlepszy z możliwych sposobów: dostałem w prezencie od jednego z autorów. Nie wiem więc, w jakim nakładzie została wydana i na ile jest dostępna – w żadnej z księgarni jej nie widziałem (ale też, mając ją na półce, nie za bardzo szukałem), a Agencja Wydawnicza CB, która książkę firmuje, wygląda mi na oficynę niszową. Możliwe więc, że książka padła ofiarą istnego przekleństwa naszego rynku prac historycznych, którym stała się niszowość. Potwierdza to fakt, że w Internecie znaleźć można zaledwie kilka jej recenzji, w większości z lokalnych mediów bydgoskich.

Rzecz zaś bardzo zasługuje na uwagę, nie tylko ze względu na ogrom wykonanej przez autorów pracy przy dokumentowaniu tematu, lecz także ze względu na wykorzystanie przez nich źródeł, do których nikt inny zapewne by nie dotarł – relacji świadków (jeden z autorów jest synem oficera biorącego udział w bitwie i szanowanego przez tych, którzy przeżyli), starannie pod względem historycznym opracowanych i skonfrontowanych z dostępnymi dokumentami. Już samo to by wystarczyło, ale książka ta daje nam przede wszystkim unikalny wgląd w to, jakie było przedwojenne wojsko polskie, jak działało, jakim podlegało uwarunkowaniom i jak w 1939 r. walczyło mimo niewykonalności wydanych im rozkazów. Bez żadnych upiększeń. Autorzy nie mają problemów z pisaniem o tym, co przez wiele lat pozostawało w sferze „prywatnej wiedzy” weteranów – animozjach, układach (zwłaszcza tych zakorzenionych w legionowej przeszłości), niekiedy zwykłych ludzkich małościach, które sąsiadowały z bezprzykładnym heroizmem.

Lubię i cenię takie pisanie, niestroniące od „gliny ludzkiej”, jak to ujmował poeta, bo prawda krzepi serca znacznie lepiej niż wymyślane rzekomo ku takiemu „pokrzepieniu” klechdy i baśnie. Autorzy pokazują całą galerię żołnierskich postaci (niekiedy sięgając po formę fabularną, co akurat jest najbardziej w książce dyskusyjne), pokazują też drobiazgowo, jak ludzie ci dokonali niemożliwego, a i tak nic to nie dało i zostało strącone w zapomnienie. Naprawdę już samo to wystarczałoby, żeby polecać książkę jako kawał świetnej pisarskiej roboty.

Ale przecież najważniejsze jest, że to właśnie o Krojantach. Stałym czytelnikom naszego magazynu nie trzeba pewnie niczego tłumaczyć, innym na wszelki wypadek przypomnę, że na podstawie przypadkowego i tragicznego dla nich spotkania polskich ułanów z 18. pułku podczas tej bitwy z nierozpoznanymi wcześniej niemieckimi wozami pancernymi (cięższych wozów Niemcy na tym odcinku frontu nie mieli) hitlerowska propaganda stworzyła antypolskie kłamstwo o szarżowaniu na czołgi – powielane potem latami w rozlicznych przekazach, na czele z do dziś oburzającą sceną w „Lotnej” Andrzeja Wajdy, gdzie idiota w polskim mundurze obtłukuje w amoku szablą ogromną lufę niemieckiego pancera (nawiasem mówiąc, ze znacznie późniejszego okresu wojny).

Była więc ta szarża pod Krojantami brawurowa, ale jak najbardziej sensowna i do pewnego momentu zwycięska – i zarazem jej nie było. Także po wojnie, gdy z różnych powodów, wyjaśnionych przez autorów książki, prawda o niej była częściowo czy nawet całościowo niecenzuralna i niewygodna. Dobrze się stało, że ktoś w porę zabrał się do jej odsłaniania. Więcej takich książek. ©℗

Ta książka o Krojantach daje nam unikalny wgląd w to, jakie było przedwojenne wojsko polskie, jak działało i jak w 1939 r. walczyło mimo niewykonalności wydanych mu rozkazów

eprasa.pl ede0eab6fd

/ Felieton



Piotr Semka

Syberyjski zimny bufet

Uwielbiam oglądać pozornie błahe komedie, które utrwalają w swojej fabule jakiś zapomniany problem sprzed lat. Tak było właśnie z pokazaną niedawno w jednej z polskich telewizji francuską komedią „Potyczki kuchenne" (tytuł oryginału: „La Cuisine au beurre") z roku 1963. Sukces filmu gwarantowali dwaj czołowi gwiazdorzy z tamtych lat: Fernandel i Bourvil. Głównego bohatera filmu Fernanda Jouvina (Fernandel) poznajemy jako Francuza, który doskonale urządził się po wojnie u boku tyrolskiej Frau Grety. Do Austrii trafił jako francuski jeniec wojenny wzięty do niewoli w czasie kampanii obronnej 1940 r., ale z obozu udało mu się uciec. Uzyskał schronienie u samotnej gospodyni prowadzącej górskie gospodarstwo wiejskie. Po wojnie posiadanie konkubenta Francuza okazało się bardzo cenne, gdyż to właśnie wojska francuskie okupowały sporą część Tyrolu.

Problem pojawił się w 1954 r., kiedy to Greta otrzymuje telegram. Okazuje się, że mąż gospodyni, którego powołano do Wehrmachtu, wcale nie zginął, ale odnalazł się na Syberii. Po śmierci Stalina Sowieci zaczęli powoli wypuszczać do domu Austriaków złapanych w mundurach armii Hitlera. Filmowy bohater nie chce stawać na drodze prawowitym małżonkom i postanawia wracać do swojego rodzinnego miasteczka w Prowansji. I tu odkrywa, że jego nazwisko wykute zostało na pomniku mieszkańców poległych w czasie wojny, a żona – uznawszy, że jest wdową – wyszła za mąż za przybysza z Normandii. Oszczędzę Państwu szczegółów niezwykle zabawnego qui quo pro, które zakłóciło spokój wszystkich stron tego niespodziewanego trójkąta. Skupię się na wątku powojennych „cudownych" wskrzeszeń.

Filmowy Fernand Jouvin, aby ukryć swój wieloletni romansik z austriacką damulką, ogłasza, że sam wrócił z jenieckiego obozu na Syberii. Według nowej wersji uciekł on jako francuski żołnierz z niemieckiego Stalagu, przedarł się przez front, ale tu Sowieci oskarżyli go, że jest niemieckim szpiegiem, i wysłali go ciupasem na białe niedźwiedzie. Co ciekawe, w filmie wszyscy uznają to za coś oczywistego. Być może wynikało to z tego, że po wojnie do sowieckich obozów jenieckich trafiło aż 23 136 żołnierzy francuskich z jednostek kolaborujących, na czele z dywizją SS „Charlemagne". Francuskie władze starały się ich wyciągać po wojnie z sowieckiej niewoli, ale wielu z nich zostało zwolnionych dopiero w latach 1954–1956 wraz z wielką falą powrotów do domu jeńców niemieckich. Zdumiona powrotem męża żona wypytuje go, dlaczego nie pisał i czy miał na Syberii coś do jedzenia. Fernandel odpowiada: „Nie pisałem, bo atrament zamarzał, a do jedzenia mieliśmy głównie zimny bufet – w końcu to była Syberia".

Wojna wywracała małżeństwa i plątała ludzkie losy. Francuzi potrafili opowiadać o tym z humorem, bo ich wojenne perturbacje nie były tak tragiczne jak Polaków

Zaczyna się epopeja prawno-sądowa. Miejscowi adwokaci zgodnie stwierdzają, że odzyskuje prawa do restauracji, którą posiadał przed wojną. Trzeba go spłacić lub oddać mu lokal. Jedynym wyjściem z prawniczego pata byłoby udzielenie przez pana Jouvina zgody na rozwód swojej żonie. Wszystko zależy jednak od jego dobrej jego woli, nie mógł przecież odpowiadać za to, że powojenne sądy uznały go za zmarłego. Miejscowy proboszcz rozpoczyna procedurę, w której miejscowa kuria biskupia zaczyna starać się o unieważnienie małżeństwa w Rzymie. Fernandel i jego była żona zaczynają powoli przypominać sobie dawne uczucie, ale nowego męża z Normandii ratuje pojawienie się na scenie nieoczekiwanego gościa.

Oto Frau Gerda przyjeżdża z Tyrolu i ogłasza, że prawny mąż po przybyciu z Syberii do Tyrolu poinformował ją, że nie potrafi żyć bez rosyjskiej kochanki. I już jako legalny obywatel Republiki Austrii raz jeszcze udał się na Daleki Wschód Związku Sowieckiego, aby znaleźć i sprowadzić do Austrii swoją ukochaną. I aby zebrać pieniądze na tak niebezpieczną wyprawę, sprzedał swoje gospodarstwo i oto obdarzona przepastnym sercem mieszkanka Tyrolu nie ma już gdzie mieszkać. Gerda fachowym okiem ocenia, że restauracja byłego kochanka mogłaby być prowadzona lepiej i czyściej. Tubalnym głosem ogłasza, że hasłem dnia w lokalu będzie od teraz „Arbeit". I wraz ze swoim konkubentem z lat wojny, jego byłą prowansalską żoną i Normandczykiem zaczynają razem prowadzić restaurację.

Jak Państwo widzą, nie tylko w Polsce wojenne przygody wywracały małżeństwa i plątały ludzkie losy. Być może Francuzi potrafili opowiadać o tym z humorem, bo ich wojenne perturbacje nie były tak tragiczne jak w wypadku Polaków. ©℗

eprasa.pl ede0eab6fd



„Zasadzka", obraz Feliksa Sypniewskiego przedstawiający klęskę rycerstwa polskiego w lasach bukowińskich (bitwa pod Koźminem, 1497 r.) FOT. WIKIPEDIA

1387–1541 / Między Rzecząpospolitą i Turcją

Gry o tron



Tomasz Stańczyk

Hospodarowie mołdawscy mogli uważać się za szczęściarzy, jeśli umierali we własnym łóżku, naturalną śmiercią

Najdłuższy odcinek granicy między hospodarstwem mołdawskim a Polską przebiegała wzdłuż Dniestru. Nad tą rzeką został zbudowany, zachowany do dziś mołdawski zamek w Chocimiu, świadek zwycięstw nad Turkami w latach 1621 i 1673. Hospodarstwo mołdawskie było zbyt małym i słabym państwem, by stanowić samodzielny podmiot polityczny. Dlatego też początkowo stanowiło lenno Rzeczypospolitej, następnie ustaliło się faktyczne kondominium polsko-tureckie, później zaś hospodarstwo wpadło w trwającą do XIX w. zależność od imperium osmańskiego. W obsadę tronu i sprawy hospodarstwa ingerowały nie tylko Kraków (a potem Warszawa) i Stambuł, lecz także magnackie rody z Kresów Wschodnich, a także Węgry, Siedmiogród i hospodarstwo wołoskie. Historia polityczna Mołdawii w wiekach XV–XVII była naznaczona intrygami, zdradami i płynącą obficie krwią strącanych z tronu i zabijanych hospodarów.

Po wejściu w XIV w. w skład Królestwa Polskiego Rusi Czerwonej i Podola hospodarstwo mołdawskie stało się naszym sąsiadem. W 1387 r. hospodar Piotr złożył hołd Władysławowi Jagielle. Pożyczył mu znaczną sumę pieniędzy w zastaw za Pokucie. Królowie polscy mieli nigdy pożyczki nie spłacić, co było powodem wielu wojen o tę ziemię. Akt hołdu ponowił panujący przez trzy pierwsze dekady XV w. Aleksander Dobry, który został kuzynem polskiego króla poprzez małżeństwo z Ryngałłą, córką wielkiego księcia Kiejstuta. Władca ten nadał przywileje kupcom ze Lwowa i z Krakowa, a przez jego ziemie przechodził ważny szlak handlowy na Bliski Wschód.

O zwierzchnictwo nad Mołdawią ubiegał się Zygmunt Luksemburski, król Węgier, proponował też Jagielle podział hospodarstwa. Polska miała sięgnąć aż do wybrzeża Morza Czarnego i posiadać port handlowy w Białogrodzie. Jagiełło odpowiedział jednak, że „ziemi tej nie trzeba wydzierać nikomu, gdyż jest to ziemia własna wojewody wołoskiego

eprasa.pl ede0eab6fd

[hospodara mołdawskiego – przyp. T.S.], hołdownika mego, który krom tego będzie z nami zawżdy". Pod koniec życia Aleksander Dobry wykazał się jednak nielojalnością wobec króla, wspierając w wewnętrznych walkach jego brata – Świdrygiełłę.

Rodzinne zbrodnie

Po śmierci Aleksandra Dobrego w 1432 r. hospodarstwo mołdawskie pogrążyło się na ćwierć wieku w chaosie. Jego ślubni i nieślubni synowie oraz wnukowie, kontynuując dynastę Muszatowiczów, walczyli zaciekle między sobą, zrzucali się z tronu, uciekając się także do zabójstw. W ciągu 25 lat hospodarstwo miało siedmiu władców, trzech z nich rządziło trzykrotnie.

Następcą Aleksandra został starszy syn Eliasz, złożył hołd Jagielle, został jednak pokonany przez brata, który zaczął rządzić jako Stefan II. Eliasz schronił się w Polsce, tam jednak na prośbę Stefana – który zadeklarował, że uznaje zwierzchnictwo króla – został internowany. Próbował przedostać się do Mołdawii, zatrzymano go i osadzono w zamku w Sieradzu. Po śmierci Jagiełły zapadła decyzja, by nadal trzymać byłego hospodara w zamknięciu. Jednak Sonka Holszańska, siostra żony Eliasza, opowiedziała się za nim. Zdzisław Spieralski, autor „Awantur mołdawskich", pisał: „Decyzję senatorów koronnych pokrzyżowali królowa Sonka i jej przyjaciel, którzy umożliwili Eliaszowi ucieczkę, tym razem w pełni udaną". Ród Odrowążów zbrojnie wsparł zwolenników Eliasza, a wojna domowa zakończyła się faktycznym podziałem hospodarstwa między braci. Po paru latach Stefan pojmał i oślepił Eliasza. Dwa lata później zemścił się na Stefanie II jego bratanek, syn okaleczonego Eliasza – Roman. Pojmał on Stefana, uciął mu głowę i zasiadł na tronie jako Roman II. Także i on musiał uciekać do Polski i został tam otruty z inspiracji stryja – Piotra III, który został nowym władcą i złożył przysięgę wierności Kazimierzowi Jagiellończykowi. Po śmierci Piotra hospodarem został Aleksander, brat Romana II, jednak zaraz został zdetronizowany przez stryja – Bogdana II. Interwencja polska przywróciła czasowo władzę Aleksandra II, gdyż znów stracił on tron na rzecz Bogdana, który zebrał „zgraje łotrów i opryszków", jak stwierdzał Jan Długosz.

Król i jego rada zastanawiali się nad zaprowadzeniem porządku w hospodarstwie mołdawskim, południowy sąsiad powinien być bowiem stabilny i przewidywalny. Zastanawiano się nawet nad wcieleniem hospodarstwa do Polski. W roku 1450 polskie oddziały pod wodzą Piotra Odrowąża weszły w granice hospodarstwa, ale nie pokonały Bogdana II, tym bardziej nie było mowy o inkorporacji hospodarstwa. Bogdan nie nacieszył się długo sukcesem. Zginął w zasadzce urządzonej przez przyrodniego brata – Piotra III Arona, nieślubnego syna Aleksandra Dobrego, gdy hospodar „winem był rozmarzony, napadł na niego w noc późną, schwytał i ściął mu głowę" – relacjonował Jan Długosz.

Piotr Aron miał się podzielić państwem z Aleksandrem, jednak nie zamierzał ustąpić bratankowi, który musiał uciekać do Polski, gdyż „byłoby go to samo spotkało co Bogdana". Aleksander trzy razy obejmował władzę, jednak ostatnie jego panowanie trwało niewiele ponad miesiąc. Jan Długosz pisał, że hospodar „oddał się szalonej rozpuście, pijaństwu i srogości", nic też dziwnego, że został „od tych, którym, jak mówiono, żony i córki posromocił, trucizną zgładzony", jednak najpewniej zmarł, oczekując ponownie na polską pomoc.

Piotr Aron wrócił na tron, ale został wygnany przez bratanka – Stefana, syna zamordowanego przez siebie Bogdana II. Po latach Stefan pomścił śmierć ojca, mordując Piotra Arona jako niebezpiecznego konkurenta do tronu.

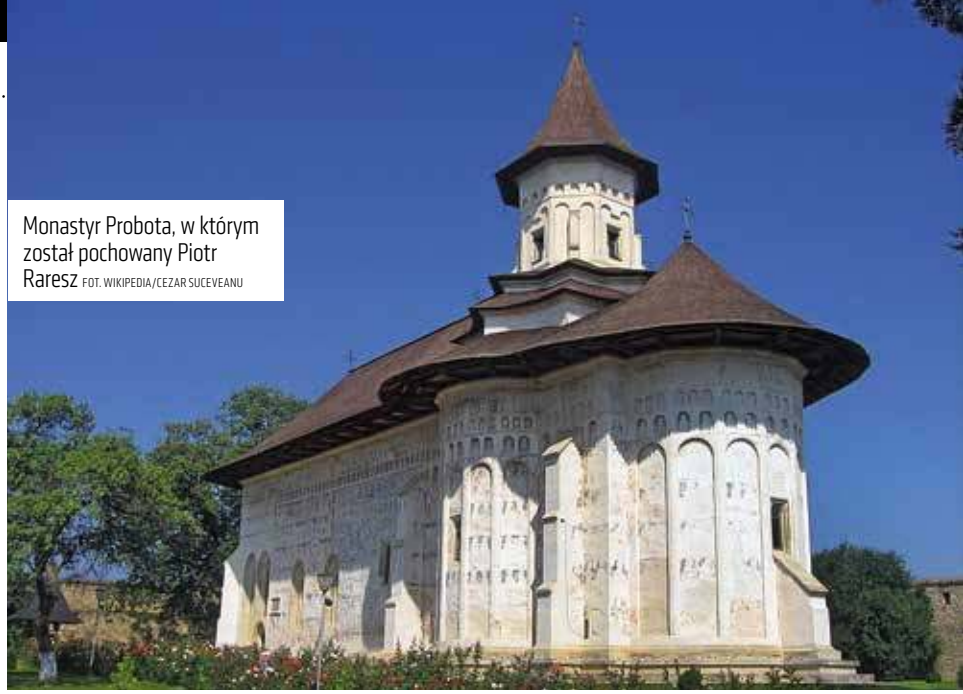


Stefan III Wielki FOT. WIKIPEDIA

Wielki hospodar

Stefan III, któremu nadano później miano Wielki, objął władzę dzięki pomocy hospodara wołoskiego, osławionego Włada Palownika (Drakuli), władcy przerażająco okrutnego, ale i wybitnego. Długie panowanie Stefana III trwające ponad 40 lat, od roku 1453 do 1504, to czas umacniania się struktur państwa – mimo wojen – a Stefan był nieprzeciętnym wodzem oraz politykiem. Walczył z powodzeniem z Tatarami, Węgrami, a także z Turkami, osadził swego kandydata na tronie hospodarstwa wołoskiego. Ubiegał się o polską pomoc, jednak uchylał się od złożenia hołdu Kazimierzowi Jagiellończykowi, który dwukrotnie na próżno czekał na przybycie hospodara. Król, wbrew opinii swojej rady, nie wierzył, że hospodar Stefan jest poważnie zagrożony przez sułtana, albo udawał, że wierzy, nie chcąc zaangażować Rzeczypospolitej w konflikt

eprasa.pl ede0eab6fd



Monastyr Probota, w którym został pochowany Piotr Raresz FOT. WIKIPEDIA/CEZAR SUCEVEANU

z imperium ottomańskim. Wysłał natomiast poselstwo do Stambułu z oświadczeniem, aby, jak pisał Długosz: „Dał pokój wojewodzie [hospodarowi – przyp. T.S.], gdyż inaczej przy nim stać musi", co sugerowało wsparcie zbrojne. Były to jednak tylko słowa. Stefan nie uzyskał tak dużej pomocy, jakiej potrzebował, chociaż przecież kilka tysięcy Polaków walczyło przeciw Turkom w latach 1475–1476. Hospodar najpierw ich pokonał, potem jednak poniósł porażkę i tylko głód (wynik taktyki spalonej ziemi) oraz zaraza, które dopadły żołnierzy sułtana, uratowały Stefana przed kompletną klęską. W 1484 r. Turcja opanowała porty Białogród i Kilię, odcinając hospodarstwo od Morza Czarnego.

Stefan III zdecydował się w końcu na hołd w Kołomyi, w 1485 r. Dumny hospodar domagał się, by ceremonia ta nie odbyła się publicznie. Urządzono ją wobec tego w namiocie. Ale w kluczowej chwili ściany namiotu opadły... Został upokorzony, otrzymał jednak pomoc: 3 tys. żołnierzy, dzięki którym wyparł wojska sułtana, nie odzyskał już jednak czarnomorskich portów.

Za króla Olbrachta

W 1497 r. król Jan Olbracht podjął próbę co najmniej podporządkowania sobie hospodarstwa mołdawskiego, pod pretekstem wyprawy w celu odebrania Turkom Białogrodu i Kilii, a zapewne planował osadzenie na tronie swego brata Zygmunta. Interesy rodzinne współgrały z racją stanu. Opanowanie Mołdawii, a także portów w Białogrodzie i Kilii, oznaczałoby rozerwanie łączności między Turcją i Chanatem Krymskim i dużą korzyść dla polskiego handlu. Hospodar zorientował się, że jego sytuacja jest groźba, gdyż wojsko Olbrachta nie szło najprostszą drogą ku portom, przez Kamieniec Podolski, tylko przez Pokucie, na jego stolicę. Nie powiodło się jednak oblężenie Suczawy – stolicy hospodarstwa, a podczas odwrotu wojsko polskie poniosło klęskę, pobite przez Stefana Wielkiego w lasach bukowińskich. Ówczesne powiedzenie „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta" z dużą przesadą malowało poniesione straty ludzkie. Znacznie poważniejsze były szkody polityczne. Po fatalnie zakończonej interwencji mołdawskiej zaczęły się pierwsze ataki tureckie na Rzeczpospolitą, w których brało udział wojsko hospodara. Nie przeszkadzało mu to napaść na wracających z łupami Turków, których zaatakowali jego żołnierze w polskich strojach.

W 1499 r. Stefan Wielki zawarł pokój z Janem Olbrachtem. Nie występował odtąd jako lennik króla polskiego, jednak z drugiej strony oddalone zostały kategorycznie jego roszczenia wobec Pokucia. Mając Rzeczpospolitą i Turcję za sąsiadów, hospodar prowadził politykę streszczającą się w przypisywanym mu powiedzeniu: „Rzuciłem kość między dwa psy, niech się o nią gryzą, zobaczę, który weźmie górę, ten będzie moim panem".

Ofiarą porozumienia hospodara z polskim królem stał się Eliasz, syn Piotra Arona zabitego przez Stefana, usiłujący odebrać mu tron. Stefan zażądał od Jana Olbrachta wydania pretendenta. Król uznał, że nie może tego uczynić, gdyż byłoby to niehonorowe, postanowił więc w imię pojednania ze Stefanem ściąć Eliasza. Mimo tego gestu Stefan zajął w 1503 r. Pokucie, jednak ziemię tę opanował chwilowo.

Inicjatywa związku z Rzecząpospolitą wyszła od jego syna Bogdana III Jednookiego, zwanego też Ślepym. Hospodar chciał przypieczętować sojusz poprzez małżeństwo z Elżbietą Jagiellonką, siostrą króla Aleksandra. Liczył też, że dostanie ona w posagu sporne Pokucie. Na przeszkodzie stanęła duma rodowa matki dzieci Kazimierza Jagiellończyka, z domu Habsburżanki. Była poza tym przeciwna małżeństwu córki z powodu różnicy wiary i obyczajów. Po śmierci królowej matki hospodar ponowił starania i zyskał przyrzeczenie Aleksandra, że odda mu siostrę za żonę, lecz Elżbieta odmówiła wyjścia za mąż, gdyż „Bogdan chłop był sprośny i jednooki, przeto się pannie nie podobał".

Upokorzony hospodar rozpoczął wojnę z Rzecząpospolitą, wtargnął na Podole w 1506 r., trzy lata później szturmował bez powodzenia Kamieniec Podolski, Halicz i dotarł aż do Lwowa, który także się obronił. Polska kontrakcja wyrzuciła wojska mołdawskie za graniczny Dniestr, hetman Mikołaj Kamieniecki naciągnął pod Suczawę, jednak jej nie zdobył, dokonał za to rewanżu ogniem i mieczem za spustoszenia, których dokonało wojsko hospodara na ziemiach Rzeczypospolitej. Stanął wreszcie pokój, a jednym z jego postanowień było oddanie przez hospodara listu króla Aleksandra obiecującego mu swoją siostrę jako żonę.

Źródłem nieporozumień między Stefanem IV, synem i następcą Jednookiego, a Polską, była kwestia polityki wobec Turcji. Młody porywczy hospodar pragnął konfrontacji zbrojnej z imperium ottomańskim, chcąc zrzucić od niego zależność, w sojuszu z Rzeczypospolią, jednak Zygmunt Stary nie kwapił się z rozpoczęciem konfliktu ze Stambułem. Nie bacząc na to, hospodar Stefan wszedł na wojenną ścieżkę, popierając Węgry w walce z Turkami. Była to fatalna decyzja, gdyż w 1526 r. wojsko węgierskie poniosło straszliwą klęskę pod Mohaczem, gdzie zginął król Ludwik Jagiellończyk. W następnym roku Stefan zmarł, prawdopodobnie otruty.

Piotr Raresz, nieślubny syn Stefana Wielkiego, zwany Petryłą, zanim zasiadł na tronie po Stefanie, przebywał w Polsce

eprasa.pl ede0eab6fd

i na życzenie Bogdana III, swojego przyrodniego brata, był więziony w Malborku. Nie mogło go to dobrze nastawiać do Zygmunta Starego, a poza tym miał do niego inną urazę. Po śmierci swojej ciotki, żony księcia Fiodora Wiśniowieckiego, zażądał od niego wydania mu ciała zmarłej, wraz z jej majątkiem. Wiśniowiecki wysłał trumnę hospodarowi, lecz zatrzymał skarbiec pozostały po żonie. Mołdawski władca odwołał się do sądu króla i przegrał.

W polityce nie kierował się jednak uprzedzeniami, lecz chęcią uniezależnienia się od wielkich sąsiadów, był zatem kontynuatorem zamiarów swojego ojca. Usiłował prowadzić politykę antyturecką, ale później zaatakował Rzeczpospolitą, paląc Kołomyję i Śniatyn oraz zagarniając Pokucie. Na krótko, gdyż poniósł spektakularną klęskę pod Obertynem w 1531 r., pokonany przez hetmana Jana Tarnowskiego, który wypadem z obronnego taboru pobił i zmusił do ucieczki trzykrotnie liczniejsze wojsko hospodara.

Kilka lat później, w 1538 r., Raresz – pragnąc przyłączyć Pokucie do hospodarstwa – wkroczył w granicę Rzeczypospolitej i nad Seretem wziął mały rewanż za Oberżyn, musiał bronić się jednak później przed Tarnowskim i zaskoczony pod Chocimiem – poprosił o zawarcie pokoju. Awantura z Polską skończyła się fatalnie dla Raresza, gdyż żołnierze sułtana Sulejmana I Wspaniałego w tym samym roku zajęli Suczawę, a hospodar musiał uciekać ze swego kraju. Bojarzy zamordowali jego następcę, bratanka Stefana V Szarańczę, nominowanego przez Turcję, ponieważ był zbyt uległy wobec sułtana. Osmański władca nie zamierzał puścić płazem zgładzenia swego protegowanego i oburzył się na samodzielne wyniesienie przez bojarów na tron Aleksandra Cornei, syna straconego w Polsce Eliasza i wnuka Piotra Arona (lub syna Bogdana Ślepego). Sułtan wspomógł więc Raresza – który uzyskał jego przebaczenie – i kazał odesłać obalonego po kilku miesiącach hospodara Corneę do Stambułu. „Zdawało się mu się – pisał o Rareszu Aleksander Morgenbesser, autor »Przyczynku do dziejów Mołdawii« – dla siebie bezpieczniej zająć się losem tego człowieka". W roku 1541 Raresz, zdobywszy tron, kazał Corneę zamordować, a głowy ściętych bojarów, którzy go zdradzili, odesłał do Stambułu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pamięć Sybiru



Tomasz Stańczyk

Muzeum Pamięci Sybiru, które otworzyło wystawę stałą 17 września tego roku, to kolejny ważny filar wspierający pamięć o naszej historii

Lokalizacja muzeum – instytucji miejskiej – nie mogła być lepsza. Białystok był jedynym dużym miastem, które po 17 września 1939 r. było okupowane przez sowiecką Rosję, a obecnie znajduje się w Polsce. Białystok był jednym z miejsc, z których wywożono deportowanych z Kresów Wschodnich, głównie Polaków, ale i tych polskich obywateli innych narodowości, także uznanych za „wrogów ludu".

Muzeum powstało w nieprzypadkowym miejscu, obok bocznicy kolejowej, z której odjeżdżały transporty deportowanych. Teraz z bocznicy tory prowadzą do części muzeum – dawnego magazynu, w którym stacjonowali żołnierze sowieccy. Pod dachem stoi autentyczny sowiecki wagon towarowy, taki jak te, do których ładowano deportowanych. Przez ten wagon przechodzi się do znakomicie zrealizowanej wystawy stałej. Ma ona charakter narracyjny, opowiada zarówno losy zbiorowości, jak i konkretnych ludzi. Na zwiedzającego patrzą powiększone ze zdjęć twarze deportowanych, w niszach odsłuchań można usłyszeć ich relacje.

Ekspozycja zaczyna się od przedstawienia codzienności ludzi, zanim ich wypędzono. Wśród rzeczy, które zabrali ze sobą w podróż w nieznane, są prezentowane i te praktyczne, i te osobiste, jak zdjęcia rodzinne, obrazki z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Jest też pluszowy miś Reni Jackowskiej spod Lwowa, która po opuszczeniu nieludzkiej ziemi, wyjeżdżając do Anglii, oddała go na pamiątkę koleżance Basi Świderskiej.

Na pierwsze piętro idzie się schodami, widnieją na nich nazwy miejscowości, do których docierali deportowani. W sali o białych ścianach, z konturami drzew – zimowa tajga – jest nieco niższa temperatura niż gdzie indziej, tak sygnalizowany jest surowy syberyjski klimat.

Ekspozycja poświęcona jest przede wszystkim deportowanym w latach 1940–1941 i wywiezionym w 1944 r. żołnierzom antykomunistycznego podziemia. Ale opowiada także o Sybirze carów. O zesłanych uczestnikach powstań narodowościowych, ruchów niepodległościowych i socjalistycznych. Pokazany jest wkład Polaków w badanie i rozwój Syberii. Ta ogromna kraina zawiera w sobie nie tylko losy zesłańców, lecz także emigrantów za chlebem, chłopów, którzy dostawali na Syberii więcej ziemi, niż mieli u siebie. Syberyjski Białystok to wieś założona przez chłopów z guberni grodzieńskiej. Jej mieszkańcy stali się ofiarami (nie)ludzkiej operacji polskiej NKWD w 1937 r.

Wystawa mówi nie tylko o losach i szlaku bojowym żołnierzy Armii Polskiej w ZSRS gen. Władysława Andersa, lecz także o tych, którzy do niej nie zdążyli i znaleźli się pod komendą Zygmunta Berlinga. Nie można bowiem nie pamiętać, że żołnierze „berlingowcy" walczący pod Lenino to niedawni zesłańcy, łagiernicy i więźniowie. Zanim założyli mundury, dzielili ten sam los z „andersowcami".

Dziękuję Komisji Syberyjskiej PAN za umożliwienie wzięcia udziału w wizycie studyjnej w Muzeum Pamięci Sybiru. ©℗

eprasa.pl ede0eab6fd



Najazd mongolski na Węgry 1241–1242
FOT. DOMENA PUBLICZNA

11 kwietnia 1241 r. / Rzeź na równinie Mohi nad rzeką Sojó

Batu-chan gromi Belę IV



Maciej Rosalak

Dwa dni po naszej klęsce pod Legnicą znacznie większe siły Mongołów zadały klęskę wojskom Królestwa Węgier

Podczas wielkiej 150-tysięcznej wyprawy Mongołów na Zachód, którą w 1236 r. poprowadził Batu-chan, wnuk Czyngis-chana, najeźdźcy pokonali nad Kamą bitnych Bułgarów Wołżańskich, a następnie kipczackich Kumanów i Połowców. Od 1237 r. zdobywali w paru etapach (Riazań, Kołyma, Moskwa, Włodzimierz, Suzdal...) ogromną Ruś, wyrzynając, rabując i paląc te grody, które nie chciały się przed Batu-chanem upokorzyć, a te, które oddały mu hołd, obarczając ogromnymi daninami. Historycznie stołeczny Kijów zajęli i zniszczyli w 1240 r. Następnie skoncentrowali swe siły na terenie księstw włodzimiersko-halickich u granic dwóch krain zachodnioeuropejskich – podzielonej na dzielnice Polski i znacznie silniejszego od niej Królestwa Węgier.

Warto przypomnieć, że trzy wieki wcześniej Madziarowie sami byli koczownikami ze wchodu, którzy zajęli Nizinę Panońską i stamtąd dokonywali łupieżczych wypraw na bogate ziemie niemieckie. Niespełna 20 lat po pokona-

eprasa.pl ede0eab6fd



Batu-chan FOT. DOMENA PUBLICZNA



Bela IV FOT. WIKIPEDIA

niu ich w 955 r. przez Ottona I madziarski książę Gejza poszedł po rozum do głowy i poprosił cesarza o pokój i pomoc w chrystianizacji Węgier. Już za jego syna Stefana Węgry stały się krajem w pełni chrześcijańskim, cywilizowanym i silnym, o tak dużych osiągnięciach wewnętrznych i zewnętrznych, że zarówno cesarz Otton III, jak i papież Sylwester II zgodzili się na królewską koronację Stefana – i to w sam początek nowego millennium (83 lata później król ten został kanonizowany). Od jego czasów węgierskie państwo poza obecnym terytorium obejmowało – ogólnie biorąc – ziemie dzisiejszej Słowacji, rumuńskiego Siedmiogrodu, Chorwacji i Słowenii, a także serbskiej dziś Wojwodiny. Na północy opierało się o Tatry, na wschodzie o Karpaty Wschodnie, na zachodzie – o rzekę Litawię, będącą do dziś granicą z Austrią, a na południu docierało do Adriatyku i Żelaznych Wrót Dunaju.

Natomiast włości Mongołów tworzyły wtedy najrozleglejsze imperium w historii – od chińskich wybrzeży Pacyfiku na wschodzie do Karpat na zachodzie, i od syberyjskiej tajgi na północy do Himalajów i Iranu na południu. Wprawdzie po śmierci Czyngis-chana było ono coraz bardziej podzielone na ułusy przyznane jego trzem synom z czterech pierwszej żony Börte – oraz wnukowi Batu, który dostał przydział swego ojca Dżoczego (zmarł nagle przed Czyngisem w 1227 r.) – ale świadomość mongolskiej wspólnoty istniała.

Na marginesie: Batu nienawidził ze wzajemnością szczególnie Czagataja, który na kurułtaju (zjeździe możnych) nazwał Dżoczego merkickim podrzutkiem, bo Börte wróciła z niewoli u Merkitów już brzemienna (choć Czyngis uznał jej pierworodnego syna za swego). Tytuł wielkiego chana i zachodnią Mongolię oraz Dżungarię odziedziczył wtedy Ugedej, środkową Azję – Czagataj, a najmłodszy Tołuj – wschodnią Mongolię, gdzie urodził się tatuś, oraz podbite dotąd północne Chiny. Batu zaś – po Dżoczim – Syberię od Irtyszu do Uralu. Każdy z synalków i jego z kolei pociechy starali się oczywiście jak najdalej rozszerzyć swoje włości. Już po śmierci Czyngis-chana padły np. reszta Chin i kalifat bagdadzki. A Batu poszedł dalej na zachód, zapraszając na wyprawę potomków swych stryjów, poza tymi z linii Czagataja…

Synowie Tartaru

Mongołowie – zwani u nas Tatarami od jednego z plemion Wielkiego Stepu oraz od mitycznego piekła Tartaru – z zamiłowaniem i wprawą strzelali z łuków refleksyjnych (kompozytowych). Mające starożytną tradycję, wykonane z kilku warstw drewna, kości, rogu i ścięgien zapewniały znacznie większą siłę przebicia od prostych łuków europejskich. Do zestawu broni zaczepnej wchodziły jeszcze szabla, maczuga i nahajka. Cała armia, złożona ze wszystkich zdolnych do boju mężczyzn od pokoleń żyjących z hodowli koni i rozboju, ze wszystkich zjednoczonych przez Czyngis-chana plemion Wielkiego Stepu, niebywale zdyscyplinowana i świetnie zorganizowana, poruszała się i walczyła konno. Liczni jeźdźcy formacji cięższych wdziewali także kolczugi, pancerze i hełmy. Armię tworzyli wyłącznie jeźdźcy, zdolni pokonywać 100 km dziennie, podzieleni na mniej więcej tysięczne mingany, a te tworzyły liczące 10 tys. wojowników tümeny.

Od Chińczyków ci nomadzi nauczyli się stosować gazy bojowe i pociski wypełnione prochem, co budziło przerażenie koni i ludzi w polu oraz obrońców oblegancych miast. Wielkie zgrupowania ich konnicy potrafiły pozorowanymi ucieczkami wciągnąć przeciwnika w pułapkę, sprawnie zmienić front i skutecznie uderzyć. W walce cel uświęcał wszelkie – zaskakujące dla rycerstwa zachodnioeuropejskiego – środki, ze zdradzieckimi ciosami w plecy i rzucaniem się hurmem na osaczonego rycerza.

Starcie zbrojne poprzedzało wnikliwe rozpoznanie sytuacji atakowanego kraju, jego sił oraz sojuszników gotowych go wspomóc. Czy Batu i znakomity, choć już 60-letni dowódca mongolski Subedej wiedzieli, jak bliskie były powiązania rodzinne śląskiego księcia Henryka Pobożnego z węgierskim królem Belą IV, czy też ruszyli na Polskę, bo stanowiła po prostu potencjalne zagrożenie jako najbliższy sąsiad Węgier – nie wiemy. A przypomnijmy, że obaj władcy byli braćmi ciotecznymi, gdyż urodziły ich rodzone siostry: Jadwiga z Andechs (matka Henryka Pobożnego, z którą ożenił się Henryk Brodaty, późniejsza święta Jadwiga) oraz Gertruda (żona węgierskiego króla Andrzeja II, która powiła mu Belę). A jeszcze przy drodze na Wrocław – w Krakowie – rządził Bolesław Wstydliwy, za którego Bela IV wydał własną córkę Kunegundę (czyli naszą dziewicę Kingę beatyfikowaną w 1690 r., a kanonizowaną w 1999 r.).

Wywiad tatarski musiał z pewnością donieść, jak nęcącym celem ataku – w porównaniu z ówczesnymi księstwami polskimi – są dla Mongołów ziemie Korony św. Stefana. Zwłaszcza zielona, przestronna, położona w ciepłym klimacie, jakby stworzona nomadom do osiedlenia się Nizina Panońska oraz zasobne grody z Budą i Pesztem stanowiły atrakcyjny łup. Zwiadowcy poinformowali też oczywiście o znacznie większym od polskiego potencjale militarnym Węgier. Obydwie te okoliczności zadecydowały zapewne, że główne uderzenie tatarskie poszło na Madziarów, a Polaków miał zneutralizować na północ od Karpat słabszy, ale wystarczający do tego celu zagon.

Armia Batu-chana ruszyła w lutym 1241 r. W ciągu półtora miesiąca przeszła od Dniestru przez Odrę i Dunaj, niszcząc południe Polski i zajmując dwie trzecie powierzchni Węgier. Pokonała nieszczęsnych rycerzy polskich oraz węgierskich, a odeszła, pozostawiając za sobą spalone wioski i grody oraz morze krwi i łez. A oto ordre de bataille Mongołów:

eprasa.pl ede0eab6fd



Mongołowie porywają na Węgrzech ludność w niewolę. Niżej: szabla mongolskiej kawalerii

FOT. DOMENA PUBLICZNA, MONGOLSKIE MUZEUM WOJSKOWE

– północne zgrupowanie dwóch tümenów uderzyło pod wodzą Bajdara na ziemie polskie i po kilku klęskach rycerstwa polskiego (m.in. pod Chmielnikiem, Tarczkiem i Opolem) zajęło i zniszczyło Sandomierz, Kraków, Wrocław, a w końcu zadało 9 kwietnia decydujący cios pod Legnicą, gdzie zginął Henryk Pobożny;

– łącznie dziewięć tümenów trzema zgrupowaniami ruszyło przeciw Królestwu Węgier, bez większego trudu pokonując fortyfikacje i zwyciężając obrońców karpackich przełęczy. Z tych zgrupowań:

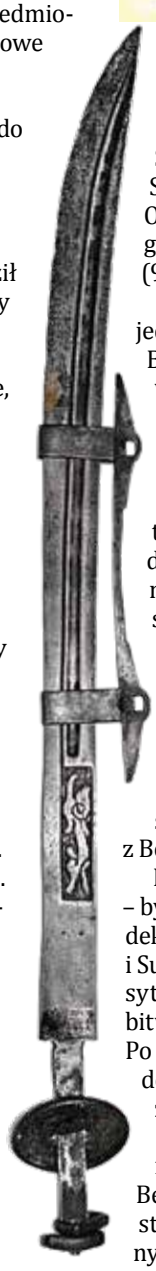
* wschodnie dowodzone przez Kagana (trzy tümeny) po pobiciu sił w Siedmiogrodzie stanowiło lewe, południowe skrzydło wojsk mongolskich;

* zachodnie (dwa tümeny) wkroczyło pod wodzą Szejbana do północnych Węgier (dziś ziemie słowackie) i stanowiło osłonę wojsk od północy – do terenów Czech i Austrii;

* środkowe – którym dowodził Batu z Subedejem – liczyło cztery tümeny i po przejściu spod Halicza przez przełęcze karpackie już 15 marca stanęło w Aszodzie, niespełna 40 km od Pesztu. To właśnie wojsko miało stoczyć walną bitwę z armią Beli IV.

Wilki nad Sojó

Do bitwy doszło sto kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od Pesztu, na równinie Mohi nad rzeką Sojó, w okolicy Miszkolca. Król Bela IV przyprowadził tu pospolite ruszenie – w tym 15 tys. doborowych rycerzy, z walczącymi na śmierć i życie templariuszami włącznie. Razem, jak się szacuje, ok. 70 tys. zbrojnych. Siły mongolskie Batu-chana ocenia się na ok. 50 tys. (dołączyły posiłki od Szejbana). Król usiłował też sprowadzić pomoc z zewnątrz. Ale ani cesarz Fryderyk II, ani papież Grzegorz IX nie odpowiedzieli na jego listy, polscy kuzyni sami nie mogli się uporać z mongolskim najazdem, a król czeski Wacław I postanowił nie ruszać się z 50-tysięcznym wojskiem. O marcowych klęskach siedmiogrodzkich lenników król już się dowiedział – zwłaszcza o przegranej pod zasiedlonym przez Sasów miastem Hermannstadt (dziś Sybin w rumuńskim Siedmiogrodzie). O śmierci śląskiego brata cioteczne-go Henryka Pobożnego pod Legnicą (9 kwietnia) jeszcze wiedzieć nie mógł.



Na apele o pomoc zareagował jedynie książę Austrii – Fryderyk II Bitny Babenberg. Ten jednak samowolnie i przedwcześnie rozpoczął działania zaczepne. Co gorsza, schwytany przez niego jeniec okazał się Połowcem, który został rychło zamordowany przez wzburzony tłum, podejrzewający (nie bez powodów) Połowców o zdradę. Koczownicy nadczarnomorscy opuścili wtedy szeregi węgierskie. A Fryderyk II nie tylko odejdzie od Beli, lecz także go uwięzi, gdy ten poszuka u niego schronienia po klęsce, a jako okup będzie bezlitośnie ściągał podatki z ziem, których nie zajmą Tatarzy. Na szczęście już w 1246 r. spotka go sprawiedliwość, gdy zginie w bitwie z Belą IV nad Litawą.

Paradoksem – ale tylko pozornym – był na przełomie pierwszej i drugiej dekady kwietnia 1241 r. fakt, że Batu i Subedej lepiej się orientowali w ogólnej sytuacji w wojnie oraz już na polu walnej bitwy niż węgierscy gospodarze terenu. Po prostu byli fachowcami z twardej szkoły Wielkiego Stepu i wojen z ogromnymi oraz rozwiniętymi państwami azjatyckimi – Chinami i Chorezmem. Kiedy 9 kwietnia armia Beli opuściła dogodne pozycje po obu stronach Dunaju i podążyła na północny wschód, spodziewając się szybkiego starcia z wrogiem, ten cofał się wystarczająco daleko, aby znaleźć sprzyjające mu warunki terenowe. I tak armia węgierska trafiła wieczorem 10 kwietnia nad rzekę Sajó i rozbiła obóz na równinie zwanej Mohi. Dookoła czekały na nią w ciemnościach, niby stado wilków, oddziały Mongołów.

Na ranem Węgrów obudził potworny huk wybuchów, płomienie ogarniające spięte łańcuchami wozy okalające obóz, krzyk ludzi rozrywanych pociskami. Ów nieznany w Europie sposób prowadzenia bitwy już na samym jej początku wprowadził zamęt i panikę w węgierskie szeregi. Gdy hufiec rycerzy – z powodzeniem zresztą – odparł Tatarów z przyczółku mostu zajętego przez Madziarów poprzedniego dnia, zaraz ukazały się znaczne siły wroga, które węgierski kontratak udaremniły. Wojownicy pod wodzą Batu nacierali potem na obóz, aby walką związać rycerzy od frontu, a tymczasem nomadzi prowadzeni przez Subedeja – którzy jeszcze nocą przeprawili się brodem w dole rzeki – uderzyli od skrzydła.

Natarcia mongolskie na ściśniętych w obozie przeciwników rycerze odpierali. Natomiast ponawiany ostrzał prochowych pocisków wybuchowych, gazów trujących i zapalających cieczy rzeczywiście pozbawił chęci do walki zbrojnych z pospolitego ruszenia. Pilnie obserwujący wydarzenia wodzowie mongolscy doskonale wyczuli moment, gdy Węgrzy – wcześniej gotowi do boju w obronie ojczyzny – zamienili się w ogarnięty strachem tłum. Oblegający utworzyli w swoich szykach jakby korytarz wiodący przerażonych ludzi z piekła, a ci rzucili się weń w bezładnym tumulcie.

eprasa.pl ede0eab6fd

Na to czekają wilki osaczające stado – i na to czekali Mongołowie. Droga ucieczki wiodła dość wąskim wąwozem i tu najeźdźcy rozpoczęli potworną rzeź. Tuż pod obozem i dalej droga wiodąca do Pesztu została usłana ciałami ofiar. Szacuje się, że zginęło 60 tys. Węgrów i tylko 5 tys. wrogów.

Król Bela ocalał, gdyż wyrąbali mu drogę wierni do śmierci rycerze. Tu – tak jak pod Legnicą – zginęli wszyscy templariusze, bracia rycerskiego zakonu, którzy nigdy nie prosili o litość. Nie okazano by jej zresztą. Tatarzy wymordowali wszystkich jeńców. Z matni wyrwał się też królewski brat Koloman, lecz wkrótce zmarł skutkiem ran odniesionych w bitwie. Niedługo padł i został spalony Peszt. Buda broniła się aż do następnego roku.

Natomiast chłopom madziarskim, których Tatarzy traktowali jak właśnie odnalezionych, dawnych braci z Wielkiego Stepu, żyło się przy tych okupantach na pewno lepiej niż przy okupantach z Austrii, w rękach chciwego Fryderyka II. Tatarom płacili jak dawniej podatki, odrabiali pańszczyznę, ale podczas ich ośmiomiesięcznej okupacji nie narzekali. Odwrotnie niż liczna ludność słowiańska, niemiecka czy wołoska, mordowana, grabiona i brana w niewolę. To samo zresztą spotkało w końcu i Madziarów, gdy Mongołowie nagle zwinęli swe obozowiska, a tych madziarskich „braci", którzy nadawali się do pracy, popędzili jako niewolników w drogę, a chorych, starców i małe dzieci zabijali.

Powodem okazał się – jak 500 lat później „cud domu brandenburskiego" – „cud Arpadów". Zmarł mianowicie w grudniu 1241 r. wielki chan Ugedej, a gdy Batu dowiedział się o tym w marcu 1242 r., natychmiast podążył na kurułtaj decydujący o dalszym, również jego, losie.

Cóż, ocalał, rozwinął swój ułus – czyli Złotą Ordę – założył nad Wołgą jego stolicę, Saraj. Ruś zaś związał z Mongołami jarłykiem – każdorazowym nadawaniem prawa do własnego księstwa i do egzekwowania należnych Mongołom danin, przyznawanym wedle widzimisię chana temu lub tamtemu ruskiemu książątku. Podejrzewanym o cokolwiek kazał się wieszać. Królestwo Węgier parę wieków walczyło z inwazją Turków osmańskich na Europę, w pełni zasługując na miano antemurale christianitatis.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Żelazna osiemnastka



Maciej Rosalak

Rodaków niepokoją wiadomości znad granicy z Białorusią. Często powtarza się w nich jednak krzepiąco brzmiąca nazwa: „Żelazna 18. Dywizja". Nie wszyscy wiedzą, od kiedy ów związek taktyczny Wojska Polskiego nosi taką nazwę, czym i kiedy na nią zasłużył. Starsi nie dowiedzieli się w epoce PRL, kolejne pokolenie wychowywało się wedle pedagogiki wstydu, a dorastająca generacja na ogół w ogóle niczego nie czyta. A dowiedziałaby się o najbardziej dramatycznych zmaganiach sprzed ponad wieku podczas wojny z bolszewikami, o nieco wcześniejszej miłości oraz małżeństwie Czecha i Polki, o honorze i męstwie żołnierza, i o wojennym kunszcie, który wykazał.

Chodzi o gen. Franciszka Krajowskiego – wcześniej Františka Králíčka – który w końcu listopada 1918 r. wrócił z armii austro-węgierskiej do żony. Była nią Teodozja z domu Janeczek, którą poznał w latach 90. XIX w. podczas służby na Podkarpaciu (syn Wielisław Bohdan wkrótce sam zostanie polskim oficerem). Generał przyjął polskie obywatelstwo i nazwisko, założył polski mundur i ruszył na front. Wojował za Polskę najpierw z Ukraińcami, a od końca 1919 r. z bolszewikami. Podczas wyprawy kijowskiej dowodził już 18. Dywizją Piechoty WP, złożoną z wielkopolan i żołnierzy Błękitnej Armii. To pod jego dowództwem nazwano ją wkrótce „Żelazną". Walczyła z początku w ramach 2. Armii gen. Antoniego Listowskiego, a następnie 6. Armii gen. Wacława Iwaszkiewicza. Podczas ofensywy szła na ogół w awangardzie, a podczas odwrotu – w ariergardzie. Zawsze na najtrudniejszych odcinkach i w najkrwawszych bojach, zawsze nieugięta. Do historii przeszły jej walki przeciw 1. Armii Konnej Budionnego, szczególnie zaś pod Brodami i Beresteczkiem, gdzie na przełomie lipca i sierpnia opór 18. Dywizji nie tylko osłonił Lwów, lecz także pozwolił w końcu – wraz z innymi dywizjami WP – na osaczenie owej dzikiej jazdy. Dziś w Brodach próżno szukać śladu tych wydarzeń. Jest za to ul. Stepana Bandery.

Natomiast ulica imienia gen. Krajowskiego znajduje się obecnie w Mławie, którą odbił 21 sierpnia 1920 r. z rąk bolszewików, kiedy w ramach polskiej kontrofensywy wymiatał północne Mazowsze z morderców i gwałcicieli konnicy Gaj-chana. Spod Brodów bowiem w trybie nagłym przewieziono „Żelazną" na północ, do 5. Armii gen. Władysława Sikorskiego. Przed wojną stał się też patronem jednej z głównych ulic Pińska, który podczas bitwy nadniemeńskiej zdobył na czele dużej grupy operacyjnej złożonej z 18. DP, 17. DP, Zgrupowania Stanisława Bułak-Bałachowicza, 214. pułku ułanów, brygady kozaków dońskich i oddziału samochodów pancernych. 28–29 września grupa ta – po uderzeniu z Wołynia i przekroczeniu Prypeci – rozbiła oddziały 4. armii bolszewickiej, wzięła do niewoli jej sztab z kasą o zawartości 50 mln rubli carskich, na stacji kolejowej w Janowie zajęła dwa pociągi z amunicją, wzięła 8 tys. jeńców, masę różnorodnego sprzętu, mundury, obuwie i 100 nowych karabinów maszynowych. Kamień pamiątkowy, popiersie i ulicę ofiarował generałowi Terespol nad granicą białoruską, na którego terenie znajdowała się Krajówka, którą założył, zagospodarował i gdzie umarł w listopadzie 1932 r. Przypomniał o tym niedawno gen. Jarosław Gromadziński – dowódca 18. Dywizji Zmechanizowanej w Siedlcach, której gen. Franciszek Krajowski (František Králíček) jest patronem… © Ⓟ

eprasa.pl ede0eab6fd

Grecy w brąz zakuci



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Już w okresie przedklasycznym kontynentalni Grecy znani byli z produkcji zaawansowanego rynsztunku ochronnego. Najbardziej efektownym przykładem jest zbroja znaleziona w miejscowości Dendra, związana z cywilizacją mykeńską

Jest to pełny pancerz płytowy, w którym zastosowano zaawansowaną technikę łączenia blach. Korpus chroniono dwuczęściowym kirysem, który zaopatrzony był w wysoką okrągłą osłonę zakrywającą część głowy oraz naramienniki. Do kirysu przymocowane były od pasa w dół profilowane szerokie pierścienie (dwuczęściowe), ułożone w trzy poziomy. Całość okrywała ciało wojownika do wysokości kolan. Niewykluczone, że dodatkowo stosowano nagolenniki, oraz osłony przedramion. Ze względu na ciężar tej zbroi i mocno ograniczoną możliwość ruchów prawdopodobnie zbroje tego typu były używane przez wojowników walczących z rydwanu.

Wydaje się, że wyszły one z użycia ok. 1200 r. p.n.e., a ich miejsce zajęły brązowe kirysy składające się z napierśnika i naplecznika połączonych rzemieniami. Kirysy te cechowały się słabo jeszcze wyprofilowanym wzorem męskiej muskulatury. Z tego typu zbroi wykształci się słynny pancerz dzwonowaty, którego najefektowniejszym okazem jest znalezisko z Argos, datowane na połowę VIII w. p.n.e. Funkcjonowało kilka typów osłon głowy; jedną z nich był hełm z kłów dzika. Wyprofilowane kły przymocowywano pionowo w kilku poziomach do skórzanej czapeczki; niektóre egzemplarze wyposażone są w osłonę szyi, policzków i podbródka. Zdecydowanie częściej używano zapewne hełmów brązowych, przynajmniej w schyłkowym okresie mykeńskim (koniec II tysiąclecia p.n.e.). Zbudowane z kilku elementów, miały stożkowaty kształt i były zaopatrzone w osłony policzków oraz masywny, odlewany brązowy grzebień.



Powszechnie używano tarcz, w tym tzw. ósemkowych (nazwa pochodzi od kształtu). Zasadniczym elementem konstrukcyjnym był drewniany profilowany szkielet z poprzecznie umiejscowionym imaczem; warstwę ochronną tworzyło kilka warstw wołowej skóry przymocowanej do wiklinowego podkładu. Dodatkowym elementem był skórzany pas, służący do przewieszenia przez ramię. Tarcza była wypukła, stanowiła dobrą osłonę praktycznie dla całego wojownika. Zachowało się trochę wizerunków, które wykorzystywano jako motyw dla różnych ozdób. Obok tarcz ósemkowych stosowano też okrągłe, o różnych średnicach.

W okresie brązu niezwykle intensywnie rozwijała się produkcja mieczy. Na obszarze egejskim w czasach mykeńskich stosowano kilka ich wzorów. Jednym z nich był długi, sięgający 70 cm miecz o wąskiej czwórgrannej głowni (stąd nazywany bywa niekiedy rapierowym), służący ewidentnie do zadawania pchnięć. Jego charakterystyczny jelec miał formę wygiętego ku rękojeści trójkąta oraz dużą głowicę decydującą o dobrym wyważeniu broni. Być może używały go załogi rydwanów bojowych. Znacznie powszechniej używano krótszych mieczy przeznaczonych zarówno do pchnięcia, jak i cięcia.

Na ówczesnym polu bitwy ważną rolę odgrywała także włócznia. W pierwszej połowie II tysiąclecia stosowano długie trzymetrowe drzewca zaopatrzone w odlewany brązowy grot z tuleją w kształcie liścia, mierzący do 50 cm. Bronią taką posługiwano się oburącz, zapewne z rydwanu. W schyłkowym okresie mykeńskim włócznia mierzyła ok. 2 m (grot 20–30 cm) i można było nią swobodnie władać jedną ręką, a nawet używać jako oszczepu. Używano także proc i kompozytowych łuków, nie miały one jednak aż takiego znaczenia jak na Bliskim Wschodzie. Również rola rydwanu była zapewne mniejsza niż np. u armii hetyckiej czy egipskiej. ©℗

eprasa.pl ede0eab6fd



Miny morskie

Podobnie jak w przypadku wielu innych rodzajów broni udoskonalenie min morskich, których używano m.in. podczas wojny secesyjnej, nastąpiło u schyłku XIX w. Masowo wykorzystano je po raz pierwszy w wojnie rosyjsko-japońskiej 1904–1905. Ich przydatność wykazały przede wszystkim zmagania o rosyjską nadmorską twierdzę Port Artur. Rozwój taktyki użycia tej broni przyniosła pierwsza wojna światowa. Najpowszechniej stosowano proste miny kotwiczne. Miały okrągły lub owalny kształt, a wewnątrz zawierały ładunek wybuchowy; dodatnia pływalność powodowała, że niezbędne było obciążenie, czyli kotwica umocowana na linie. Miny kotwiczne wyposażano w rozmaite zapalniki kontaktowe, które uruchamiały się w momencie bezpośredniego zetknięcia z kadłubem okrętu. Innym typem były miny pływające, wyposażone w urządzenia utrzymujące je na pożądanej głębokości, lub miny denne, stosowane na płytkich akwenach.

Do ustawiania min służyły specjalne okręty zwane stawiaczami min, chociaż wykorzystywano także specjalnie do tego celu przystosowane okręty podwodne, a nawet inne jednostki. Miny były bronią zarówno defensywną, jak i ofensywną. Zagrody minowe mogły skutecznie utrudnić działalność przeciwnika na macierzystych wodach, ale również zagrozić dojściom do należących do niego portów w przypadku ich skrytego ustawienia. Unieszkodliwienie zagród było procesem trudnym i czasochłonnym. Mistrzostwo w ich ustawianiu osiągnęli Rosjanie na Bałtyku, a ich działania miały wymiar strategiczny. Miny były także jedną z przyczyn porażki aliantów w Dardanelach w 1915 r. ©℗



Beretta

Konstruktorem broni był inż. Tullio Marengoni. Produkcja seryjna Moschetto Automatico Modello 38 ruszyła w 1938 r. w fabryce w Brescii; w tym samym roku pistolet maszynowy wprowadzono do uzbrojenia armii włoskiej. Pistolet wz. 38 oparto na zasadzie odrzutu zamka swobodnego; miał klasyczną drewnianą kolbę i długie łoże, a zasilanie odbywało się z pudełkowego magazynka (o różnych pojemnościach – 10, 20, 30 i 40 nabojów) wkładanego od dołu; lufa znajdowała się wewnątrz perforowanej osłony, która przy wylocie miała charakterystyczne poprzednie nacięcia, czyli kompensator odpowiedzialny za zmniejszenie odrzutu i podrzutu. Broń wyposażono w dwa języki spustowe, przedni do strzelania ogniem ciągłym, tylny do ognia pojedynczego. Wzór 38 A (bez możliwości założenia bagnetu) odznaczał się dużą celnością i zyskał uznanie wśród żołnierzy. Realia wojny zmusiły wytwórnię do oszczędności. We wzorze 38/42 zmniejszono długość i ciężar broni, skrócono drewniane łoże, a lufę pozbawiono osłony. Na jej wylocie znajdowały się dwa prostopadłe nacięcia kompensatora. Po kapitulacji Włoch broń produkowano nadal dla armii niemieckiej. ©℗

Miecznik z Royal Navy

W 1924 r. utworzono w Wielkiej Brytanii Fleet Air Arm (FAA), czyli Siły Powietrzne Marynarki Wojennej. We wrześniu 1939 r. w jego składzie znalazło się kilkanaście pełnowartościowych dywizjonów bojowych operujących z baz lądowych i lotniskowców. Zasadniczym wyposażeniem były samoloty Swordfish (ryba miecz) zaprojektowane w firmie Fairey. Ideą, która stała za powstaniem tej maszyny, było stworzenie wielozadaniowego samolotu pokładowego mogącego spełniać funkcję torpedowo-rozpoznawczo-obserwacyjną. W 1936 r. samolot Swordfish Mk I trafił na uzbrojenie FAA. Był on trzymiejscowym dwupłatowcem o mieszanej, metalowo-płóciennej konstrukcji; podwozie nie było składane. Samolot wyposażono w gwiazdowy silnik Bristol Pegassus o mocy 690 KM (w kolejnych wersjach zastosowano nieco mocniejszą jednostkę napędową). Poza karabinami maszynowymi zasadniczym uzbrojeniem była torpeda (730 kg) lub jej ekwiwalent w postaci bomb o różnej masie. Samolot przystosowano także do przenoszenia miny morskiej (680 kg). Archaiczny wygląd, mieszana konstrukcja i nie najlepsze osiągi (prędkość maksymalna 245 km/h) nie wróżyły maszynie udanej kariery podczas rozpoczynającego się konfliktu. Tymczasem Swordfish okazał się nadzwyczaj odporny na upływ czasu i walczył aktywnie do samego końca wojny. Załogi ceniły sobie samolot za łatwość pilotażu, doskonałe właściwości manewrowe i nadzwyczajną odporność na trudy morskiej służby i przeciwdziałanie przeciwnika. ©℗



eprasa.pl ede0eab6fd

Chlorek sodu / Od Rzymu i Inków do Wieliczki

Sól – przyprawa i nawóz



Tymoteusz Pawłowski

Chlor to trująca substancja, wykorzystywana jako gaz bojowy. Sód jest tak silnie reaktywnym metalem, że wrzucony do wody zaczyna rozkładać ją na tlen i wodór, co często prowadzi do eksplozji. Mieszanka sodu i chloru musi być doprawdy piorunująca. Tak jednak nie jest – chlorek sodu jest zupełnie bezpieczną substancją, zwykłą solą kuchenną

Znaczenia soli nie można przecenić. Bez niej nie byłoby cywilizacji, a przynajmniej cywilizacji w znanym nam kształcie – to dzięki niej został chociażby zbudowany Rzym. Oczywiście legenda o Romulusie i Remusie brzmi pięknie, ale fakty wskazują, że Rzym był po prostu wielką rzeźnią: z gór na wschodzie sprowadzano bydło, z morza na zachodzie pozyskiwano sól, a otrzymane konserwy mięsne wysyłano na północ i południe.

Można oczywiście zarzucić autorowi, że słowo „konserwa" jest tu nieścisłe – przecież samą konserwę wynaleziono dopiero w XIX w. Jednak wcale tak nie jest. Konserwowanie oznacza – zresztą po łacinie – zabezpieczanie żywności. I właśnie do tego służyła sól kuchenna, a nie jako przyprawa. Wiosną, latem i jesienią trzoda była samowystarczalna, ale zimą ludzie musieliby ją karmić, odejmując sobie żywność od ust. Późną jesienią trzodę zatem się trzebi, przerabiając ją na mięso. Jedynym środkiem konserwującym dostępnym w starożytności – a właściwie aż do XIX w. – była sól.

Połcie mięsa wkładano do beczek i zasypywano solą. Kto nie miał soli – ten nie mógł przetrwać zimy. Jednym z kamieni węgielnych państwa polskiego było zbudowanie w XIII w. kopalni soli w Bochni i Wieliczce – bez nich Polski by nie było, a poszczególne dzielnice skupiałyby się wokół sąsiadów dysponujących własnymi kopalniami soli. Symptomatyczne jest to, że upadek Polski w XVIII w. zaczął się, gdy Bochnia i Wieliczka znalazły się w granicach Austrii.

Podstawą polskich zup jest rosół – a właściwie rozsól – wywar powstały przez „rozsolenie" mięsa w wodzie. Solone mięso było tak nudne – i tak niesmaczne – że przyprawy osiągały zawrotne ceny. To właśnie w celu ich zdobycia Vasco da Gama odkrył morską drogę do Indii, a Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę. Nie będzie wiele przesady w stwierdzeniu, że świat został skolonizowany przez Europejczyków z powodu znudzenia dietą składającą się z solonego mięsa.

Sól skalna

Rola soli kuchennej w dziejach ludzkości jest powszechnie doceniana, inaczej



KRYSZTAŁY CHLORKU SODU. FOT. COMMONS.WIKIMEDIA

eprasa.pl ede0eab6fd



Vasco da Gama FOT. COMMONS WIKIMEDIA

niż rola soli skalnej. Sól skalna wydaje się być nieznana, chyba że użyjemy jej łacińskiej nazwy – „sal petri" – spolszczonej jako „saletra". Tę nazwę słyszał każdy, choć nie każdy wie, „z czym się ją jada". Saletrę się bowiem jada – jest stosowana jako konserwant wędlin – ale jej rola jest zupełnie inna.

Saletra to minerał, skała składająca się z azotanu potasu. W polszczyźnie nazwą tą określa się również inne azotany, dlatego istnieje również saletra azotowa, czy też sodowa... Azotan – jak podpowiada nazwa – jest cząsteczką zawierającą azot oraz tlen. Może wydawać się, że nie jest to nic niezwykłego – bo powietrze jest mieszaniną tych dwóch gazów – ale znaczenie saletry polega na tym, że łatwo ją dawkować.

Gdy podpalimy siarkę i węgiel, otrzymamy całkiem ładny płomień. Gdy podpalimy siarkę i węgiel w obecności saletry, wówczas wydzieli się z niej tyle tlenu, i to w tak krótkim czasie, że nastąpi eksplozja. Mieszanina tych trzech związków to proch – zwany czarnym z powodu obecności węgla – który od średniowiecza zmienia losy świata.

Tlen potrzebny jest do spalania i oddychania – a więc do życia. Do życia potrzebny jest również azot. Z niego bowiem syntetyzuje się białka. Rośliny pobierają azot z powietrza albo gleby, następnie stanowią pokarm dla zwierząt, które wydalają azot wraz z moczem. Po odparowaniu wody można łatwo odzyskać saletrę. Tak działa koło życia. I koło śmierci – saletrę potrzebną do produkcji prochu pozyskiwano z nawozu.

W XIX w. zauważono, że saletrę w olbrzymich ilościach produkują ptaki. Wyspy, na których gniazdują, często pokryte są skamieniałą warstwą odchodów – zwanych przez Hiszpanów elegancko „guanem" – grubą na więcej niż sto metrów. Wyspy takie znajdują się szczególnie u pacyficznych wybrzeży Ameryki Łacińskiej, dlatego też w tym tekście pojawił się język hiszpański i dlatego też pojawią się Indianie, a dokładniej – Inkowie.

Inkowie ponad tysiąc lat temu zauważyli, że pola posypane skamieniałym guanem wydają lepsze plony. Europejczycy zauważyli to dopiero w XIX w., mniej więcej wówczas, gdy wyizolowali oraz nazwali większość pierwiastków oraz dowiedzieli się, jakie pełnią one funkcje. W drugiej połowie XIX w. zaczęto powszechnie używać saletry – pełnej azotu – jako nawozu.

Sól potasowa

Saletra – przywożona z dalekiego Chile – miała jednak poważną wadę: była przywożona z dalekiego Chile, a więc była bardzo droga. Zaczęto więc szukać możliwości taniego wyprodukowania substancji o podobnych do niej właściwościach. Chemikom – w tym późniejszemu prezydentowi RP Ignacemu Mościckiemu – udało się połowicznie: opracowali technologię produkcji amoniaku z powietrza. W przededniu pierwszej wojny światowej Franz Haber otrzymał za to Nagrodę Nobla. Amoniak nie jest jednak w stanie zastąpić saletry: zawiera dużo azotu, ale nie zawiera potasu.

Jony potasu są niezbędne roślinom do asymilacji dwutlenku węgla oraz do syntezy cukrów. Nawozy azotowe są świetne, ale potrzebne są również nawozy potasowe. W przeszłości do tego celu stosowano popiół – potas swoją nazwę wywodzi z języka niderlandzkiego, w którym „potaschen" oznacza garnek wypełniony popiołem. Lasy stały się jednak zbyt cenne, żeby spalać je na nawóz...

Źródło potasu znaleziono w ziemi. Okazała się nim sól kamienna, odmienna jednak od tej znanej w kuchni. Przede wszystkim to sól potasowa – chlorek potasu, a nie chlorek sodu. Poza tym jest raczej gorzka niż słona. Do XIX w. uznawano ją za zanieczyszczenie soli kuchennej, ale później uznano, że doskonale nadaje się jako półprodukt do nawozów.

Sole potasowe występują z reguły w postaci minerałów o poetyckich nazwach: karnalit, sylwinit, a nawet kainit. Chociaż są dość powszechne, to jednak zalegają bardzo głęboko, eksploatuje się więc tylko niektóre. Najstarsze polskie kopalnie – w Bochni i Wieliczce – są już dziś nieaktywne, sól pozyskuje się w nich z wypompowywanej podczas osuszania wody. Podobnie czyni się w innych kopalniach – także węgla i miedzi. Nadal czynne kopalnie soli znajdują się natomiast na Kujawach. Największa z nich jest w Kłodawie.

Jej rówieśnikiem – obie powstały po drugiej wojnie światowej – jest kompleks kopalń wokół białoruskiego miasta Soligorsk. Chociaż w Polsce wydobywa się trzy razy więcej soli niż na Białorusi, to znaczenie produkcji w obu krajach jest inne. W Polsce większość soli jest zużywana na własne potrzeby, a jej eksport jest niezauważalny wśród eksportu miedzi, maszyn, żywności, mebli, kosmetyków... Sól białoruska stanowi aż kilkanaście procent światowego rynku tego surowca i jest najważniejszym produktem eksportowym naszego sąsiada, ubogiego w minerały i bez większych zdolności produkcyjnych. Jest również – obok tranzytu wschód – zachód oraz sprzedaży drewna na polskie meble – najważniejszą częścią białoruskich dochodów walutowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ede0eab6fd

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

RANKIEM 13 GRUDNIA 1981 R. DO GÓRNIKÓW Z KOPALNI „WUJEK" DOTARŁA INFORMACJA O ARESZTOWANIU PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI ZAKŁADOWEJ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" JANA LUDWICZAKA.





PO WYSTĄPIENIU GENERAŁA WOJCIECHA JARUZELSKIEGO, STAŁO SIĘ OCZYWISTE, ŻE WŁADZA MOŻE UŻYĆ SIŁY DO TŁUMIENIA PROTESTÓW.

DO STRAJKUJĄCYCH W KOPALNI „WUJEK" BLISKO TRZECH TYSIĘCY GÓRNIKÓW, DOCIERAŁY INFORMACJE O PACYFIKACJI INNYCH STRAJKÓW, W TYM TEGO W KOPALNI „MANIFEST LIPCOWY".



16 GRUDNIA PRZECIWKO GÓRNIKOM SKIEROWANO OLBRZYMIE SIŁY SKŁADAJĄCE SIĘ Z BLISKO 1500 FUNKCJONARIUSZY MO I ZOMO, ORAZ PONAD 700 ŻOŁNIERZY. WSPIERAŁY ICH 22 CZOŁGI I 44 WOZY PANCERNE. PACYFIKACJA KOPALNI „WUJEK" MIAŁA BYĆ PRZYKŁADEM DLA ZAŁÓG INNYCH STRAJKUJĄCYCH ZAKŁADÓW PRACY.



SILNY OPÓR GÓRNIKÓW SPRAWIŁ, ŻE DOWÓDCA PLUTONU SPECJALNEGO ZOMO WYDAŁ ROZKAZ O UŻYCIU BRONI.



W WYNIKU RAN POSTRZAŁOWYCH ZGINĘŁO 9 GÓRNIKÓW:

JÓZEF CZEKALSKI (48 LAT), KRZYSZTOF GIZA (24 LATA), JOACHIM GNIDA (28 LAT), RYSZARD GZIK (35 LAT), BOGUSŁAW KOPCZAK (28 LAT), ANDRZEJ PEŁKA (19 LAT), JAN STAWISIŃSKI (21 LAT), ZBIGNIEW WILK (30 LAT), ZENON ZAJĄC (22 LATA).



RODZINY OFIAR CZEKAŁY AŻ 28 LAT NA TO, ABY WINNI TEJ ZBRODNI PONIEŚLI KARĘ.

eprasa.pl ede0eab6fd

/ Felieton



Sławomir Cenckiewicz

LWP przeciwko narodowi

Znów rocznica stanu wojennego, do którego droga wiodła faktycznie od sierpnia 1980 r. w rezultacie uchwały Komitetu Obrony Kraju, który wydał Sztabowi Generalnemu WP polecenie rozpoczęcia prac studyjnych nad wprowadzeniem stanu wojennego „ze względu na zagrożenie zewnętrzne państwa". Zdecydowane przyspieszenie nastąpiło jesienią 1980 r., kiedy to 22 października zespół oficerów Sztabu Generalnego WP, kierowany przez generała broni Floriana Siwickiego, przystąpił do opracowywania założeń wprowadzenia stanu wojennego. Opracowywane w Sztabie Generalnym WP plany były następnie zatwierdzane przez Komitet Obrony Kraju. Wczesną wiosną 1981 r. większość dokumentacji była już gotowa. 27 marca na posiedzeniu KOK zatwierdzono trzy podstawowe dokumenty o kryptonimie Wiosna-81. Były to: „Myśl przewodnia wprowadzenia na terytorium PRL stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa", „Centralny plan działania organów politycznych, władzy i administracji państwowej" i „Ramowy plan działania Sił Zbrojnych w przypadku wprowadzenia stanu wojennego".

12 listopada 1980 r. na posiedzeniu KOK podjęto decyzję o przystąpieniu do modyfikacji dokumentacji dotyczącej stanu wojennego. Główną rolę odgrywały tu Sztab Generalny WP, Sztab MSW oraz Sekretariat KOK. Ponadto do prac dopuszczono oficerów MSW, pojedyncze osoby z KC PZPR, Komisji Planowania. Główne role odgrywali w Sztabie Generalnym szef generał broni Florian Siwicki, jego zastępcy: generał dywizji Tadeusz Hupałowski i generał dywizji Jerzy Skalski, generał dywizji Antoni Jasiński, generał brygady Mieczysław Dachowski, szef Zarządu I SG WP generał brygady Wacław Szklarski oraz jego zastępcy: płk Ryszard Kukliński i płk Franciszek Puchała, główny inspektor OT generał broni Tadeusz Tuczapski oraz szef Sztabu generał brygady Bogusław Stachura z MSW.

W grudniu 1980 r. na polecenie Jaruzelskiego do Naczelnego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego w Moskwie pojechali gen. Hupałowski i płk Puchała, skąd przywieźli polecenie szybkiego przygotowania wcześniej nieplanowanych manewrów sił UW na terytorium Polski. Mapa, którą przywieźli, zawierała miejsca stacjonowania przeznaczonych do manewrów dywizji Armii Sowieckiej, Narodowej Armii Ludowej NRD i Czechosłowackiej Armii Ludowej. Był to w rzeczywistości plan interwencji, który miał być zrealizowany za pomocą Ludowego Wojska Polskiego.

Na krótko przed objęciem przez Jaruzelskiego stanowiska premiera rządu PRL (w lutym 1981 r.) Moskwa ostatecznie zdecydowała, że to LWP „udzieli swej partii i państwu, zagrożonym przez siły antysocjalistyczne i kontrrewolucyjne, odpowiedniej pomocy". Zbędna więc będzie „bratnia interwencja" w Polsce, gdyż ludowa armia „sama da sobie radę", stając się po raz kolejny wewnętrznym interwentem. „W oparciu o tę ocenę Moskwa pokładała – szczególnie w Jaruzelskim, który zachował tekę ministra obrony narodowej, zaś w październiku 1981 r. został też I sekretarzem KC PZPR – największe nadzieje na »ponowne zaprowadzenie ładu«" – pisał Kukliński w jednym z raportów dla CIA.

W świetle tego wszystkiego publicznie zgłaszane „argumenty" o postępującej anarchizacji kraju i radykalizacji Solidarności były jedynie elementem wojny psychologicznej.

19 czerwca 1981 r. na posiedzeniu KOK podjęto decyzję dotyczącą przyspieszenia prac nad udziałem LWP w stanie wojennym. Grupa oficerów ze Sztabu Generalnego przystąpiła do analizy czterech możliwych wariantów wprowadzenia stanu wojennego: podstawowy, tj. zakładający wykorzystanie czynnika zaskoczenia; w sytuacji bezpośredniego zagrożenia strajkami okupacyjnymi; w czasie trwania strajków okupacyjnych; stopniowe wprowadzanie przedsięwzięć stanu wojennego przed jego ogłoszeniem (tzw. wpełzanie w stan wojenny). Prace planistyczne związane z wprowadzeniem stanu wojennego zakończono w końcu października 1981 r. Odtąd wyczekiwano na podjęcie decyzji politycznej.

Wprowadzenie stanu wojennego było przede wszystkim operacją militarną, w którą zaangażowano znaczną część Sił Zbrojnych PRL. Do bezpośrednich działań na terenie całego kraju zaangażowano 70 tys. żołnierzy, 1750 czołgów, 2043 transportery opancerzone, 39 samolotów, 110 śmigłowców, 86 okrętów bojowych...

Z chwilą wprowadzenia stanu wojennego naczelną władzę w województwach przejęły Wojewódzkie Komitety Obrony, czyli terenowe organy KOK. W skład WKO wchodzili członkowie szeroko pojętych organów władzy, a na jego czele stał wojewoda. Po wprowadzeniu stanu wojennego oficjalnie naczelnym organem władzy stała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, na której czele stał premier generał armii Wojciech Jaruzelski. Partia stała się tym samym własnością armii. ©℗

eprasa.pl ede0eab6fd

ipn.poczytaj.pl



WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
IPN

eprasa.pl ede0eab6fd